UKRYTA PRAWDA
Mord na reporterze i stracone śledztwo

BYŁ BEZKARNY
Mówią molestowane przez profesora

MARIUPOL
Życie wbrew wszystkiemu

DWA TEATRY
Rola Zełenskiego i fałsz Putina

BRAT OGRODNIK
Wie, co dobre, ale nie powie

Kraków 3 kwietnia 2022 nr 14 (3795) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Wojna i my: skąd brać siłę

JUSTYNA DĄBROWSKA PSYCHOTERAPEUTKA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
14
9 770041 480208

REKLAMA

festiwal ludwiga van beethovena

26. wielkanocny

3–15.04.2022 / warszawa

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Filharmonia Narodowa
dwójka
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy
PARTNER GŁÓWNY LOTTO
MECENAS ORLEN

KS. ADAM

Boniecki: *Reforma Franciszka*

Pamiętam moje zaskoczenie, kiedy odkrywałem, że chociaż trwa II wojna światowa i niemiecka okupacja, w innych miejscach ludzie żyją sobie normalnie. Byłem zaskoczony, że Stolica Apostolska zajmowała się nie tylko wojną, ale i sprawami niemającymi z nią nic wspólnego. Dziś wiem, że tak było i jest, i być powinno dopóty, dopóki będzie to możliwe.

Niby wiem, ale tamto irracjonalne zaskoczenie wróciło 19 marca, kiedy Watykan ogłosił dokument o reorganizacji kurii rzymskiej. Teraz?... Przecież na horyzoncie zjawia się widmo wojny nuklearnej, a Putin morduje Ukraińców. Jednak wiem, że nie byłoby dobrze, gdyby jeden dyktator mógł zatrzymać cały normalny bieg życia świata. Świat, walcząc z Putinem, musi podtrzymać bieg spraw, na które dyktator nie ma wpływu. Niech idą swoim torem, cień nie może przykryć wszystkiego.

Na konklawe przed wyborem Franciszka od (przyszłego) papieża oczekiwano reformy kurii rzymskiej. Zaraz po wyborze (13 marca 2013 r.) Franciszek powołał ośmiu kardynałów – doradców, którzy mieli go wspierać właśnie w przygotowaniu tej reformy. Tymczasem Franciszek szybko grupę ośmiu doradców przekształcił w organ kościelny – Radę Kardynałów. Po latach praca została zakończona i papież ogłosił konstytucję apostolską „Praedicate evangelium". Dokonała się piąta w dziejach reforma kurii rzymskiej (poprzednie: reforma Sykstusa V w 1599 r., Piusa X w 1910 r., Pawła VI w 1967 r. i Jana Pawła II – „Pastor bonus" – w roku 1988). Sześć lat przygotowań... Czy ta zapisana w „Praedicate evangelium" okaże się skuteczna? Wypowiadać się o tym mogą tylko ci, którzy naprawdę kurię rzymską znają, bo pracowali w niej lub pracują.

Obserwator z zewnątrz, jak ja, wie, że papież Franciszek – który przyszedł do Watykanu z zewnątrz – z niektórymi reformami nie zwlekał. Kiedy my o niebywałych przekrętach i nadużyciach dowiadywaliśmy się z wykradanych dokumentów, on nie tracił czasu. Siódmy rozdział nowej konstytucji zatytułowany „Organismi economici" w zasadzie zatwierdza wprowadzone już przez Franciszka zmiany. Uderza w nich nacisk na obejmujący całość zarządzania finansami Stolicy Apostolskiej system kontroli, w którym uczestniczą eksperci świeccy, oraz nacisk na racjonalność i przejrzystość. Także akty prawne, gospodarcze i finansowe, wymagające tajności, są poddane kontroli mianowanej przez papieża Komisji do Spraw Tajnych (Commissione di Materie Riservate).

Znaczną część konstytucji zajmuje opis nowej organizacji urzędów. W miejsce dziewięciu kongregacji, trzech dykasterii i pięciu papieskich rad (więc razem siedemnastu) utworzono szesnaście „dykasterii". Nieco zreorganizowano ich zadania, co – oglądane z zewnątrz – może się wydać przenoszeniem biurek z jednego urzędu do innego. Intrygujące jedynie jest to, co powiedziano o zmianie znaczenia sekretariatu stanu, tu określonego jako „sekretariat papieski". Komentatorzy uważają, że przestaje on być „superdykasterią", jednak nadal koordynuje prace wszystkich dykasterii oraz urzędów kurii i pozostaje urzędem, z którym papież jest szczególnie związany, a poniekąd od jego działalności zależny. Reforma wprawdzie eksponuje znaczenie nowo utworzonej Dykasterii ds. Ewangelizacji, na czele której stoi papież, co ma podkreślić bardziej misyjną i ewangelizującą funkcję kurii. Podkreślono też, że zwyczajnym sposobem pracy kurii jest synodalność. Ten wątek w konstytucji nie został oddzielnie rozwinięty.

Rozwinięty jest wstęp, wyjaśniający, że kuria rzymska istnieje dla głoszenia Ewangelii, służby Kościołowi, papieżowi, kościołom lokalnym itd. Osoby tworzące kurię są delegowane przez papieża, sprawują władzę w jego imieniu, nie na mocy święceń, a więc zarządzanie i odpowiedzialność mogą być powierzane osobom świeckim płci obojga (preambuła, 10). Tę możliwość media uznały za największą nowość obecnej reformy.

Zarządzanie ogromną instytucją nadprzyrodzoną i zarazem doczesną, jaką jest Kościół katolicki, przekracza ludzkie siły. Ja jednak wierzę, że mimo ludzkich słabości nad Kościołem czuwa Duch Święty. ©℗

Strona świata: podkast Wojciecha Jagielskiego

Jak rozpadało się imperium Putina

W drugim odcinku cyklu Wojciech Jagielski opowiada o tym, kiedy Władimir Putin uznał kolorowe rewolucje za zagrożenie, co wspólnego mają wizyta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi z ostatnią polsko-czesko-słoweńską w Kijowie i jak czuł się polski reporter w sercu konfliktu o Osetię i Abchazję, gdy przyszło mu dementować własną śmierć.

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast** oraz na

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WSPIERAJ NA: PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ALBERT ZAWADA DLA „TP"

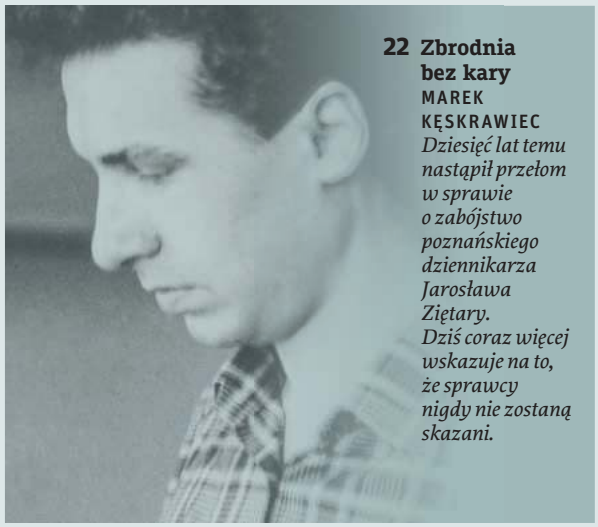

22 Zbrodnia bez kary
MAREK KĘSKRAWIEC
Dziesięć lat temu nastąpił przełom w sprawie o zabójstwo poznańskiego dziennikarza Jarosława Ziętary. Dziś coraz więcej wskazuje na to, że sprawcy nigdy nie zostaną skazani.

32 Językoznawca
ANNA GOC
Profesor powiedział, że zdałam z wyróżnieniem. Podszedł do mnie, przycisnął do siebie, włożył mi język do ust. Dwa metry dalej stał drugi profesor, patrzył w okno.

38 Kwiatki brata Bałabana
EDWARD AUGUSTYN
Nikogo nie potępiał ani nie krytykował. Kto odpokutuje grzechy, będzie zbawiony. Franciszkowy sposób na kryzys w Kościele.

48 Miesiąc pod ziemią
PAWEŁ PIENIĄŻEK
Tysiące mieszkańców Charkowa ukrywają się przed wojną na stacjach metra. Mają nadzieję, że niedługo wrócą do domów.

68 Zaginione opowieści
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Zapożyczone z ekologii metody pozwoliły badaczom literatury na oszacowanie, jak wiele średniowiecznych dzieł nie dotrwało do naszych czasów.

72 Miejsca pobytu
ROZMOWA Z KONRADEM GÓRĄ, POETĄ
Jeździłem z wózkiem i zbierałem złom. Dziennie zawsze dało się zarobić czterdzieści złotych. Ale dostałem Poetycką Nagrodę Silesius i już tyle nie muszę. Chyba że znajdę miedź.

REPR. KRZYSZTOF M. KAŹMIERCZAK // JOANNA RUSIKEK DLA „TP" // PAWEŁ PIENIĄŻEK // MACIEJ BIELAWSKI // © LUCA CARRÀ / B&W // EDAWARD AUGUSTYN

6 Miesiąc, który wstrząsnął Europą
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Zbrodnia bez kary
MAREK KĘSKRAWIEC

25 Tego nie robi się kotu
MAREK RABIJ: *Wojna w Ukrainie to pierwszy konflikt zbrojny, w którym los zwierząt domowych nie stanowi jedynie tła dla ludzkich dramatów*

29 Cena wojennego embarga
PIOTR WÓJCIK: *Jesteśmy mniej uzależnieni od Moskwy niż wiele innych państw Europy*

REPORTAŻ

32 Językoznawca
ANNA GOC

WIARA

38 Kwiatki brata Bałabana
EDWARD AUGUSTYN

42 Czekają
JAN RYBICKI: *Dla większości Ukraińców Osada to tylko dłuższy przystanek. Niektórzy zostaną może do końca wojny*

45 Wielkie współczucie
PIOTR SIKORA: *Post, modlitwa i dobroczynność okazują się teraz jedynymi sensownymi działaniami*

ŚWIAT

48 Miesiąc pod ziemią
PAWEŁ PIENIĄŻEK

52 Najtrudniejsze wybory Viktora Orbána
ANDRZEJ SADECKI Z BUDAPESZTU: *Czy polityka współpracy z Rosją zaszkodzi węgierskiemu premierowi?*

TEMAT TYGODNIKA

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

12 Co dzisiaj mogę
JUSTYNA DĄBROWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:
Żeby komuś pomóc, naprawdę musisz być w dobrym stanie. Musisz odpoczywać, spać, ładować baterie.

16 Dziesięć reguł na czas chaosu
TOMASZ STAWISZYŃSKI
Fundamentalną ludzką potrzebą, a zarazem warunkiem możliwości sensownego działania jest rozumienie. Zwłaszcza w czasie, kiedy naszą teraźniejszość opisuje słowo wojna.

FELIETONY

31 JACEK PODSIADŁO **47** WOJCIECH BONOWICZ
65 HANNA KRALL **84** JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
JUSTYNA DĄBROWSKA, Warszawa, marzec 2022 r.
FOTOGRAFIA: MACIEJ ZIENKIEWICZ dla „TP"

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

56 Macron w pozie Zełenskiego
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Napaść Rosji na Ukrainę przyćmiewa wyścig prezydencki we Francji. Zarazem podnosi przedwyborcze notowania obecnego prezydenta*

59 Mocarstwo w regresie
MARTA ZDZIEBORSKA *o kryzysie amerykańskiej demokracji*

HISTORIA

62 Mariupol broni się nadal
WOJCIECH KONOŃCZUK: *To symbol zbrodni Rosji w wojnie przeciw Ukrainie. Było to najbardziej prorosyjskie wśród miast ukraińskich*

NAUKA

68 Zaginione opowieści
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KULTURA

72 Miejsca pobytu
ROZMOWA Z KONRADEM GÓRĄ, POETĄ

77 Spis przyzwoitych
PIOTR KOSIEWSKI: *Wojna wymusiła na artystkach i artystach z Ukrainy i Rosji wejście w nowe role*

80 Co było, co mogło być
JAN BŁASZCZAK: *Dla słuchaczy muzyki Wojciecha Rusina nie liczy się, czy jest autentyczna. Ważniejsze, że zadaje pytanie: co to w ogóle znaczy?*

82 Impreza zamknięta
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Piosenki o miłości"*

84 Tłumacz, czyli przewodnik
LEKTOR *o książce Ireneusza Kani „Dług metafizyczny. Eseje i rozmowy"*

ZMYSŁY

86 Dwa teatry
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Z jednej strony naga klata, mata, strzelba i martwe tygrysy. Z drugiej – człowiek, który mówi: „jestem taki jak wy"*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Pochłonięty rozgrywaniem wojny w Ukrainie Putin nadal konsekwentnie wycina swoich przeciwników w kraju – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Strona świata
Azerbejdżan podpisał z Putinem układ „o strategicznym przymierzu". Dwa dni później Rosja napadła na Ukrainę, sojuszniczkę Azerów – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

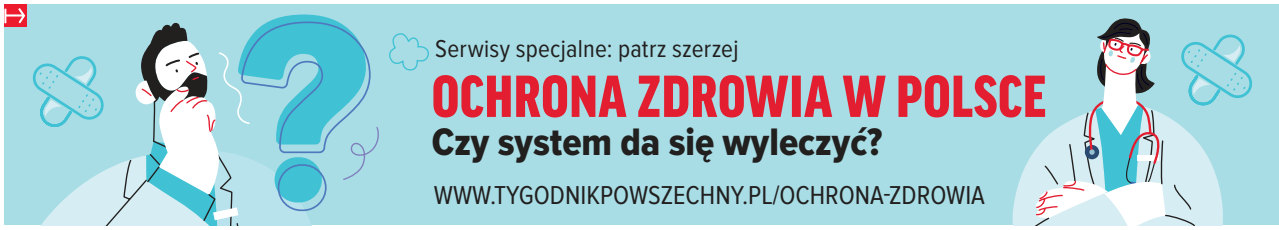

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

MIESIĄC, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ EUROPĄ

Ukraińcy bronią się lepiej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Ale ta wojna jest daleka od zakończenia.

WOJCIECH KONOŃCZUK

24 LUTEGO, KILKA GODZIN PO ROZPOCZĘCIU rosyjskiej inwazji, ukraiński ambasador w Berlinie Andrij Mełnyk rozmawiał z Christianem Lindnerem, ministrem finansów i przewodniczącym liberalnej partii FDP. „Wojna się zaczęła. Potrzebujemy pomocy, pomóżcie nam" – rzekł Mełnyk. Lindner sympatycznie się uśmiechnął i odparł: „Mój drogi, bądźmy szczerzy. Dlaczego mamy wam pomagać, skoro wszystko skończy się w maksimum 48 godzin". Dwa tygodnie temu tę rozmowę ujawnił szef ukraińskiej dyplomacji (mówiąc jedynie o „niezwykle wpływowym państwie"), w minioną niedzielę zaś dziennik „FAZ" dodał resztę.

Pogląd, że ta wojna skończy się szybkim zwycięstwem Rosji, był powszechny. Wynikało to z przekonania o potędze armii rosyjskiej oraz z tradycyjnego niedoceniania Ukraińców. Po miesiącu nie ma jednak wątpliwości, że skuteczna ukraińska obrona jest kluczowym czynnikiem, którego nie brano pod uwagę. Rosja, pod względem potencjału militarnego postrzegana jako drugie najsilniejsze państwo świata, nie tylko nie zajęła trwale w tym czasie żadnego znaczącego miasta, ale nie jest w stanie zdobyć Mariupola. Rosyjskie siły zbrojne poniosły znaczące straty, szacowane przez Ukraińców nawet na 16 tys. zabitych – to by znaczyło, że są one

Prezydent USA Joe Biden podczas spotkania z ukraińskimi uchodźcami na Stadionie PGE Narodowy w Warszawie. 26 marca 2022 r.

większe niż w trakcie dziesięcioletniej sowieckiej agresji na Afganistan. Życie straciło już siedmiu rosyjskich generałów, co nie ma precedensu w najnowszej historii konfliktów zbrojnych.

Rosyjski plan – zakładający szybkie zajęcie wielkich miast na czele z Kijowem, zmianę władzy i sparaliżowanie strachem społeczeństwa ukraińskiego – uległ wymuszonej modyfikacji. Rosjanie mozolnie próbują zwiększać kontrolowany obszar, blokując duże miasta (jak Charków, Sumy, Czernihów) i zarazem brutalizując swoje działania. Mariupol się broni, ale został niemal doszczętnie zniszczony, co ma być ostrzeżeniem dla innych miast (patrz tekst w dziale Historia – red.). Rosyjskie zbrodnie na cywilach są codziennością. Na zajętych terenach trwa terroryzowanie mieszkańców, wśród których niewielu jest chętnych do kolaboracji. Jeszcze jedna niespodzianka dla Kremla, który nie spodziewał się tak silnych nastrojów antyrosyjskich.

Każdy dzień tej wojny potwierdza, jak wielką pomyłką Putina była decyzja o jej rozpoczęciu. Ona nie tylko dewastuje Ukrainę, ale zmienia też Rosję: ta w niebywale szybkim tempie stała się państwem totalitarnym, któremu grozi krach gospodarczy z powodu zachodnich sankcji. „Mała zwycięska wojna" zamieniła się też w starcie o przyszłość władzy Putina. Kreml może jak na razie skutecznie kontrolować własne społeczeństwo, ale najwidoczniej nie ma pomysłu na następny etap wojny – poza popełnianiem kolejnych, coraz gorszych zbrodni.

Ukraińskie Siły Zbrojne, wspierane dostawami broni z Zachodu i rozwijającymi się jednostkami obrony terytorialnej, dokonują cudów. Społeczeństwo jest zwarte i przekonane, że zwycięstwo jest kwestią czasu. Na czele Ukrainy stoi polityk, który celująco zdaje najważniejszy egzamin w swoim życiu. Jest duża szansa, że ta triada okaże się przepisem na sukces.

Nie znamy jeszcze wszystkich konsekwencji tej wojny, ale już widać, że w fundamentalny sposób zmienia ona również sytuację polityczną, gospodarczą i społeczną w Europie. Także w Polsce, która – jak pokazuje też wizyta prezydenta USA w naszym kraju (czytaj na powszech.net/bidenpl) – stała się najważniejszym państwem przyfrontowym i miejscem schronienia dla ponad 2 mln Ukraińców.

Rosyjska agresja wywołała więc kryzys ogólnoeuropejski, co świetnie ujął nie kto inny, jak szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow, który tym razem wyjątkowo nie skłamał: „Nie chodzi tylko o Ukrainę. Obecny kryzys jest rozstrzygającym, epokowym momentem w najnowszej historii i odzwierciedla bitwę o przyszły porządek międzynarodowy na świecie". ©

BRENDAN SMIALOWSKI / AFP / EAST NEWS

Premier mówi, że nie stracimy

MAREK RABIJ

Ministerstwo Finansów przedstawiło propozycje zmian w ordynacji podatkowej. Dla obywateli rozliczających się według skali podatkowej stawka PIT w pierwszym progu zostanie obniżona z 17 do 12 proc. Zniknie również ulga dla klasy średniej, wróci za to możliwość wspólnego rozliczenia z dzieckiem dla samotnych rodziców. Osoby na podatku liniowym, ryczałcie i karcie podatkowej będą mogły znów odliczać część składki na ubezpieczenie zdrowotne od podstawy opodatkowania lub od samego podatku. Zmiany mają wejść w życie w połowie roku, ale będą naliczane wstecznie od stycznia – tak mówi wiceminister finansów Artur Soboń. Wcześniej pojawiały się informacje, że rząd wprowadzi tę obniżkę dopiero od stycznia 2023 r. – ze wstecznym rozliczeniem od lipca br.

Polska ordynacja podatkowa od dawna jest krainą dziwów, ale teraz osiągnęła stan, w którym trudno ją doprawdy traktować poważnie. W efekcie zapowiedzi rządu, uspokajającego, że większość podatników zyska na zmianach od kilkuset do nawet kilku tysięcy złotych, wielu z nas przyjmuje z dużą dozą nieufności. Na Polskim Ładzie też mieliśmy przecież zyskać, a wyszło jak wyszło. Niepokojąca jest także zmiana reguł podatkowej gry w połowie roku fiskalnego, z czysto prawnego punktu widzenia może i dopuszczalna (zmiany mają być na naszą korzyść), ale rujnująca zaufanie obywateli do państwa, które co chwila zmienia zdanie.

Rząd nie mówi już o reformie Polskiego Ładu. Woli przedstawiać zapowiedziane zmiany jako reakcję na nową rzeczywistość wojny w Ukrainie, kryzysu migracyjnego i wysokiej inflacji, z którą NBP nie poradzi sobie w ramach standardowej polityki pieniężnej. Znaleźliśmy się faktycznie w sytuacji, która wymaga czegoś w rodzaju rodzimego New Dealu i planu Marshalla w jednym, czyli silnego pakietu stymulacyjnego, który pozwoli Polsce nie tyle płynąć z falą bieżących wydarzeń polityczno-gospodarczych, ile mieć jakiś wpływ na jej kierunek i amplitudę.

Z zapowiedzi rządu wynika, że ogłoszone zmiany podatkowe kosztować będą budżet ok. 14-15 mld zł rocznie. Po stronie dodatkowych wydatków mamy tymczasem 8 mld zł (na razie), które pochłonie pomoc uchodźcom z Ukrainy, zapowiedziane w ustawie o ochronie ojczyzny zwiększanie wydatków na obronność (lekko licząc, kolejne 20-22 mld zł) i ok. 34 mld zł na tarczę antyinflacyjną. Żadnego z tych wydatków nie można dziś nazwać zbędnym. Stąd wniosek, że rząd zamierza w tym roku zlekceważyć konstytucyjną regułę, która nie pozwala zadłużyć się nam ponad 60 proc. PKB. W praktyce polski dług już dawno przekroczył ten pułap, ale na tle strefy euro, której dług ociera się o 100 proc. PKB, nadal mamy przestrzeń do fiskalnych manewrów.

Oby tylko szły one w dobrym kierunku. ©℗

Zerowy VAT na artykuły spożywcze w dyskontach. Łódź, marzec 2022 r.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

ZYGMUNT PUCHALSKI,
PREZES SPOŁECZNEGO TOWARZYSTWA OŚWIATOWEGO:

Egzamin z empatii

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zaprotestowaliście przeciw rozporządzeniu, które objęło ukraińskich uczniów obowiązkiem podejścia do egzaminu ósmoklasisty i matury. Dlaczego?

MATERIAŁY PRASOWE STO

ZYGMUNT PUCHALSKI: Władzy oświatowej zabrakło empatii. Ci młodzi ludzie przechodzą najcięższe chwile w życiu, nie znają języka polskiego albo znają go słabo. A my dajemy im konfrontację z polską podstawą programową. Będą normalnie oceniani, a do egzaminów przystąpią na takich samych zasadach jak Polacy, którzy w polskiej szkole spędzili lata.

Przy okazji zwracacie uwagę na systemowy absurd: uczeń, który ukończył szkołę podstawową w Ukrainie, może iść do naszego liceum bez egzaminu...
Tym logiczniejsze byłoby zwolnienie z niego także młodych uchodźców. Tak poza wszystkim, egzaminacyjne wyniki nie będą w żadnym stopniu odzwierciedlać – choćby właśnie ze względów językowych – prawdziwych możliwości uczniów, co postawi ich na straconej pozycji w rekrutacji do kolejnego etapu nauki. To upokarzające, nieludzkie.

„Znajomość »Lalki«, »Pana Tadeusza« czy »Kamieni na szaniec« okazuje się ważniejsza niż odzyskanie poczucia bezpieczeństwa" – napisaliście. Brzmi jak credo polskiej szkoły.
Powtarza się sytuacja z pandemii: ministerstwo broni głównie wymagań i podstawy programowej, zapominając o ludziach. I takie wspomnienie mogą wywieźć od nas młodzi Ukraińcy – egzaminy i oceny bez względu na życiową sytuację i stan psychiki.

ZYGMUNT PUCHALSKI *jest wieloletnim dyrektorem, ekspertem ds. zarządzania oświatą. Prezes STO, prowadzącego niemal setkę szkół.*

KRAJ W SKRÓCIE

PRZEPROSINY
Marszałek Senatu w przemówieniu do Rady Najwyższej Ukrainy przeprosił za to, że polski rząd „nadal importuje rosyjski węgiel i nie potrafi zamrozić aktywów rosyjskich oligarchów". W ten sposób, zdaniem Tomasza Grodzkiego, „finansujemy zbrodniczy reżim, który zdobyte pieniądze zużywa na mordowanie niewinnych".

PODZIĘKOWANIA
„Muszę podziękować naszemu narodowi za postawę. Postawę, która jest wartością samą w sobie, która składa się na to, czym jest polskość" – powiedział podczas zjazdu stowarzyszenia OdNowa Jarosław Kaczyński. W warszawskim spotkaniu z Joem Bidenem prezes PiS nie uczestniczył: czekał na wynik testu na koronawirusa.

PRZEKONANIA
W radiu prezes PiS powiedział, że „pierwszy raz po zapoznaniu się z różnymi dokumentami może powiedzieć, że ma wyjaśnienie całości" katastrofy smoleńskiej, bo wcześniej – choć miał „osobiste przekonanie, że w Smoleńsku doszło do zbrodni, do zamachu" – nie wiedział, „jak dokonano tego wszystkiego, co wiąże się z zamontowaniem jakichś środków wybuchowych w samolocie, w jaki sposób to zostało odpalone".

PROCEDURY
Na powitanie Joego Bidena w Rzeszowie Andrzej Duda dotarł z opóźnieniem: jego samolot miał usterkę. Prezydent skorzystał z zapasowej maszyny.

PAWEŁ BIALIC / REPORTER

Pięć minut Andrzeja Dudy

MAREK KĘSKRAWIEC

Sejm skierował do dalszych prac prezydencki projekt zmian w Sądzie Najwyższym, likwidujący Izbę Dyscyplinarną, a zarazem zmierzający do odblokowania unijnych funduszy w ramach KPO. Parlament ma się też zająć projektami PiS i Solidarnej Polski, ale to pomysły Andrzeja Dudy zyskały największe poparcie i to one będą podstawą dalszych prac. Dają one sędziom możliwość przejścia do innej izby lub w stan spoczynku. W miejsce starej ID powstałaby Izba Odpowiedzialności Zawodowej – prezydent wybierałby 11 sędziów na 5-letnią kadencję spośród 33 kandydatów z SN.

Na ile nowe prawo wygasi spór z UE, pokażą szczegóły ustawy. Dziś widać, że na szczytach władzy zarysowała się tendencja: „nie są nam teraz potrzebne kolejne spory" – to mantra prezydenta zarówno w kwestii Izby, „lex Czarnek", jak i „lex TVN". Andrzej Duda nie dyskutuje ze szczegółami ustaw, tylko je ucina. To trochę osobliwe w państwie prawa, ale pomogło nam choćby zamknąć idiotyczny spór z USA.

Trzeba przyznać, że Duda dobrze wykorzystuje swe pięć minut, działając w interesie państwa i grając na nosie Kaczyńskiemu oraz Ziobrze. Inna sprawa, że te wszystkie „nie strasz, nie strasz" pokazują, iż prezydentowi nadal daleko do męża stanu europejskiego formatu. ©℗

Rząd ogłosił koniec pandemii

NIE BĘDZIE MASECZEK, izolacji i kwarantanny: zniesiono resztki restrykcji covidowych. Minister zdrowia Adam Niedzielski przekonuje, że wzrosty zakażeń już nam nie grożą (istotnie, tygodniowa średnia krocząca nowych zakażeń powoli w Polsce spada i 28 marca wynosiła 7,4 tys.). Jesteśmy też – zapewniał – dobrze zabezpieczeni, ponieważ przeciwciała ma 90-95 proc. społeczeństwa.

Wielu ekspertów radzi, by zachować ostrożność. – Zdjęcie obostrzeń wydaje się dość kontrowersyjne – uważa epidemiolog Rafał Halik. I wskazuje na niewiadome: – Niebezpieczeństwo związane z zakażeniem polega nie tylko na chorobie, ale też na ryzyku powikłań. Nie wiadomo, z jakimi jeszcze mutacjami koronawirusa przyjdzie nam się mierzyć i nie można wykluczyć powrotu fali jesienią. Dodatkowym czynnikiem ryzyka jest ogromna liczba uchodźców z Ukrainy, gdzie poziom wyszczepienia był znacznie niższy niż w Polsce.

Minister Niedzielski mimo zniesienia obostrzeń zachęcił do noszenia maseczek w miejscach publicznych.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Więcej: **tygodnikpowszechny.pl/ochrona-zdrowia**

KIM KYUNG-HOON / REUTERS / FORUM

JAPOŃSKA WIOSNA wiąże się ze świętem kwitnącej wiśni – hanami, kiedy podziwia się kwiaty. Najpiękniejszym miejscem na wiosenne zachwyty jest tokijski park Chidorigafuchi, położony na zboczach jednej z dwunastu fos pałacu cesarskiego. Jej brzegi porastają ozdobne wiśnie piłkowane, których kwitnienie przypada na przełom marca i kwietnia. W tym czasie park staje się główną atrakcją japońskiej stolicy. Na wodzie pojawiają się łodzie, a pomiędzy drzewami piknikowe namioty, w których świętuje się do późnej nocy. ©℗ JoGA

Wojna w Ukrainie i chleb w Sudanie

NOWA FALA uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki, zamachy terrorystyczne, wzmocnienie skrajnych ruchów w Europie: takie scenariusze mogą się wkrótce zrealizować z powodu drastycznego zaostrzenia kryzysu żywnościowego. „Jeśli wierzycie w istnienie piekła na ziemi, zacznijcie się na nie przygotowywać" – ostrzega David Beasley, szef Światowego Programu Żywnościowego.

Kryzys trwa już od lat, napędzany zmianami klimatu i pozrywanymi podczas pandemii łańcuchami dostaw żywności. Teraz dokłada się do tego rosyjska inwazja przeciw Ukrainie. W jej efekcie, jak wynika z wyliczeń organizacji Global Poverty Project, liczba głodujących może wzrosnąć o 500 mln, co dotknie głównie kraje Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu.

Ukraina była bowiem dotąd czwartym co do wielkości światowym eksporterem pszenicy i to stąd pochodziło 15 proc. światowego eksportu kukurydzy. Wątpliwe, by w czasie wojny Ukraina sama nie potrzebowała pomocy z zewnątrz. Kryzys dodatkowo może pogłębić Rosja, jeśli w odpowiedzi na sankcje ograniczy swój eksport, jako że dotąd była największym światowym eksporterem pszenicy i drugim co do wielkości dostawcą nasion słonecznika. Zresztą Kreml wydaje się celowo nakręcać ten kryzys i już wprowadził zakaz eksportu nawozów – Rosja to ich największy na świecie producent.

Tymczasem aż połowa importu pszenicy do Afryki pochodziła dotąd z Ukrainy i Rosji. Na Bliskim Wschodzie statystyki przedstawiają się podobnie. Jednocześnie Ukraina była największym dostawcą pszenicy dla Światowego Programu Żywnościowego, czyli dla najbiedniejszych.

Zapowiedź realizacji scenariusza, przed którym ostrzega Beasley, już widać. W Sudanie doszło ostatnio do zamieszek: ludzie wyszli na ulice, by protestować przeciw drożyźnie (cena chleba wzrosła w ciągu kilku dni o połowę). Podobne protesty wybuchały także m.in. w Egipcie i Iraku. Władze w Kairze zarządziły, że bochenek nie może kosztować więcej niż 11,5 funtów egipskich. Stałe ceny żywności wprowadziła też Albania.

Według danych Business Insider światowe ceny pszenicy wzrosły o 19 proc. od czasu inwazji Rosji na Ukrainę i osiągnęły wysokość z czasu kryzysu z 2008 r.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Madeleine Albright nie żyje

BYŁA PIERWSZĄ w dziejach USA kobietą, która kierowała polityką zagraniczną Stanów u schyłku XX stulecia.

Madeleine Albright urodziła się w Pradze, w rodzinie czechosłowackich Żydów, która dwukrotnie uciekała z kraju: w latach 30. przed faszyzmem i w latach 40. przed komunizmem. Pracę dyplomową pisała u prof. Zbigniewa Brzezińskiego, a jej pierwszym krokiem w polityce był udział w kampanii wyborczej senatora (polskiego pochodzenia) Edmunda Muskiego w kampanii prezydenckiej w 1972 r. Kiedy w 1977 r. Brzeziński został doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego u prezydenta Jimmy'ego Cartera, ściągnął byłą studentkę do Białego Domu. „Gdzie się nie zwróciłam, zawsze trafiałam na Polaka" – mawiała Albright.

Posadę szefowej dyplomacji powierzył jej w 1997 r. Bill Clinton. W tej roli, a wcześniej jako ambasador USA w ONZ, dała się poznać jako orędowniczka przyjęcia do NATO Polski, Czech i Węgier oraz jako zwolenniczka interwencji Zachodu na Bałkanach – uważała, że USA mają moralny obowiązek interweniowania w kryzysy zagrażające pokojowi i porządkowi w świecie. W Iraku zapamiętano ją jednak z telewizyjnego wywiadu, w którym przekonywała, że śmierć pół miliona irackich dzieci, zmarłych wskutek amerykańskich sankcji, nie była wygórowaną ceną za pokonanie tyranii. W Rwandzie zaś pamięta się jej, że jako ambasador w ONZ robiła wszystko, by w rezolucjach nie padło słowo „ludobójstwo", co wymusiłoby na USA interwencję dla przerwania mordów Tutsich.

BILL O'LEARY / GETTY IMAGES

Madeleine Albright zmarła 23 marca w wieku 84 lat. ©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

LICZBA TYGODNIA

20,5 mld

(a dokładnie 20 562 739 390) – tyle euro zapłaciły Rosji kraje UE za paliwa kopalne od 24 lutego do 28 marca rano. Licznik, na którym co sekundę przybywa kolejnych tysięcy euro, przygotowało stowarzyszenie Europe Beyond Coal.

Profanacja i konsekracja

EDWARD AUGUSTYN

Papież poświęcił Ukrainę i Rosję Niepokalanemu Sercu Maryi. Ujęcie w jednej formule ofiary i agresora może niepokoić, choć wynika z istoty chrześcijaństwa, by modlić się za nieprzyjaciół i wznieść się, choćby na ten czas, ponad nienawiść i krzywdę.

Franciszek jest świadom, że wysiłki dyplomatyczne, także Watykanu, zawiodły. Wojna wchodzi w najokrutniejszą fazę: staje się ludobójstwem, a zatem i świętokradztwem – mówił podczas ostatniej audiencji generalnej. W sytuacjach nadzwyczajnych szuka więc nadzwyczajnych gestów. W 2020 r. modlił się samotnie na placu św. Piotra o ustanie pandemii. Dziś prosi – wspólnie z biskupami całego świata, którzy zorganizowali podobne nabożeństwa – o ustanie wojny.

To nawiązanie do objawień fatimskich z 1917 r., według których poświęcenie Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi było warunkiem pokoju w świecie. Nawiązanie oczywiste, nawet jeśli Kościół traktuje te objawienia jako prywatne, co znaczy, że wiara w nie jest indywidualnym wyborem katolika. Poświęcenia Rosji dokonywali już Pius XII, Paweł VI i Jan Paweł II. Czy potrzebna była powtórka? Ponownej konsekracji, np. świątyni, dokonuje się po jej profanacji, nabożeństwa przebłagalne organizuje się po akcie świętokradczym. Może to jest odpowiedź. W końcu, jak mówił papież, nie ma większego świętokradztwa i profanacji niż wojna i śmierć niewinnych ludzi. ©℗

Więcej: **tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine**

Niemcy odpisali Polakom

KROCZYMY „DROGĄ NAWRÓCENIA i odnowy wywołanej skandalem nadużyć, nie lekkomyślnie, a już na pewno nie poza Kościołem powszechnym" – napisał bp Georg Bätzing w liście do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego. Przewodniczący episkopatu Niemiec nie zgadza się z zarzutem polskich biskupów, sformułowanym w ich liście z 22 lutego, że reformy oznaczają rozmycie nauczania Kościoła i podążanie za duchem czasu. Przypomina, że niemiecka Droga Synodalna (na której dyskutowane są m.in. kwestie władzy, roli kobiet i moralności seksualnej) jest odpowiedzią na kryzys pedofilski. „Chętnie dowiem się od Księży Biskupów, w jaki sposób obchodzicie się z systemowymi przyczynami tysięcy przypadków nadużyć" – pisze.

W przeciwieństwie do polskiego listu, niemiecka odpowiedź nie została w całości upubliczniona, a sekretariat KEP odmówił „Tygodnikowi" wglądu w jej treść. ©℗ ASk

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SPRAWIEDLIWOŚĆ

W tym tygodniu papież spotka się z przedstawicielami rdzennej ludności Kanady w dzieciństwie wcielonymi przymusowo do prowadzonych przez Kościoły szkół, w których dochodziło do przemocy i wynaradawiania. Pokrzywdzeni spodziewają się przeprosin za „kulturowe ludobójstwo".

W IMIĘ SPRAWIEDLIWOŚCI

Inicjatywa „Zranieni w Kościele" działa już trzy lata. W ostatnim roku psychoterapeuci odebrali 147 telefonów, 13 spraw przekazano prawnikom. Numer wsparcia: 800 280 900 (we wtorki 19-22).

MYKOLA LAZARENKO / PRESIDENT.GOV.UA

PRZECIW NIESPRAWIEDLIWOŚCI

Lider Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego, metropolita kijowski Epifaniusz (na zdjęciu), poinformował, że już 28 wspólnot z dziewięciu eparchii oficjalnie przeszło z Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego pod jego jurysdykcję.

POŁOWICZNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

To nie założyciel Fundacji Lux Veritatis o. Tadeusz Rydzyk poniesie odpowiedzialność za to, że fundacja konsekwentnie odmawiała informacji na temat wielomilionowych państwowych dotacji. Poniesie ją księgowa. Warszawski sąd skazał Lidię Kochanowicz-Mańk na trzy miesiące pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok, grzywnę 3 tys. zł oraz nakaz udostępnienia informacji.

Polskie prawosławie zmienia kierunek

APEL Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego do władz Rosji o zaprzestanie inwazji na Ukrainę, a także wizyta honorowego zwierzchnika prawosławia Bartłomieja I w Polsce mogą świadczyć o chęci zbliżenia się hierarchów polskiego prawosławia do Konstantynopola.

Duchowni polskiej Cerkwi napisali w liście: „Nie niszczmy tego, co pozostawili nam ojcowie i matki". Tym samym odnieśli się do wspólnych, wywodzących się z Bizancjum, korzeni religii prawosławnej. To tu wzięła swój początek także Ruś Kijowska. Bartłomiej I nazwał z kolei wojnę „obrzydliwą". I zaapelował o jej zaprzestanie.

Patriarcha Konstantynopola przybył do Polski na zaproszenie prezydenta Andrzeja Dudy oraz metropolity Warszawy i całej Polski Sawy, by spotkać się m.in. z uchodźcami z Ukrainy.

Słowa polskich duchownych prawosławnych stoją w sprzeczności z polityką Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Moskiewskiego Patriarchatu i są pewnym *novum*. Jej zwierzchnik, patriarcha Cyryl, nigdy nie potępił wojny na Ukrainie. W popieranie ruchów prorosyjskich nad Dnieprem rosyjska Cerkiew była zaangażowana od upadku ZSRR. Obecnie na wojennym froncie zajmuje się błogosławieniem rosyjskich żołnierzy, jako obrońców „porządku" i „wyzwolicieli wspólnej ojczyzny". Spełnia tym samym wolę prezydenta Władimira Putina, który stwierdził, że „to Bóg chce, by Rosja i Ukraina się zjednoczyły". Z ostrą reakcją rosyjskiego prawosławia spotkało się także powołanie w 2018 r. autokefalii Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego i jego podporządkowanie Konstantynopolowi. Cyryl I mówił o „schizmie".

Co znamienne, wówczas polskie prawosławie nie tylko nie udzieliło Ukrainie poparcia, ale opowiedziało się po stronie Moskwy. © MAŁGORZATA NOCUŃ

RDC POLSKIE RADIO

WOJCIECH BRZEZIŃSKI opowie Grzegorzowi Chlaście o średniowiecznych dziełach, które nie dotrwały do naszych czasów (czytaj na s. 68). Słuchaj rozmowy w Polskim Radiu RDC w środę 30 marca o godzinie 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

MATERIAŁY PRASOWE HBO

Emilia Jones, Troy Kotsur i Marlee Matlin w filmie „CODA”

Oscary: kino na ludzką miarę

ANITA PIOTROWSKA

Wbrew przepowiedniom prezydent Zełenski nie dostał honorowego Oscara. Ukrainę potraktowano raczej symbolicznie: chwilą ciszy, paroma znaczkami w klapach i nieśmiałymi hasłami. Tegoroczna gala toczyła się w zupełnie innym świecie.

Miało być jak najbardziej inkluzywnie, choć równocześnie, w celu ratowania słabnącej oglądalności, wyłączono z bezpośredniej transmisji osiem kategorii, również tę z polską „Sukienką” Tadeusza Łysiaka. Odgłosy dalekiej wojny zostały zagłuszone przez kanonady sztucznego śmiechu, a konwencja spektaklu sprawiła, że nawet niekontrolowane emocje wyglądały niczym wyreżyserowane happeningi.

Choć czasem niespodziewanie wkraczało na scenę realne. Np. kiedy poruszająca się na wózku Liza Minnelli z trudem panowała nad trzęsącym się ciałem albo kiedy w języku migowym fetowano zwycięski tytuł „CODA” (najlepszy film, scenariusz adaptowany i drugoplanowa rola Troya Kotsura). Ta mała niezależna produkcja, która opowiada o słyszącej córce głuchych rodziców, rozdartej między wokalną pasją a lojalnością wobec bliskich, okazała się filmem, na który jest dzisiaj szczególne zapotrzebowanie.

Nie monumentalna i zarazem immersyjna „Diuna” (sześć Oscarów, głównie „technicznych”), nie „Psie pazury”, czyli przewrotny western o ukrytych pragnieniach i trującej męskości (nagroda za reżyserię dla Jane Campion), ani nawet amerykański do szpiku „King Richard: Zwycięska rodzina” o ojcu słynnych tenisistek. Wygrało proste kino na ludzką miarę, raczej do śmiechu i do płaczu niż do kontemplacji czy dyskusji.

Prawem uśrednionego gustu przegrali więc najlepsi. Jak choćby Olivia Colman czy Benedict Cumberbatch, nie wspominając o całkowitym pominięciu animowanego dokumentu „Przeżyć”, który opowiada o traumie uchodźstwa. Ale przystrojone w poprawne politycznie listki figowe Hollywood miało przede wszystkim dobrze się zabawić i, na przekór wojnom, pandemiom, branżowym kryzysom, samo siebie celebrować. Przecież po to właśnie wymyślono Oscary. ©

KULTURA W SKRÓCIE

WAŻNA PREMIERA

Do kin w USA trafił „Infinite Storm”, najnowsza produkcja Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta. Główną rolę zagrała dwukrotnie nominowana do Oscara Naomi Watts. W polskich kinach film pojawi się 27 maja.

BUŁGARSKIE LAURY

Tymczasem polska „Sonata” otrzymała tytuł Najlepszego Filmu Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Sofii. Obraz, który jest pełnometrażowym debiutem fabularnym reżysera Bartosza Blaschkego, zyskał również uznanie bułgarskich widzów, zdobywając Nagrodę Publiczności.

DUŻO CZYTANIA I SPORT

Ireneusz Kania (na zdjęciu) – eseista, tłumacz, poliglota – został tegorocznym laureatem Nagrody im. Kazimierza Wyki. Kania przekłada z kilkunastu języków, jest także znawcą filozofii buddyjskiej i kabały. W wygłoszonej laudacji krytyczka i historyczka literatury Marta Wyka przywołała słowa laureata o tym, że najważniejsze w życiu to „dużo czytania, sport i przypatrywanie się światu”. O książce laureata czytaj na s. 84.

GRAŻYNA MAKARA

MŁODA POLSKA W MONACHIUM

Od 25 marca w Kunsthalle München prezentowana jest ekspozycja sztuki polskiej „Cisi buntownicy. Polski symbolizm ok. 1900 r.”. Pokazano na niej dzieła m.in. Olgi Boznańskiej, Jacka Malczewskiego, Jana Matejki, Józefa Mehoffera i Leona Wyczółkowskiego.

Jej ból jest inny niż mój

WIĘKSZOŚĆ BADAŃ biomedycznych związanych z bólem prowadzi się na modelu zwierzęcym – samcach szczurów. Taka praktyka ma poważne ograniczenia.

Kobiety i mężczyźni są w różnym stopniu narażeni na chroniczny ból. Kobiety znacznie częściej zmagają się z bólami kręgosłupa, ustno-twarzowymi czy migrenami. A w eksperymentach, w których u badanych osób wywołuje się ból różnymi sposobami, kobiety raportują większą wrażliwość. Opisane właśnie w „Brain” przez Annemarie Dedek i współpracowników badanie pomaga zrozumieć, skąd bierze się przynajmniej część tych różnic.

Naukowcy wywołali u samców i samic szczurów stan zapalny i wrażenia bólowe. Zaobserwowano wówczas, że jeden ze szlaków regulujących przekazywanie impulsów bólowych w rdzeniu kręgowym był aktywny u samców, ale nie u samic. Okazało się też, że podanie czynnika wzrostu neuronów (BDNF) wzmacnia tę sygnalizację u samców, ale nie działa u samic. Badanie powtórzono na fragmentach rdzenia kręgowego pobranych od zmarłych kobiet i mężczyzn i zaobserwowano identyczne różnice płciowe, jak u zwierząt. Mają one podłoże hormonalne – u samic szczurów, którym usunięto jajniki, sygnalizacja nerwowa przebiegała tak samo jak u samców. Jak podkreślają autorzy, w przyszłych badaniach nad leczeniem bólu różnice płciowe muszą być częściej brane pod uwagę. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

TEMAT TYGODNIKA

CO DZISIAJ MOGĘ

JUSTYNA DĄBROWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Żeby komuś pomóc, naprawdę musisz być w dobrym stanie. Musisz odpoczywać, spać, ładować baterie.

Uchodźcy z Ukrainy na Dworcu Zachodnim w Warszawie. 11 marca 2022 r.

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

MICHAŁ OKOŃSKI: Jak Ty sobie radzisz?

JUSTYNA DĄBROWSKA: Na początku bardzo się przestraszyłam. Pierwszego i drugiego dnia czułam głównie lęk i dezorientację. Szukałam sposobu, żeby odzyskać myślenie i wrócić do równowagi, więc zaczęłam rozmawiać z tymi, którzy kiedyś znaleźli się w podobnej sytuacji, tzn. mieli wojnę za progiem.

A potem pojechałaś na Dworzec Zachodni.

Mówię biegle po rosyjsku, więc pomyślałam, że mogę się przydać jako tłumaczka. Ale poczułam też, że w razie potrzeby mogę spróbować porozmawiać z kimś, kto będzie w panice, w końcu po tylu latach praktyki interwencja kryzysowa to nie jest coś całkiem mi obcego.

W sobotę, dwa dni po wybuchu wojny, na tym dworcu panował straszny chaos. Po prostu mnóstwo ludzi mających złote serca przyszło z kanapkami dla potrzebujących, a inni skrzyknęli się w Grupę Zasoby i szukali dachu nad głową dla tych, którzy wysypywali się z autobusów. Nie było żadnej informacji i żadnej koordynacji. Wstrząsnęło to mną, szczerze mówiąc.

Wojna wnosi chaos.

Wiem, no ale jednak ta wojna nie toczy się w Warszawie.

Poszłam do punktu medycznego, powiedziałam, że jestem psychoterapeutką i znam rosyjski, więc jeśli będą widzieli, że komuś jest trudno... No i to się wydarzyło, raz, drugi, trzeci. I wiesz, robiłam wszystko inaczej niż w gabinecie.

Opowiesz?

Przybiega ktoś do punktu medycznego i prosi o środki na uspokojenie. Lekarz mówi: „Proszę usiąść, zmierzę ciśnienie". Bada, wyklucza, że jest zagrożenie np. atakiem serca, po czym dodaje: „A tutaj jest Justyna, która z tobą chętnie porozmawia, ona zna rosyjski". Ta osoba siada przy mnie i pierwsze, co robię, to pytam, jak ma na imię, a potem często ją dotykam. Kładę rękę na ramieniu, robię gest, co do którego mam poczucie, że nie narusza żadnych jej granic. Przekazuję komunikat: „Jest bezpiecznie".

Co ma w tym znaczenie: to, że ja w tamtym momencie jestem spokojna. Nie miotam się, żeby zagłuszyć rozszalałe myśli, tylko po prostu jestem na swoim miejscu.

W równowadze.

Wiesz, kiedy powiedziałam pewnej kobiecie „teraz jesteś już bezpieczna", zaczęła płakać. Powiedziałam wtedy: „To jest naturalne, że płaczesz. Płacz. Jestem tutaj przy tobie". Ci ludzie często się boją łez, uważają, że tego jest za dużo, że to jest nie do wytrzymania i że zaraz zwariują. A ja mówię: „To jest normalna reakcja na nienormalną sytuację". Znowu: robię coś innego niż w gabinecie, bo tam przecież nikomu nie mówię, że coś jest nienormalne. Opowiadam: „Zobacz: tu są medycy, jesteśmy na dworcu, tu jest dach, tu nie ma bombardowania". Wyjaśniam, że to, co się z nią dzieje, to nie jest patologia. Że to jest ludzkie. „Ale dzieci zobaczą, że ja się rozklejam", mówi. „Dzieci wiedzą, że tobie też jest ciężko", odpowiadam.

A potem, kiedy widzę, że już jest na to chwila, pytam: „A powiedz mi, skąd jesteś? Co ty robisz?". I kiedy powoli opada napięcie, ta osoba odzyskuje poczucie siebie samej i możliwość myślenia. Wychodzi ze stanu, w którym wszystko jest zagrożeniem.

Później pytam: „Słuchaj, a czy ty coś dzisiaj jadłaś? Piłaś?". Ona się wtedy zastanawia i mówi: „Wiesz, rano coś piłam". To ja wtedy: „A może miałabyś na coś ochotę?". „Herbaty bym się napiła". Na co ja: „Zobacz, tam jest duży stół, warszawiacy przynieśli różne herbaty, chodź, zobaczymy, na co miałabyś ochotę". Nie, że idę sama, żadne: „siedź tutaj i czekaj, ja ci wszystko zrobię". To ona może o czymś zdecydować i coś wybrać. To od niej coś zależy.

Odzyskuje sprawczość.

Tak. Bo przecież wojna ją odbiera w stopniu niemal całkowitym.

W tej rozmowie mogę potem zapytać, jaki ma plan. Wprowadzić w przestrzeń dworca jakąś przyszłość. A jeśli jest taka możliwość, mogę nawet powiedzieć: „Ale wiesz, że każda wojna się kiedyś kończy".

Nie chcę, żeby to wyglądało jak ciąg manipulacji, pokazuję ci po prostu przebieg wydarzeń, w którym człowiek ↦

↦ najpierw musi się poczuć bezpiecznie, potem odzyskać myślenie i poczucie siebie, a na końcu nadzieję. Odbyłam ileś takich rozmów, potem się rozstawaliśmy. Czasem ktoś mnie przytulał, czasem znowu płakał albo mówił, że jest wdzięczny. Ale zdarzało się też, że nasza rozmowa nic nie dawała, bo ktoś był w takim roztrzęsieniu czy wściekłości, że była konieczna interwencja lekarska.

No ale jak pytasz, co mi pomogło sobie samej poradzić, to fakt, że zobaczyłam w tym sens. I że przestałam czytać wiadomości.

Przestałaś czytać wiadomości?

Tak. Ogrom brutalności i zła, jakie przynosiły, odbierał mi siłę.

Chciałem o to zapytać: ta wojna przynosi mocne obrazy, a strona ukraińska wykorzystuje je nawet jako oręż. Nie ma samolotów, ale ma filmy, które mają wstrząsnąć zachodnią opinią publiczną, żeby skłoniła polityków do działania.

No więc mnie te obrazy raczej odbierają siłę, niż mobilizują.

Nieustanne scrollowanie przez wielu z nas wiadomości o wojnie ma charakter wręcz kompulsywny. To chyba nie jest ta przestrzeń aktywności, o której mówisz.

Tak, to trzeba odróżnić. Czy w tym, co robimy, chodzi o odreagowanie, bo rzucamy się w wir działania, żeby wypuścić napięcie i nie dopuścić do siebie trudnych uczuć, czy podejmujemy aktywność na miarę naszych sił?

Wiesz, ja dużo płakałam wtedy. I starałam się móc do kogoś płakać. A jak mi się nie udawało, to włączałam jakiś głupi film i do niego płakałam. Potrzebowałam rozpaczać, bo jest nad czym. A następnego dnia zadawałam sobie pytanie, co dzisiaj mogę. Na co mnie stać.

Kiedy rozmawialiśmy w redakcji o tym kompulsywnym siedzeniu na smartfonie, ktoś z kolegów powiedział, że od paru dni ma z żoną umowę o niewnoszeniu telefonu do sypialni, bo wcześniej budził się co godzinę i sprawdzał, co tam w Kijowie. A ja zrozumiałem, że choć niby gromadzę informacje potrzebne do pracy, to one sprawiają, że zaczynam się wręcz robić apatyczny.

> Wojna wszystko przenika. Ona tu zawsze była, a teraz budzi uśpione traumy. Także dlatego musimy się mocno o siebie troszczyć – żeby ten „ciąg dalszy" był możliwy.

Wspomniałeś o tych mocnych obrazach: zdjęcia martwych ludzi, dzieci, kobiet w ogromnym cierpieniu działają na naszą nieświadomość. Mówiąc najprościej: nie jesteś w stanie tego pomieścić, twój umysł się broni. A samo scrollowanie wiadomości jest efektem działania pierwotnej części twojego mózgu. Części, która próbuje zapanować nad sytuacją. Odzyskać kontrolę. Upewnić się, że nie czyha na ciebie zagrożenie.

Nie zapanuję nad sytuacją wojenną, choćbym nie wiem, jak się starał.

Ale w tym może być jeszcze coś. Nadzieja, że jak znów odświeżysz stronę z wiadomościami, okaże się, że to wszystko nieprawda. Że tego nie było. Albo że się właśnie skończyło.

Trochę jak z pandemią.

No ale tymczasem gromadzisz coś, co jest nie do udźwignięcia. Zaczynasz się czuć przytłoczony. A potem twój umysł się odcina. Faktycznie robisz się apatyczny i nieczuły. A jak się robisz nieczuły na coś tak istotnego, to się robisz nieczuły na wszystko pozostałe.

To mi się wydaje niełatwe: przyznanie sobie prawa do zadbania o siebie. Ktoś ze znajomych powiedział, że czuje się winny, bo ma dach nad głową. Nawet jeśli nie idę tak daleko, to przecież kiedy włączam telewizor, żeby obejrzeć mecz, mam poczucie niestosowności.

Tu są dwie rzeczy. Pierwsza dość elementarna: żeby komuś pomóc, naprawdę musisz być w dobrym stanie. Musisz odpoczywać, spać, ładować baterie.

A druga?

To zdziwienie faktem, że świat dalej istnieje.

Ostatnie dni konfrontują nas z czymś, co mamy mocno pod skórą, czyli z transgeneracyjnym przekazem wojny. Przecież ona się skończyła tak naprawdę niedawno, 70 lat to zaledwie dwa pokolenia. Wtedy też tak było. Ktoś straszliwie cierpiał, a równocześnie świeciło słońce i była piękna wiosna. Przy murze getta kręciła się karuzela.

Skoro mówisz o tym transgeneracyjnym przekazie: wróciłem przed naszym spotkaniem do Twojej ostatniej książki rozmów, „Zawsze jest ciąg dalszy", i uderzyło mnie, ile w niej jest o wojnie i jej śladach. Wcześniej tego nie zauważałem z aż taką ostrością.

Wojna wszystko przenika. Ona tu po prostu zawsze była, a teraz na nowo budzi uśpione traumy. Także dlatego musimy się mocno o siebie troszczyć – żeby ten „ciąg dalszy" był możliwy.

Ze wszystkich stron słychać teraz, że to nie jest żaden sprint, tylko długi marsz. Że musi nam starczyć sił na długo. Patrząc z tej perspektywy jestem naprawdę wściekła, bo wciąż nie widzę instytucjonalnej koordynacji tej wielkiej akcji pomocy uchodźcom. Przecież ona nadal, po miesiącu, opiera się głównie na dobrych sercach ludzi, którzy często robią więcej, niż mogą.

Któregoś dnia po powrocie z dworca napisałaś na Facebooku, że polskie państwo jest wampirem.

Zobaczyłam, jak jego instytucje żywią się energią i dobrymi chęciami obywateli. A przecież wiem, że na dłuższą metę to jest nie do udźwignięcia.

Ten zryw Polaków pozwolił kupić czas – pytanie, na jak długo?

Wciąż jest dużo chętnych. Może także dlatego, że przyjemnie się poczuć w końcu wspólnotą. Straszne, że z takiego powodu, ale świadomość, że coś robimy razem, może zasilać energię tego zrywu. No i dobrze się chyba czuć podmiotem, a nie przedmiotem. Mieć poczucie, że coś ode mnie zależy. I że widać efekt.

Tylko że wszyscy ci zaangażowani w falę pomocy mają swoje życia, swoje zawody i rodziny. Nie wiedzą, czy mają prawo w którymś momencie powiedzieć: „Nie, już dzisiaj na dworzec

nie idę, bo nie mam siły". Albo: „Nie przyjmę kolejnej osoby, bo to już dla mnie za dużo". Zwłaszcza jak się jest młodym, trudno o siebie dbać. Bo się pojawia poczucie winy: „Jak to, przecież nie mogę ich zostawić...". To, że państwa w tym nie ma, jest naprawdę skandalem.

Pytanie, czy przyjmując uchodźców do siebie, naprawdę wiemy, na co się decydujemy.

Ktoś ma dom z ogrodem, a w tym domu jeden wolny pokój. I zaprasza sześć osób. A wśród tych osób są dwie chore i jedna w potężnym stresie. Tak, myślę, że często ludzie przyjmują, a potem się orientują, że coś przekracza ich siły. Zaczynają czuć złość. Zaczynają czuć, że ich granice są przekraczane. Zaczynają widzieć różnice między gośćmi a ofiarami wojny, którym nie wystarczy dach nad głową, zupa i ciepła woda pod prysznicem.

To mi się wydaje najtrudniejsze i najdelikatniejsze zarazem: jak być z nimi i dbać o swoje granice?

Czasem ktoś odkrywa, że miał na to przestrzeń, i w domu, i w swoim wnętrzu. Że ten obcy okazuje się wcale nie aż taki obcy. Granice udaje się ustalić. Przybysz zaczyna gotować, co jest dużym wsparciem, a dzieci razem się bawią. Tak może być, ale raczej nie będzie, bo ludzie mają różne zasoby i doświadczenia. Problem w tym, że uczymy się tego w biegu: co to znaczy przyjąć pod dach strudzonego wędrowca.

Potężna odpowiedzialność.

Jedni np. wolą przyjąć kogoś na dłużej, zamiast ciągle się zapoznawać z kimś nowym. Innym bardziej pasuje dać uchodźcom tymczasowe schronienie i pomóc przygotować się do dalszej drogi. Tylko co z ludźmi, którzy zaprosili kogoś na tydzień, a po trzech dniach czują, że tego nie wytrzymują? Bo za dużo, bo za trudno, bo nie ma języka do wspólnej komunikacji, bo różnice kulturowe, np. w podejściu do dzieci?

To ważne: goście mogą się zachowywać w sposób niezrozumiały. Niezrozumiały dla nich samych, a co dopiero dla nas. Mogą się wydawać roszczeniowi albo burkliwi. Mogą być zapadnięci albo nadaktywni. Mogą sprawiać wrażenie takich, którzy nie są wdzięczni. Tylko, kurczę, oni uciekają z wojny.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

JUSTYNA DĄBROWSKA jest psychoterapeutką i autorką zbiorów rozmów, stale współpracującą z „Tygodnikiem Powszechnym". Ostatnio opublikowała „Zawsze jest ciąg dalszy".

Nie mamy pojęcia, jak byśmy się sami zachowywali na ich miejscu.

Wielu bieżeńców jest przepełnionych wstydem przemieszanym z winą. Wstydem, że nie zrobiło się wystarczająco dużo. I że się w ogóle ocalało. Kobiety czują się winne, bo zostawiły tam swoich mężczyzn – Andrzej Stasiuk w chwytający za gardło sposób opisał tych mężczyzn, którzy podwożą kobiety pod samą granicę, a potem wracają, by walczyć. One zmagają się z pytaniem, czy nie trzeba było jednak zostać. No i co się dzieje z tymi mężczyznami? Czasami mówiłam tam na dworcu: „Wiesz, nie znam twojego ukochanego, ale tak sobie wyobrażam, że jemu może być trochę lżej, jeśli wie, że ty jesteś bezpieczna".

Jak z nimi być, żeby nie pogłębiać ich traumy?

To jest chyba zbyt ambitne pytanie, ale kluczowa jest podmiotowość, o której mówiłam, streszczając ci te rozmowy. Ten ktoś musi być widziany jako podmiot, taki sam jak ja, tylko w innej sytuacji. A z samą traumą ostrożnie, bo przecież nie każdy z nich będzie miał po czasie PTSD. Oczywiście, bycie świadkiem śmierci albo bycie w zagrożeniu własną śmiercią to zawsze trauma. Nasz umysł nie jest w stanie znosić takich doświadczeń bez ceny. Trauma to znaczy rana. Ona jest jak nóż, przebijający wszelkie ochrony. Reagujesz przerażeniem, chęcią ucieczki albo zamrożeniem. Ale większość osób po takim doświadczeniu – jeśli ma wokół siebie życzliwych ludzi – dochodzi do siebie. Kluczem jest obecność kogoś, kto pomoże odtajać, wyjść z zamrożenia.

Odpowiadając najprościej: trzeba uznać prawo naszego gościa do trudnych zachowań. I nie odbierać ich osobiście.

Rozumiem też, że dobrze mieć świadomość, z jakiego miejsca angażujemy się w pomoc. To, że próbujemy w ten sposób jakoś sobie poradzić z wojennym zagrożeniem, jest naturalne.

To nic złego, że pomagam, bo chcę poczuć, że nie jestem bezradna, że mam coś do zrobienia i że mogę nadawać jakiś sens temu, co dzieje się wokół (nie wojnie – wojna nigdy nie ma żadnego sensu). Że moje życie ma jakieś znaczenie; że to nie jest wszystko jedno, czy jestem, czy mnie nie ma.

W tym mieści się też satysfakcja, że dzięki rozmowie ze mną ktoś się uspokaja. Radość spotkania z drugim człowiekiem. Poczucie, że dzień nie poszedł na marne. Ale powinna temu towarzyszyć praca świadomości: czy naprawdę dzisiaj mogę pomagać, co mnie motywuje, na co mam siły, jakie mam ograniczenia, czym się mogę zająć, a czym na pewno nie? W tym kontekście mam dużo obaw, zwłaszcza o młodych ludzi, którzy pojechali na granicę i którzy byli pierwszym kontaktem dla wjeżdżających do Polski. Którzy brali na siebie emocje. I którzy nie wiedzieli, że mogą powiedzieć: „Zaraz, poczekaj, nie opowiadaj mi tego, bo ja najpierw muszę się zająć tym, żebyś ty miała gdzie zanocować".

Na Facebooku opisałaś przebieg „krzywej katastrofy". Faza początkowa – szok i lęk. Faza heroiczna – bohaterskie akty i altruizm. Faza „miesiąca miodowego" – zdaje się, że właśnie w niej jesteśmy – społeczność współdziała, przeważa aktywność i optymizm. Ale potem przychodzi faza rozczarowania: po okresie solidarności poczucie izolacji i porzucenia, depresja, nawrót traum z przeszłości. Dopiero na końcu, ale w perspektywie lat, jest faza rekonstrukcji, czyli powrót do normalności z okresami smutku i mierzenia się ze stratą.

Czeka nas bardzo trudny czas. I jestem przekonana, że można byłoby tę krzywą ↦

↦ trochę wypłaszczyć, gdyby równolegle do inicjatyw opartych na dobrym sercu zjawiały się instytucje wspierające zmęczonych ludzi.

A jeżeli się nie zjawią?

To przewiduję pogłębienie się procesów, z którymi już zaczęliśmy mieć do czynienia: konfliktów między Polakami a Ukraińcami, pomiędzy Polakami a Polakami, ale też pomiędzy Ukraińcami a Ukraińcami, bo np. ci, którzy tu już byli i zżyli się jakoś z naszym społeczeństwem, mogą mieć pretensje do tych, którzy przyjechali po 24 lutego, że różne rzeczy, które ich poprzednicy musieli wypracować w pocie czoła, dostają za darmo. O konfliktach w szkołach nie chcę nawet mówić, skoro w samej Warszawie ma do nich trafić niemal sto tysięcy ukraińskich dzieci i skoro tę rzeszę niemówiących po polsku uczniów będą musieli ogarnąć nauczyciele wykończeni pandemią i konfliktami wokół reform.

Jak nie żywić w tych dniach złych uczuć wobec Rosji? Pytam jako ktoś, kto w wieku licealnym zakochiwał się w wierszach akmeistów tłumaczonych m.in. przez Twojego tatę.

Ktokolwiek ożywia we mnie uczucie nienawiści, robi mi krzywdę. Dlatego mam w sobie niezgodę na to, żeby czuć do kogoś nienawiść. Chociaż przyznaję, że Putinowi życzę źle – za wszystkie ukraińskie krzywdy i za sianie ziaren nienawiści, z których żniwa będą przecież zbierane przez pokolenia.

Do Rosjan nie czuję nienawiści, ale mam mieszane uczucia. Rozczarowania. Współczucia. Podziwu wobec tych, którzy protestują. Żalu. Złości. Przeczytałam niedawno zapis superwizji włoskiego psychoanalityka z grupą rosyjskich terapeutów. To był zimny prysznic: wgląd w myślenie ludzi szkolonych przecież, żeby mieć pogłębioną refleksję i rozumienie różnych zjawisk, którzy powtarzali putinowski przekaz. Zaprzeczanie rzeczywistości widać było jak na dłoni. Bardzo smutne.

To, że chodzi o Rosję, jest dla nas tutaj tak przerażająco zrozumiałe.

Tak, paliwem dla czegoś, co nazwałeś zrywem, są także polsko-rosyjskie doświadczenia. Lęk przed Rosją i niezałatwione sprawy. Myśmy przez 30 lat po transformacji nigdy nie usłyszeli od nich „przepraszam", to nie zostało – mówiąc językiem terapeutycznym – przepracowane. Inaczej niż z Niemcami czy ze stosunkami polsko-żydowskimi, nawet jeśli w przypadku tych ostatnich wciąż uważamy, że można zrobić więcej.

Poruszyło mnie wyznanie Bogdana de Barbaro w „Gazecie Wyborczej", że angażując się w pomoc uchodźcom poczuł się usprawiedliwiony z faktu, że nie jest na froncie. On, psychiatra i psychoterapeuta bardzo świadomy siebie, miał tak silną reakcję, bo jego dziadek zginął w Katyniu.

To rany, które łatwo się otwierają. A fakt, że państwo rosyjskie nie poczuwa się do winy w związku z 17 września, Katyniem, wywózkami, nie ułatwia ich zabliźnienia. Co mówię przy całej miłości do tej literatury i przy pięknych wspomnieniach z dzieciństwa, kiedy w naszym domu bywali Okudżawa i Strugaccy.

W normalnych czasach prosiłbym Cię o opowieść o tych wizytach. A teraz muszę zapytać, czy rozmawiasz z wnukami o wojnie.

Nie muszę. Jak na razie chłopcy sobie świetnie radzą. Przerabiają to, co czują, performatywnie i ekspresyjnie, jak trzeba, Gucio bawi się w strzelanie z patyków, Teoś gra na instrumencie. Rysują. Myślę, że dzieciom potrzeba właśnie tego, a nie gadania.

To zapytam jeszcze, skąd czerpać nadzieję?

Mnie pomaga przekonanie, że wszystko kiedyś mija. Nie że wszystko będzie dobrze, bo tego nie wiemy. Że minie.

Nie chcę skupiać rozmowy na sobie, ale pamiętam, w jakiej rozpaczy byłam, kiedy umarła Gaja Kuroń. Siedziałam w ich mieszkaniu na Mickiewicza, patrzyłam na Jacka, który wyszedł wtedy z więzienia na przepustkę, dookoła kłębił się tłum i nagle z tego tłumu podeszła do mnie znajoma. Powiedziała najprostsze zdanie: „Ja wiem, że ciebie teraz bardzo boli, ale ten ból kiedyś minie". I to było tak, jakby ktoś zapalił światło.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Dziesięć reguł na czas chaosu

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Fundamentalną ludzką potrzebą, a zarazem warunkiem możliwości sensownego działania jest rozumienie. Zwłaszcza w czasie, kiedy naszą teraźniejszość opisuje słowo dawno odesłane do historii: wojna.

Wybitny mitoznawca Joseph Campbell zwykł mawiać, że w okresach chaosu i kryzysu należy przede wszystkim czytać książki. Idąc tym tropem przygotowałem 10 reguł – i 10 ilustrujących je lektur – które mogą pomóc stawić czoło lękowi, pomieszaniu i dezorientacji.

1. Zachowuj proporcje

Zachodnia wyobraźnia, ufundowana w ogromnym stopniu na symbolice i mitologii chrześcijańskiej, od dawna przeniknięta była lękiem i oczekiwaniem na finalną zagładę wszystkiego. W ostatnich latach koniec świata stał się dyżurnym tematem nie tylko politycznych debat i naukowych sympozjów. Ziemię, doszczętnie zdewastowaną przez serię eksplozji nuklearnych albo spaloną na popiół wskutek upałów, oglądamy w niezliczonej ilości seriali. W naszych smartfonach nieustannie przewijają się tysiące obrazów przedstawiających agonię cywilizacji, ludzkości i planety.

Kiedy zatem wydarza się coś, o czym wszyscy sądzili już, że nigdy

się nie wydarzy, a co zarazem wpisuje się doskonale w apokaliptyczny scenariusz – czyli wojna – trudno zachować proporcje w ocenie tego, co się dzieje. Przesiąknięta apokaliptycznymi wizjami psychika reaguje niejako automatycznie, spodziewając się, że oto nadeszło najgorsze, że za moment świat zniknie. W przywróceniu proporcji i uświadomieniu sobie, że nie jest to ani pierwszy, ani ostatni moment takiego wzmożenia – bo radykalne załamanie poczucia bezpieczeństwa i przewidywalności zawsze prowokuje podobne fantazje – pomóc może lektura pracy francuskiego historyka Jeana Delumeau „Strach w kulturze Zachodu" (przeł. Adam Szymanowski, Oficyna Wydawnicza Volumen 2011).

2. Ogranicz dostęp do mediów społecznościowych

U początków internetu łudzono się, że sieć będzie przestrzenią, w której znikną podziały, konflikty i bolączki charakterystyczne dla świata analogowego. Komercjalizacja, a przede wszystkim pojawienie się mediów społecznościowych rozwiały te marzenia. Po krótkotrwałej euforii, kiedy wydawało się, że oto dostaliśmy do rąk narzędzie otwierające zupełnie nową jakość komunikacji (co skądinąd jest prawdą, tyle że nie całą), przyszło rozczarowanie. Zamiast sferą powszechnej i cywilizowanej wymiany różnorakich dóbr, media społecznościowe stały się terenem wojen tożsamościowych, baniek informacyjnych i wirtualnych linczów. Zamiast środkiem łagodzenia drugorzędnych różnic, stały się polem, w którym różnice intensyfikują się do postaci skrajnej. Zamiast domeną wolną, kształtowaną przez użytkowniczki i użytkowników zgodnie z ich najlepszym interesem, stały się terytorium kolonizowanym przez rozmaite agendy wpływów, od wielkich korporacji po partie polityczne i tajne służby.

Odkąd Putin rozpętał wojnę, widać to jeszcze wyraźniej. W mediach społecznościowych – oprócz festiwalu dobroczynności i wsparcia dla Ukrainy – trwa festiwal fake newsów, egzaltacji, moralizowania, rosyjskiej propagandy i dezinformacji oraz wzajemnego oskarżania się i wyzywania przez zwolenników różnych opcji politycznych. O tym, jak media – nie tylko społecznościowe – stały się terenem, a zarazem generatorem współczesnych politycznych i tożsamościowych wojen, traktuje książka Matta Taibbiego „Nienawiść sp. z o.o." (przeł. Tomasz S. Gałązka, Czarne 2020).

3. Korzystaj wyłącznie ze sprawdzonych źródeł informacji

Odróżnienie prawdy od fałszu jest dziś zadaniem niebywale trudnym. Nie tylko dlatego, że z pomocą nowoczesnych urządzeń daje się generować doskonałe imitacje rzeczywistości (raczkujące dopiero możliwości *deepfake* to tylko jeden z przykładów). Także, a może przede wszystkim dlatego, że dewaluacji uległo samo pojęcie „prawdy". Czy winić za to należy filozofów postmodernistycznych, którzy kilkadziesiąt lat temu dowodzili, jak bardzo niebezpieczna to kategoria? Czy stoi za tym raczej kryzys tradycyjnych mediów, dla których nie klikalność, lecz rzetelność była fundamentalną wartością? A może odpowiedzialnością należałoby obciążyć ideologię neoliberalną, propagującą specyficzny pragmatyzm, w myśl którego nie to się liczy, co adekwatne i uczciwe, lecz to, co rynkowo skuteczne? Bez względu na to, który wariant tu wchodzi w grę, fakty (sic!) są takie, że codziennie zalewają nas potoki informacji, których wiarygodności nie jesteśmy w stanie zweryfikować. A wiele z nich produkowanych jest właśnie po to, żeby wprowadzić nas w błąd.

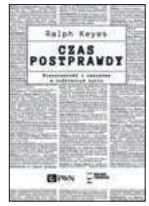

Dlatego – zwłaszcza podczas wojny, która wszak toczy się także w sferze wirtualnej – najlepiej polegać wyłącznie na sprawdzonych źródłach informacji. W pierwszej kolejności na tytułach od dawna obecnych na rynku, mediach opartych na tradycyjnej strukturze, czyli redakcji, w której pracują profesjonalni dziennikarze i redaktorzy, wyspecjalizowani w weryfikowaniu fake newsów. O skali tego zjawiska, a także o tym, jak istotne jest dbanie o zachowanie różnicy pomiędzy faktem a fikcją, traktuje książka Ralpha Keyesa „Czas postprawdy" (przeł. Paweł Tomanek, PWN 2017).

4. Nie szukaj pewności

Im bardziej niepewny staje się świat, tym większe w nas pragnienie pewności. Tą dialektyczną zależnością tłumaczy się m.in. rosnącą popularność teorii spiskowych. Nieprzypadkowo powiada się o nich, że to współczesne utopie *à rebours* – gdyby wyekstrahować z nich zawartość pozytywną, byłaby to wizja życia mlekiem i miodem płynącego. Za wszelkie dyskomforty i w ogóle całe zło odpowiadają tu jakieś ukryte grupy nacisku. W czasach, w których – m.in. dzięki rozwojowi nauki – rzeczywistość jawi się jako bezprecedensowo skomplikowana, narracje spiskowe muszą zyskiwać zwolenników.

Wojna to wprost idealny czas na ich rozprzestrzenianie się. I w ogóle na rozprzestrzenianie się rozmaitych bezdyskusyjnych tez, radykalnych interpretacji oraz mniej lub bardziej afektowanych proroctw. Jednak tłumienie lęku za pomocą spiskowych zagłuszaczy przypomina gaszenie pożaru benzyną. Niepewność i niestabilność fundamentalnie wpisane są w ludzkie życie. O tym, że nie tylko da się z tym żyć, ale że z tym żyć trzeba, dobitnie pisał XX-wieczny niemiecki filozof i teolog Paul Tillich w książce „Męstwo bycia" (przeł. Henryk Bednarek, Rebis 1994).

5. Poddawaj refleksji emocje i odruchy

Relacja na żywo z całego świata, dostępna 24 godziny na dobę w smartfonie, i emocje w mediach społecznościowych – wszystko to sprawia, że żyjemy w stanie permanentnego przyspieszenia. Czujemy się zobowiązani nie tylko do przyswajania ogromu wiadomości – żeby nie przegapić Czegoś Niezwykle Ważnego – ale także do posiadania opinii na każdy temat. Rytualne grupowanie się wokół tych czy innych przekonań i ocen, aprobata lub dezaprobata wobec jakichś postaci czy zdarzeń – koniecznie wyrażana bezpośrednio, przy pomocy emotikonów, postów i udostępnień – stały się jedną z podstawowych form manifestowania społecznych afiliacji. A zatem ↦

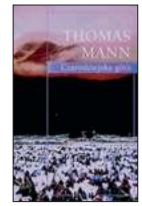

↦ potwierdzania swojej tożsamości i wartości. W języku psychoterapeutycznym pojawiają się na opisanie tej specyficznej kondycji nowe terminy, np. *FOMO* (z ang. *fear of missing out)*, czyli właśnie lęk przed tym, że nas coś ominie.

Wojna w Ukrainie jest bodaj pierwszą, którą obserwujemy w tego typu warunkach, zjawiska opisane powyżej to wszak kwestia ostatnich kilkunastu lat. Siłą rzeczy intensywność naszego przeżywania tego, co się tam dzieje, czy wręcz poczucie bezpośredniego uczestnictwa – choć od frontu dzielą nas spore odległości – osiągają skalę niespotykaną. Jeszcze zanim Rosja dokonała napaści, w naszym świecie nie było zbyt wiele miejsca na refleksję, dziś jest go jeszcze mniej. Tymczasem dystans, myślenie, zanim się coś powie i zrobi, to praktyki niebywale potrzebne zwłaszcza w czasach chaosu, kiedy miotają nami skrajne emocje. Doskonałym ćwiczeniem z refleksji, a zarazem pasjonującym opisem niezliczonych rozmyślań i rozmów – odbywanych skądinąd u schyłku epoki, niedługo przed wybuchem wojny – jest „Czarodziejska góra" Tomasza Manna (przeł. Józef Kramsztyk i Jan Łukowski, Czytelnik 1998 i inne wydania).

6. Kultywuj konflikt wewnętrzny

Jedną z konsekwencji kompulsywnego poszukiwania pewności – a zatem niezgody na niepewność – jest wrogi stosunek do różnorodności i pluralizmu. Jeśli bowiem przywiązanie do takich czy innych poglądów przestaje być efektem wysiłku na rzecz poznania świata – staje się natomiast metodą niwelowania lęku przez wznoszenie tożsamościowych fortyfikacji na jego chwiejnym gruncie – wówczas wszelka inność niejako z definicji zaczyna być zagrażająca. W polskiej sferze publicznej, spolaryzowanej do granic możliwości, możemy obserwować to zjawisko w stanie, jak mawiają chemicy, czystym do analizy. Dwa zwaśnione obozy polityczne – niezależnie od tego, kto ma w konkretnych sprawach więcej racji, bo przecież nie jest ona rozłożona po równo – uprawiają specyficzną grę, w ramach której obciążają się wzajemnie odpowiedzialnością za całe zło. Uczestniczymy w tym, chcąc nie chcąc, wszyscy. A odkąd wybuchła wojna – choć wydawałoby się, że powinien być to czas taktycznego rozejmu i zwarcia szeregów – ta gra zrobiła się bardzo niebezpieczna. Głębokie przekonanie, że wszystko, co złe, jest wyłącznie na zewnątrz – np. w politycznym przeciwniku – często bywa pierwszym krokiem do realnej przemocy.

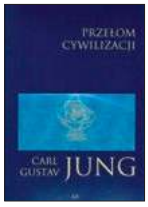

Wielki szwajcarski psycholog Carl Gustav Jung twierdził, że najlepszym, co można w takiej sytuacji robić, to uświadamiać sobie własny konflikt wewnętrzny. Wytrącać się ze złudnego poczucia spoistości. Szukać w sobie ambiwalencji, zamiast lokować całą agresję w innym. Społeczeństwa, które potrafią to robić – przekonywał Jung – są znacznie mniej narażone na to, że konflikt przeniesie się na zewnątrz. A także na to, że w wyborach zagłosują na polityków, którzy zechcą kiedyś rozpętać wojnę. Kto ma ochotę przeczytać o tym więcej, niech sięgnie po wybór pism Junga „Przełom cywilizacji", a w szczególności po dwa pomieszczone tam, napisane po II wojnie światowej eseje: „Po katastrofie" i „Walka z cieniem" (przeł. Robert Reszke, KR 2009).

7. Przeżywaj lęk, rozpacz i smutek – to normalne

Wychowani w kulturze, która nie daje przestrzeni na porażkę, bo głosi kult sukcesu, dotkliwie przeżywamy konfrontację z ciemnymi wymiarami życia. Od dziecka przyzwyczajani do tego, że „każda trudność to wyzwanie", a „negatywne emocje są przeszkodą na drodze do zwycięstwa", postrzegamy przygnębienie albo smutek jako coś, czego nie powinniśmy doświadczać. I co zatem – jeśli się pojawia – wymaga takiej czy innej korekcji. Wyjściowy ludzki krajobraz emocjonalny – wierzymy – zawiera wyłącznie takie elementy jak zadowolenie, optymizm, radość, nadzieję, poczucie sensu życia i świata. Jeśli pojawiają się w nim dyskomforty, znaczy to, że jest z nami coś nie tak. Nie ze światem, nie ze strukturą społeczną obejmującą takie zjawiska jak nierówności, gloryfikację egoizmu czy bezrobocie, lecz z nami.

Absurdalność tego ujęcia odsłoniła pandemia, teraz odsłania je wojna. „Trzeba myśleć pozytywnie", „wszystko zależy od nastawienia"... Naprawdę? A może po prostu trudne emocje informują – podobnie jak te przyjemne – o położeniu, w jakim się znajdujemy? Może stanowią tak samo uprawnioną część naszego doświadczenia, jak wszystkie inne jego aspekty? Może właśnie teraz, kiedy tuż obok giną ludzie, nie mamy zbyt wiele powodów do radości, a lęk, przerażenie, rozpacz i poczucie bezsensu to w pełni uzasadnione reakcje (co oczywiście nie znaczy, że kiedy cierpienie emocjonalne staje się nie do wytrzymania, nie należy skorzystać z pomocy psychiatry lub terapeuty)? O tym, jak kultura i ekonomia modelują nasze emocje i sposób postrzegania siebie, traktuje książka Evy Illouz „Uczucia w dobie kapitalizmu" (przeł. Zygmunt Simberowicz, Oficyna Naukowa 2010).

8. Nie bierz na siebie odpowiedzialności za całe zło tego świata

Jednym z najdotkliwszych przeciążeń, jakim współcześnie podlegamy, jest przeciążenie jednostkową odpowiedzialnością. Nie tylko za nasze samopoczucie i miejsce w hierarchii społecznej, ale także za np. stan planety. To właśnie w twoich rękach – przekonują liczni świeccy moraliści – spoczywa los ludzkości. Ten dyskurs, przekonujący, że dysponujemy jako jednostki niebywałą wprost sprawczością, może oczywiście motywować do pożytecznych działań. Może jednak także powodować frustrację i prowadzić do apatii. Zwłaszcza kiedy zderzymy się z własnymi nieprzekraczalnymi ograniczeniami oraz prawdą tyleż oczywistą, co dziś obrazoburczą: jednostka przeważnie może mało, a niekiedy po prostu nic nie może, bo żeby zmienić świat, potrzeba zmian systemowych.

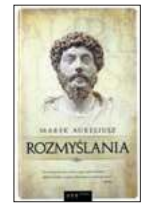

Wojna przyniosła wiele wezwań do działania oraz smutnych konstatacji, że „wszyscy ponosimy odpowiedzialność za to, co się dzieje na Ukrainie". Otóż – nieprawda. Odpowiedzialność ponosi przede wszystkim Putin, jego otoczenie oraz – do pewnego stopnia – popierające go rosyjskie społeczeństwo.

Pogrążanie się w poczuciu winy za cudze czyny, branie na barki zła całego świata jest nie tylko nieadekwatne, ale osłabia zdolność do rozpoznawania zakresu swojej realnej odpowiedzialności i pożytecznego działania tam, gdzie faktycznie jest taka możliwość. O tym, jak rozróżniać to, co od nas zależy, od tego, co nie zależy, traktują nieśmiertelne „Rozmyślania" Marka Aureliusza (przeł. Marian Reiter, PWN 1988).

9. Pomagaj w miarę możliwości

Rozmaite organizacje zajmujące się pomocą uchodźcom apelują o działania przemyślane i rozsądne. Znaczy to przede wszystkim: takie, które są faktycznie potrzebne innym, nie zaś takie, których głównym celem jest zaspokojenie własnego poczucia sprawczości. Bez wątpienia jesteśmy dziś moralnie zobligowani do pomagania ludziom uciekającym przed wojną, nie tylko z Ukrainy. Ale decyzja o tym, w jaki sposób działać na rzecz innych, musi obejmować nie tylko rozeznanie w cudzych potrzebach, ale także we własnych możliwościach i zasobach. Zarówno materialnych, jak i psychologicznych. Inaczej grozi to kryzysem, którego skutki dotkną zarówno potrzebujących, jak i pragnących pomóc.

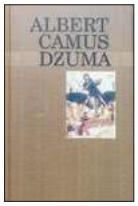

Najgorzej jest jednak wtedy, kiedy pomaganie staje się – a media społecznościowe znów mają z tym wiele do czynienia – pretekstem do wzajemnych połajanek. Zamieniając kwestię elementarnie ludzką – podanie ręki potrzebującemu – w instrument do okładania się po głowach, dewaluujemy głęboki sens pomocy. Pogrążając się w jałowych egzaltacjach, zakłamujemy kwestię podstawową: przyjeżdżają do nas miliony ludzi, którzy z powodu napaści Rosji na Ukrainę szukają schronienia. Potrzebne im są leki, jedzenie, dach nad głową, nie zaś nasze kłótnie i emocjonalna ekwilibrystyka. O tym, że pomoc to zarazem obowiązek moralny i zwyczajna pragmatyka, opowiada „Dżuma" Alberta Camusa (przeł. Joanna Guze, PIW 2017 i inne wydania).

10. Memento mori

Jednymi z najmocniej uwidocznionych ostatnio – przez pandemię i wojnę – aspektów ludzkiej egzystencji są jej kruchość i skończoność. Wydawałoby się, że tak fundamentalnego składnika życia jak śmiertelność nie trzeba dodatkowo uwidaczniać, trudno bowiem o coś bardziej widocznego. Tymczasem rozmaici badacze zajmujący się historią ludzkiego stosunku do śmierci są zgodni, że współczesna epoka – co jest, nawiasem mówiąc, sytuacją bez precedensu – stara się wytworzyć w nas wrażenie, że będziemy tu bezterminowo. Pragnienie nieskończoności w połączeniu z nieodwołalną skończonością, fantazja o nieograniczeniu w połączeniu z ograniczeniem sprawiają jednak, że nasze położenie w świecie jest tragiczne. Oznacza to tyle, że jesteśmy nieuchronnie skazani na stratę, bo fundamentalne konflikty, których doświadczamy, są nierozwiązywalne. Nie chcemy o tym tragizmie pamiętać. Uwierzyliśmy, że nasze doświadczenie lepiej charakteryzują takie pojęcia jak „lekkość", „ironia", „zabawa", „samorealizacja" albo „wieczna młodość". Straciliśmy czujność, ale i zdolność do doceniania wartości tego, co ulotne i kruche, a nam się wydawało, że dane raz na zawsze: poszanowania jednostki, praw człowieka, demokracji.

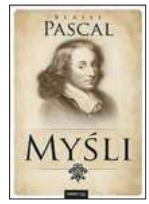

Brutalny, niesprawiedliwy i nieuzasadniony atak na naszych sąsiadów boleśnie przypomina, że nic nie jest dane raz na zawsze. Że ludzkie życie można zdmuchnąć w jednej chwili, niczym pyłek. I że także dzisiaj o pewne wartości trzeba walczyć tak, jak to robią właśnie mieszkańcy i mieszkanki Ukrainy, dający nam niebywałą lekcję dzielności, odwagi i poświęcenia. Wiele powstało genialnych tekstów o znikomości ludzkiego życia i nieuchronności śmierci, ale jednym z najwybitniejszych są „Myśli" Blaise'a Pascala (przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, PAX 1998 i inne wydania).

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Zaksięgowane

„Po raz trzeci?!” – wyrwało się z młodej piersi kongreganta, pilnie śledzącego treść cotygodniowych czytań z Tory. Pięć ostatnich porcji Księgi Wyjścia opowiada o przenośnej Świątyni. W pierwszych dwóch i fragmencie trzeciej zapoznajemy się z detalicznymi instrukcjami przekazanymi przez Najwyższego Mojżeszowi: jak wykonać sam Przybytek, jego sprzęty oraz szaty liturgiczne dla kapłanów. W czwartej porcji – znów ze szczegółami – śledzimy wprowadzanie w czyn tych instrukcji, dotyczących budowli i jej wyposażenia. Piąta porcja – a jakże – zawiera opis sporządzenia szat dla Aarona i jego synów oraz relację ze zmontowania Świątyni i poświęcenia jej, czyli rzeczywiście Przybytek został omówiony po trzykroć. Ową ostatnią w tej księdze porcję otwiera jednak wyliczenie, które jawi mi się jako starożytny dokument księgowy.

„Oto obliczenia dla przybytku, przybytku świadectwa, które obliczone zostały z polecenia Mojżesza: służba Lewitów była pod dozorem Ithamara, syna Ahrona, kapłana” (Wj 38, 21; Cylkow). Nie widzę przeszkód, by zrozumieć to tak, że lewici służą za księgowych, a Itamar pełni rolę głównego audytora. Wyliczenie dotyczy wykorzystania środków publicznych, a konkretnie trzech cennych metali, które Izraelitki i Izraelici złożyli jako dar na poczet wzniesienia Przybytku. Przypomnijmy – z zebranego złota powstał świecznik i wieko Arki Przymierza. Tym cennym kruszcem pokryto też resztę Arki, stół na chleby pokładne, ołtarz, panele ścienne i słupy, już nie wspominając o złotych niciach w tkaninach tworzących części budowli oraz kapłańskiego stroju. Całość srebra na podsłupia i haczyki pochodziła z półszeklówek, wziętych „od sześciukroć trzech tysięcy i pięciuset pięciudziesięciu” mężczyzn w wieku poborowym. Do czego posłużyła zebrana miedź, możemy przeczytać w wersach 29-31.

Nie na darmo Wiekuisty mówi o Mojżeszu, że jest on godny zaufania: „w całym domu Moim uwierzytelniony on” (Lb 12, 7). Tym niemniej Talmud odnotowuje oparte na błędnej kalkulacji drwiny rzymskiego generała Kontrokosa, który zapytał, czy Nasz Nauczyciel był złodziejem, oszustem, czy może nie umiał rachować, bo „połowę srebra dał [na Przybytek], połowę wziął [sobie] i nie oddał całej połowy”. Błąd Rzymianina polegał na przypisaniu zaniżonej wartości szeklowi świątynnemu, tak jakby był „zwykłym” szeklem. Rachunek zgadzał się co do grosza, jednak działanie Itamara było uzasadnione. Pieczę nad środkami publicznymi – mówią rabini – powinny zawsze mieć co najmniej dwie osoby łącznie. Wchodząc do skarbca, nie wolno mieć ubrania z kieszeniami ani butów na nogach, by nie ukryć tam monet. Trzeba też cały czas mówić, by nie móc schować monety w ustach. I co na to powiedzieliby nasi włodarze? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Podwyższenie krzyża

Pięknie się nam mówiło o wszechogarniającym miłosierdziu Boga, o słodkim niewolnictwie Maryi, o sianeczku i żłóbeczku, tudzież o słodkich gwoździach i ranach, jak też o pustym grobie, niechybnym znaku zmartwychwstania. Tymczasem na Ukrainie, i w wielu innych państwach, groby się zapełniają, a śmierć rodzi rozpacz. Powoli zaczynamy sobie jednak przypominać, że słowa Jezusa „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” to owszem cytat z psalmu, ale również skarga niejednego zrozpaczonego człowieka. „Daleko jesteś, mój Wybawco, chociaż jęczę w bólu. Boże mój, wołam w ciągu dnia, a nie odpowiadasz, i nocą, a nie zaznaję spokoju! A przecież Ty mieszkasz w świątyni, Chwało Izraela!”.

Okazuje się jednak, że i miejsce nie jest bezpieczne. Świat obiegło zdjęcie zrobione we Lwowie przedstawiające pięciu mężczyzn usiłujących ukryć przed zbombardowaniem zdjętego z krzyża Jezusa z katedry ormiańskiej. Patrząc na nich, ma się wrażenie, że bierze się udział w niecodziennym, ale przecież zwykłym wydarzeniu czy nawet w tak lubianym przez teologów uobecnianiu męki i śmierci Jezusa – w Jego rzeczywistym umieraniu i jednocześnie powstawaniu z martwych. Ci mężczyźni, chroniąc materialny „obraz i podobieństwo” Chrystusa, chronią Jego obecność pośród nas. Sami, może za chwilę, pójdą osłaniać sobą tych, którym jak Bóg dali życie.

Piątą niedzielę Wielkiego Postu nazywa się czarną niedzielą. W kościołach zasłania się krzyże, dawniej również obrazy i okna. To zasłanianie wszystkiego, z czym jesteśmy zżyci, i chronienie się w mroku ma w sobie coś bardzo ludzkiego, a więc pięknego, świadczącego, że wciąż jeszcze mamy odwagę się wstydzić. A to oznacza, że mamy odwagę przyznać się do winy i grzechu, i wziąć za nie odpowiedzialność. Może nawet należałoby „zasłonić” też Biblię, wyciszyć nie tylko organy, ale i kazania, żeby uważniej wsłuchać się w głosy spoza murów kościelnych, z pałaców prezydenckich i biskupich, parlamentów, gmachów rządowych i kościelnych, zakonnych i zza ścian naszych mieszkań. Patrząc na to, jak przyjmujemy uchodźców, trzeba powiedzieć, że tym razem nie pozostaliśmy głusi na tych, którzy stanęli u naszych granic. Oby tak dalej.

Gościmy w zasadzie kobiety, matki z dziećmi czy też same dzieci i niewielką liczbę starców. Dziękując za pomoc, mówią: „Jak my się wam odwdzięczymy?”. A przecież to nie oni nam, ale my im winniśmy dziękować, i to ze świadomością, że to my nie mamy jak się im odwdzięczyć. My dajemy im dach nad głową, żywność, ubrania, a oni dosłownie dają nam swoje życie. Ich ojcowie, mężowie, synowie i córki dla nas giną. Ukraino, dziękujemy! Ukraino, Bóg zapłać, bo dług, który u was zaciągamy, tylko On potrafi spłacić. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ratunek od Boga

Wielkopostna Liturgia Słowa skonfrontowała nas niedawno z historią Józefa Egipskiego. Józef – wysłany przez ojca – przybywa do swych braci pasących trzody. Ci, najpierw zdarli z niego odzienie i pochwyciwszy go, wrzucili do studni, a następnie sprzedali go jako niewolnika (za dwadzieścia sztuk srebra) wędrującym do Egiptu kupcom izmaelskim (zob. Rdz 37, 3-28).

Czytamy o tym z reguły ze spokojem, znamy bowiem finał tej historii, on zaś pozwala nam w niej zobaczyć – po czasie – rękę Bożej Opatrzności: w Egipcie Józef – dzięki złożonym w nim przez Boga talentom i charyzmatom – z niewolnika zostanie wyniesiony do godności wicefaraona i dzięki tej pozycji uratuje życie swojej rodziny. Kiedy w Kanaanie nastanie przerażający głód, Józef wspomoże swoich bliskich nagromadzoną przezornie egipską żywnością; ostatecznie zaś zaproponuje im przeniesienie się i osiedlenie w Egipcie. Właśnie dlatego, rozważając historię Józefa, Psalmista odważa się stwierdzić, iż to nie bracia sprzedali go w niewolę egipską, lecz że to „Pan wysłał przed nimi męża: Józefa, którego sprzedano do Egiptu" (Ps 105, 17).

W ostatnim tygodniu ta interpretacja – powszechna i sama w sobie piękna – przedstawiła mi się nagle jako niewystarczająca; może nawet przegapiająca najważniejszy wymiar działania Bożego. „Wysyłając" Józefa do Egiptu, Pan Bóg ma zapewne na celu wcale nie tylko uratowanie Izraela od znanego wyłącznie sobie (!) i ukrytego w odległej przyszłości niebezpieczeństwa głodowej śmierci. Jest problem aktualny – rzeczywisty dramat, który się dzieje i dla którego Bóg poszukuje rozwiązania. Dramat o wiele większy niż mające nadejść niebezpieczeństwo śmierci, którego nawet nie dostrzegają – a który zabija ich i niszczy skuteczniej i poważniej, niż może uczynić to głód: nienawiść.

„Bracia Józefa, widząc, że ojciec kocha go bardziej niż ich wszystkich, tak go znienawidzili, że nie mogli zdobyć się na to, aby przyjaźnie z nim porozmawiać". Patrzyłem w to zdanie i zadawałem sobie pytanie: jak to jest, że przeraża mnie perspektywa głodu, a nie przeraża perspektywa takiej degradacji relacji z moimi braćmi, że nie potrafię się zdobyć na przyjazną rozmowę z nimi? Czy nie to właśnie jest prawdziwym nieszczęściem?

Tak. Na końcu tej historii wcale nie jest przetrwanie przez Izrael okresu zabójczego głodu. Na końcu jest wyrwanie Józefowych braci ze szponów nienawiści! To właśnie ten cel przyświeca Panu, gdy „wysyła" Józefa do Egiptu. W braciach dokona się wielka przemiana – największa w przypadku Judy, który, nawróciwszy się, stanie się zupełnie innym człowiekiem, gotowym do ofiary z siebie, by ratować innych. I to przez niego (a nie przez Józefa!) potoczą się dalej dzieje wybrania. ©

Mieszkaniem Boga jest umysł oświecony, wyrzekający się pożądliwości świata, uważnie badający duszę.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Ci, którzy nie zgłębią tajemnicy umysłu (...), choć pragną zniszczyć ból i osiągnąć szczęście – wciąż wkoło błąkają się nadaremno.

ŚANTIDEWA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 IV)

5. niedziela Wielkiego Postu: Iz 43, 16-21; Ps 126; Flp 3, 8-14; J 8, 1-11;
Poniedziałek: Dn 13, 1-9. 15-17. 19-30. 33-62; Ps 23; J 8, 12-20;
Wtorek: Lb 21, 4-9; Ps 102; J 8, 21-30;
Środa: Dn 3, 14-20. 91-92. 95; Ps: Dn 3, 52-56; J 8, 31-42;
Czwartek: Rdz 17, 3-9; Ps 105; J 8, 51-59;
Piątek: Jr 20, 10-13; Ps 18; J 10, 31-42;
Sobota: Ez 37, 21-28; Ps: Jr 31, 10-13; J 11, 45-57;
Niedziela Palmowa: Łk 19, 28-40; Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11; Łk 22, 14-23, 56.

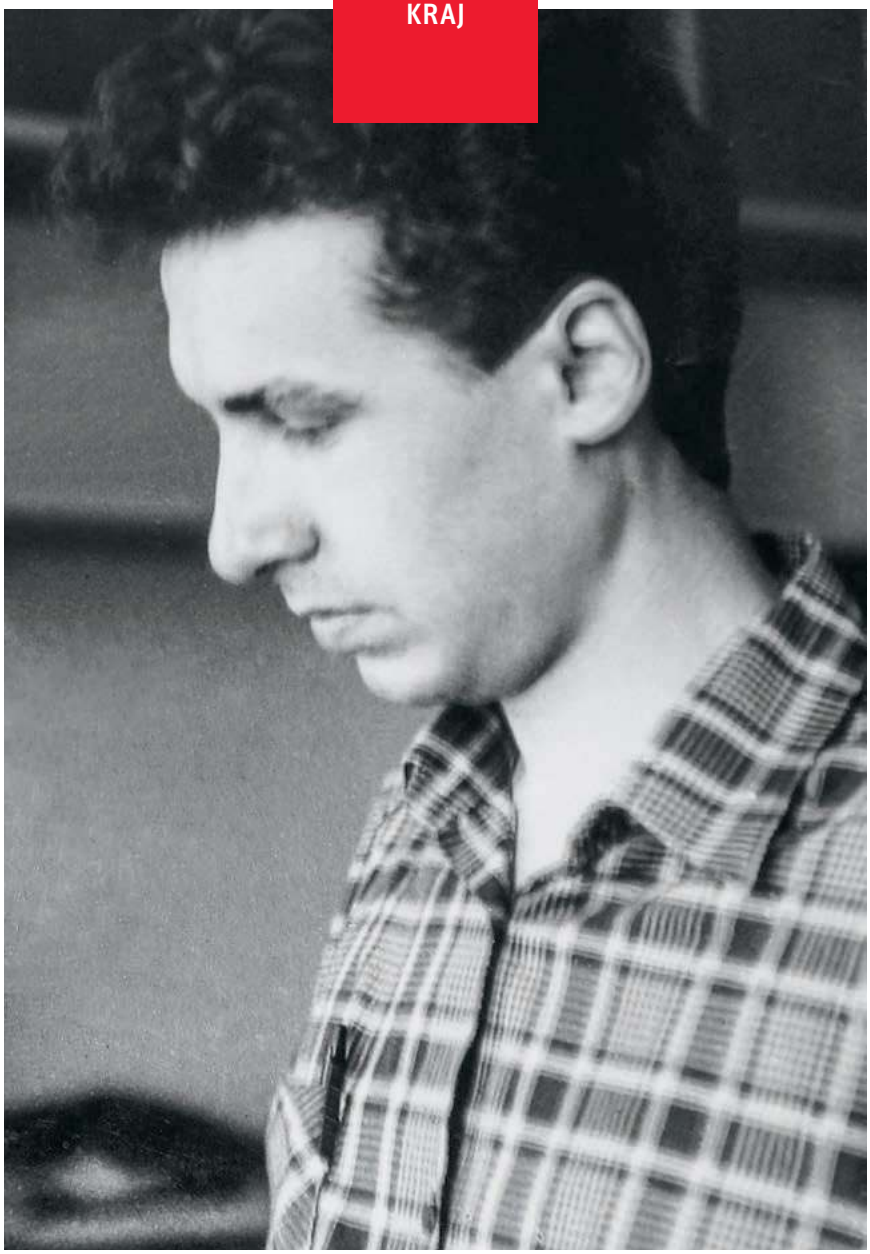

REPR. KRZYSZTOF M. KAŹMIERCZAK

Jarosław Ziętara na jednym z ostatnich zdjęć.

ZBRODNIA BEZ KARY

Dziesięć lat temu nastąpił przełom w sprawie o zabójstwo poznańskiego dziennikarza Jarosława Ziętary. Dziś coraz więcej wskazuje na to, że sprawcy nigdy nie zostaną skazani.

MAREK KĘSKRAWIEC

Według najbardziej prawdopodobnej wersji 24-letni dziennikarz „Gazety Poznańskiej" został porwany spod domu 1 września 1992 r. Bandyci torturowali go przez trzy dni, a na koniec jeden z nich wbił mu sztylet w serce. Zwłoki rozpuszczono częściowo w beczce z kwasem, a resztę zakopano w lesie, spryskując szczątki substancją odstraszającą dzikie zwierzęta. Było to pierwsze i jak dotychczas jedyne zabójstwo dziennikarza w III RP.

Oskarżony o podżeganie do tej zbrodni były senator Aleksander G. został miesiąc temu uniewinniony. W drugim procesie, domniemanych sprawców uprowadzenia, również nie widać wielkich szans na wyrok skazujący. Jakby tego wszystkiego było mało, do konfliktu doszło również między dziennikarzami najbardziej zaangażowanymi w wyjaśnienie sprawy.

Szemrany Poznań lat 90.

Ziętara zapowiadał się na bardzo dobrego dziennikarza. Był ambitny, współpracował z „Wprost", „Gazetą Wyborczą", „Rzeczpospolitą". Zginął jednak nie za to, co napisał, ale za to, nad czym pracował. Być może uniknąłby śmierci, gdyby z rodzinnej Bydgoszczy wyjechał gdzie indziej, ale on wybrał Poznań: bogaty, mieszczański, dobrze zorganizowany. Na początku lat 90. był to jednak wytarty mit, a miasto można było raczej uznać za królestwo szarej strefy. „Słynna" była zwłaszcza miejscowa policja, która przymykała oczy na przemyt alkoholu i papierosów, bo zaprzyjaźnieni przedsiębiorcy wyposażali komendy w komputery i meble.

– Kiedy zapoznałem się z aktami sprawy Ziętary, wyłoniła mi się z nich rzeczywistość lat 90., którą już trochę wszyscy zapomnieliśmy. To był ponury obraz Polski, a Poznań na jego tle miał szczególny charakter – wspomina krakowski prokurator Piotr Kosmaty, który po 20 latach od zaginięcia dziennikarza wznowił śledztwo.

Były to czasy gwałtownych przemian gospodarczych po upadku komunizmu i pojawienia się pierwszych zorganizowanych grup przestępczych. Czerpały zyski z prostytucji, produkcji narkotyków (szczególnie amfetaminy), a także z haraczy wymuszanych od właścicieli

powstających jak grzyby po deszczu pubów i restauracji. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to nieprawdopodobne, ale pochody bandziorów z bejsbolami demolujących witryny lokali na warszawskiej Starówce zdarzały się naprawdę. Słaba, zdezorganizowana policja, ze skorumpowaną postmilicyjną kadrą – nie dawała sobie rady z nową przestępczością. Gangi z podwarszawskich miasteczek Pruszkowa i Wołomina terroryzowały stolicę 40-milionowego kraju. Bandyci, bo trudno było nazwać ich mafią, trzęśli też Szczecinem (gang „Oczki"), Gdańskiem („Nikoś"), Śląskiem (grupa „Krakowiaka"), Łodzią (słynna „Ośmiornica").

Na tym tle Poznań był dość specyficznym ośrodkiem. Tutaj więcej do powiedzenia mieli biznesmeni prowadzący nielegalną działalność niż zdeklarowani gangsterzy. Ci ostatni służyli im za podwładnych, podobnie zresztą jak dawni milicjanci i esbecy, co budziło czasem konflikty. Bandyci nie zawsze chcieli pracować z byłymi „psami". Według innej wersji, dawni esbecy tak naprawdę byli cichymi udziałowcami i gwarantami bezpieczeństwa szemranych interesów.

W 1991 r. młody dziennikarz Jarek Ziętara miał wpaść na trop podobnej działalności prowadzonej przez jednego z najbogatszych Polaków, Aleksandra G., oraz pracowników holdingu Elektromis, zajmującego się oficjalnie handlem hurtowym.

Aleksander G. był w 1990 r. uważany za najbogatszego Polaka. Fortunę zawdzięczał sieci przygranicznych kantorów, które otworzył trzy dni po uwolnieniu rynku walut wiosną 1989 r. Prasa pisała wtedy, że cynk o zmianie przepisów miał otrzymać od wiceministra Ireneusza Sekuły (dekadę później popełnił samobójstwo, które mogło mieć związek z jego długami u pruszkowskich gangsterów). Kariera Aleksandra G. załamała się w 2004 r., kiedy został skazany na 8 lat więzienia za przestępstwa celne i podatkowe.

Szefem Elektromisu był z kolei Mariusz Ś. Wychowanek domu dziecka, skazany w młodości na 3,5 roku za włamania, po wyjściu na wolność zajął się handlem kawą i sprzętem rtv, a z czasem jego firma zamieniła się w holding importujący elektronikę, ubrania i alkohole. On również jest twórcą sieci Żabka i Biedronka, sprzedanych potem zagranicznym inwestorom.

– Tych ludzi powszechnie podziwiano, a Aleksander G. został nawet w 1993 r. wybrany na senatora. Z kolei Elektromis to było państwo w państwie, właściwie wyjęte spod prawa. Kiedy zniknął Ziętara, oficjalnie nikt tego zdarzenia z nimi nie połączył. Mówiono, że wyjechał za granicę lub popełnił samobójstwo. Dopiero po roku wszczęto pierwsze śledztwo – opowiada Łukasz Cieśla, współautor (wraz z Jakubem Stachowiakiem) książki „Dziennikarz, który wiedział za dużo. Dlaczego Jarosław Ziętara musiał zginąć?", świetnie oddającej klimat Poznania lat 90.

W sprawie Ziętary niezwykłe jest to, że jego pracą dziennikarską zainteresował się Urząd Ochrony Państwa. Do tego stopnia, że funkcjonariusze nie tylko mogli inspirować niektóre jego działania w sprawie Elektromisu, ale wręcz próbowali go zwerbować. Prowadzącemu sprawę śmierci dziennikarza prokuratorowi Piotrowi Kosmatemu udało się dotrzeć do akt potwierdzających ten fakt. Dlaczego jednak w 1992 r. służby nic nie zrobiły, by wyjaśnić zaginięcie Ziętary? Nie chciały ujawnienia tych związków? A może wśród funkcjonariuszy byli ludzie grający na obie strony, którzy „sypnęli" Ziętarę przestępcom?

Żydek musi zginąć

Podczas śledztwa i procesu pięciu gangsterów potwierdziło przebieg wydarzeń, które doprowadziły do śmierci dziennikarza. Często jednak zmieniali swe wersje, mylili się w szczegółach. Jerzy U. zaś, były esbek, a potem funkcjonariusz UOP, który był świadkiem porwania Ziętary spod domu, odwołał wszystko, co powiedział.

Najbardziej wartościowe i przekonujące były jednak zeznania Macieja B. ps. „Baryła". Na początku lat 90. był on początkującym bandytą, który wraz z ochroniarzami Elektromisu wynajmował się do różnych „brudnych robót". Obecnie odsiaduje dożywocie za zabójstwo policjanta. W śledztwie zeznał, że był świadkiem, jak latem 1992 r. Aleksander G. przyjechał do siedziby Elektromisu w towarzystwie rosyjskich ochroniarzy. Był wściekły i mówił o Ziętarze, że „Żydek ma zostać zaje...ny". W rozmowie miał uczestniczyć szef Elektromisu Mariusz Ś. Był on jednak wyraźnie przestraszony słowami G.

Według „Baryły" już wcześniej kilkukrotnie próbowano zniechęcić dziennikarza, który kręcił się uparcie wokół baz transportowych Elektromisu i robił tam zdjęcia dokumentujące rzekomo proceder przemytu alkoholu. Pewnego razu ochroniarz o ksywie „Bekon" miał go nawet ściągnąć z drzewa, zabrać aparat i pobić (ślady uderzeń widziała potem jego dziewczyna). Sam „Baryła" twierdził, że wraz z kolejnym ochroniarzem, „Lewym", miał też wedrzeć się do mieszkania Ziętary i zabrać klisze do aparatu, które trzymał w lodówce.

Prawdopodobny przebieg wydarzeń, które doprowadziły do śmierci dziennikarza, odtworzono dopiero po 20 latach. Sprawę wcześniej komplikowało m.in. to, że Ziętara był człowiekiem skrytym, a swymi ustaleniami na temat Elektromisu nie podzielił się ani z kolegami z redakcji, ani z dziewczyną, rodziną czy przyjaciółmi. Mijał więc rok za rokiem, a w śledztwie nic się nie działo. W pewnym momencie na placu boju pozostał już tylko jeden człowiek, poznański dziennikarz Krzysztof M. Kaźmierczak, kolega z pracy Jarka. Usilnie nie dawał o sprawie zapomnieć, opublikował (z Piotrem Talagą) książkę, pisał kolejne artykuły.

Przełom nastąpił na początku 2011 r., kiedy do Zdzisława S., funkcjonariusza Centralnego Biura Śledczego Policji, który w latach 90. zajmował się poszukiwaniami Ziętary – zadzwonił z zakładu karnego w Rawiczu Maciej B. ps. „Baryła". Gangster twierdził, że ma informacje na temat dziennikarza. Wcześniej przekazywał już istotne fakty w innych sprawach, a policjant uważał go za osobę wiarygodną.

Kluczowe przesłuchanie „Baryły" przeprowadził inny oficer CBŚP, Piotr G. Było do tego stopnia wartościowe, że zaczęto mówić o wznowieniu postępowania. I nie było już mowy o zaginięciu Ziętary. Wszystko wskazywało na to, że został brutalnie zamordowany.

Sprawę odebrano Poznaniowi i przeniesiono do Krakowa, gdzie prokuratorzy mieli już doświadczenia w przejmowaniu trudnych śledztw z innych części Polski (np. mafii paliwowej), a ponadto to pod Wawelem działało słynne Archiwum X, czyli pierwszy w Polsce zespół do spraw niewykrytych przestępstw z przeszłości.

Gdy sprawa ruszyła z miejsca w 2012 r., prokurator Piotr Kosmaty dostał ochronę policji, z której jednak szybko zrezygnował. To już były inne czasy. Atakowano ↦

↦ go innymi metodami: oskarżeniami o zastraszanie i wymuszanie zeznań na gangsterach, manipulacje przy ich spisywaniu w protokole. Brzmiało to dość śmiesznie, bo skarżyli się potężni, twardzi bandyci z najcięższymi przestępstwami na koncie, ale uderzali tym samym w prokuraturę i wartość złożonych zeznań. W pewnym momencie zeznania odwołał nawet główny świadek, „Baryła". „Mnie zwerbowano, bym zeznawał o zabójstwach za akt łaski. Wszystko, co zeznawałem przeciwko G., to konfabulacje instrukcyjne prokuratora" – powiedział w sądzie w 2016 r., po czym zakwestionował nawet badanie wariografem. Twierdził, że wyniki zostały sfałszowane, a on na prośbę śledczych podpisał inny protokół, który wyjęto mu z teczki do podpisu. Jednak podczas kolejnego przesłuchania w sądzie znowu wrócił do zeznań obciążających Aleksandra G.

Niespodziewany koniec

Finał procesu byłego senatora, oskarżonego o podżeganie do zabójstwa Ziętary, był zadziwiający. Rano w dniu, w którym ogłoszono wyrok, żadna ze stron nie mogła przypuszczać, że po południu nastąpi jego koniec.

W procesie Aleksandra G. sędzia Joanna Rucińska po prostu zamknęła przewód sądowy i poinformowała, że ogłasza przerwę, po której wygłoszone zostaną mowy końcowe i zapadnie wyrok. Wcześniej odrzuciła wniosek o przesłuchanie kolejnych świadków prokuratury. Zeznania miały wykazać kłamstwa oskarżonego na temat kluczowej znajomości z szefem Elektromisu, Mariuszem Ś., którego ochroniarze są oskarżeni o porwanie Ziętary.

G. twierdził bowiem, że bliżej poznał Ś. dopiero w 1997 r., więc cała konstrukcja aktu oskarżenia nie jest warta funta kłaków. Tymczasem przesłuchiwany w sądzie jesienią ubiegłego roku Marek Król, były wieloletni redaktor naczelny tygodnika „Wprost", twierdził, że w 1994 r. przyjechał do niego G. i namawiał Króla, by redakcja nie pisała o szemranych interesach właściciela Elektromisu. Po tym zdarzeniu naczelny zaczął korzystać z ochrony, gdyż bał się Mariusza Ś. Co ciekawe, straszony był także Piotr Najsztub, który jako dziennikarz „Gazety Wyborczej" przyjechał do Poznania pisać o Elektromisie. Mariusz Ś. miał mu to odradzać. „Odebrałem to jako groźbę przekazywaną z łagodnym uśmiechem" – zeznał Najsztub, potwierdzając jednocześnie, że redakcja wynajęła mu ochronę.

W książce Cieśli i Stachowiaka znajduje się autoryzowane wyznanie Henryka Judkowiaka, byłego esbeka, który pracował w 1990 r. dla Mariusza Ś. Twierdził on, że G. i Ś. znali się dobrze już wtedy, a Judkowiak nawet zażegnywał konflikt między biznesmenami. Jednym z argumentów za zgodą miał być fakt, że u obu pracują ludzie z dawnych służb.

Te fakty nie miały już dla sądu znaczenia. – Byłem bardzo zaskoczony. Proces trwał sześć lat, rozprawy odbywały się z przerwami po kilka miesięcy, nic nie stało na przeszkodzie, by dać nam czas na przygotowanie do mowy końcowej – opowiada Kosmaty.

Jego zdziwienie podziela Krzysztof M. Kaźmierczak, który uważnie przyglądał się całemu procesowi. – Nikt nie spodziewał się tak nagłego końca.

W trakcie ostatniej mowy Aleksandra G., jak twierdzą zgodnie Kosmaty oraz Kaźmierczak, były senator podszedł do stołu sędziowskiego i wręczył sędzi płytę z rzekomym nagraniem głosu Ziętary, co miałoby świadczyć, że dziennikarz żyje i mieszka za granicą. Sędzia płytę przyjęła, ale nie włączyła jej jako dowodu do sprawy, bo formalnie musiałaby wznowić przewód. Chciała po prostu zakończyć proces.

Aleksander G. został uniewinniony, ale nie dlatego, że sąd rozważył wszystkie wątpliwości na korzyść oskarżonego. – To było podważenie niemal wszystkiego, co ustaliła prokuratura. Byłem tym zdumiony, gdyż sąd aktywnie prowadził proces, uzyskując wiele mocnych potwierdzeń materiału dowodowego. Obraz wyłaniający się z zeznań był spójny, a wycofywanie się niektórych świadków, prawdopodobnie zastraszanych, nie podważało ich wcześniejszych wersji – twierdzi Kaźmierczak.

> Aleksander G. został uniewinniony nie dlatego, że sąd rozważył wątpliwości na korzyść oskarżonego. **Wyrok był podważeniem niemal wszystkiego, co ustaliła prokuratura.**

Poszło łatwo, bo był chudy

Prokurator Kosmaty wierzy, że przed sądem apelacyjnym dowiedzie winy Aleksandra G. – „Baryła" zeznawał kilkukrotnie, był nagrywany, dwóch psychologów uznało jego opowieści za wiarygodne, uczestniczył w wizjach lokalnych podając szczegóły. Jestem dziś tak samo jak kilka lat temu przekonany, że akt oskarżenia pokazuje prawdę o brutalnym morderstwie Ziętary – twierdzi Kosmaty.

„Baryła" zeznał w śledztwie, że gdy zatrudnił się w Elektromisie, firma miała problemy z dziennikarzem chodzącym wokół jej interesów. Z relacji spisanej przez oficera CBŚP Piotra G. wynika, że kiedy Ziętara dostał „oklep" od ochroniarzy Elektromisu, Aleksander G. skomentował to rzekomo jako „amatorszczyznę", po czym miał załatwić dwóch Rosjan, dla których „zabijanie nie było nowością". Zadowoleni sprawcy mieli żartować, że „poszło łatwo, bo był chudy, lekki i wystarczyło złożyć go na pół, a potem zapakować do bagażnika".

Odwołanie zeznań przez „Baryłę" tłumaczył w sądzie Mirosław M., kolega

KRZYSZTOF M. KAŹMIERCZAK

Legitymacja Jarosława Ziętary, prawdopodobnie podrzucono ją do jego mieszkania po porwaniu.

z celi „Baryły": „Maciek powiedział mi, że wszystko, co wcześniej zeznał o Ziętarze, było prawdą. Ale wycofa zeznania, bo prokurator nie załatwił mu obiecanego aktu łaski" – twierdził. Jednak gdy zeznawał powtórnie w 2017 r., doznał nagłej amnezji.

– Nie zdziwił mnie wyrok uniewinniający Aleksandra G. i to, że sąd miał wątpliwości co do zeznań niektórych świadków, choć istotny jest też kontekst, czas i sposób, w jaki je zmieniali. Zaskoczyło mnie jednak, że w uzasadnieniu wyroku sędzia w ogóle nie oceniła wiarygodności wyjaśnień oskarżonego. A przecież one nie były spójne. Twierdził, że przez wiele lat nie słyszał w ogóle o głośnej w Poznaniu sprawie zaginięcia Ziętary. Przekonywał też, że z szefem Elektromisu poznał się bliżej dopiero w 1997 r. Według mojej wiedzy to była nieprawda – mówi Łukasz Cieśla.

W sprawie zabójstwa Ziętary toczy się też drugi proces. Oskarżeni są w nim rzekomi sprawcy uprowadzenia Ziętary. To dawni ochroniarze Elektromisu, którzy według prokuratury działali nie na zlecenie swego szefa Mariusza Ś., tylko Aleksandra G. Dwaj z nich, „Lewy" i „Kapela", zmarli w tajemniczych okolicznościach, proces „Ryby" i „Lali" zaś toczy się w Poznaniu. To oni mieli wciągnąć Ziętarę do auta pod jego domem, wywieźć za miasto i przekazać Rosjanom, którzy dokonali zabójstwa.

Fiasko oskarżenia Aleksandra G. może mieć ogromne znaczenie dla tej sprawy. Jeśli nie było osoby podżegającej do zabójstwa, a zeznania „Baryły" są niewiarygodne, to dlaczego ktoś z Elektromisu miałby porywać Jarka?

Sprawa Ziętary ma jeszcze jeden nieprzyjemny wymiar. W ostatnich miesiącach ujawnił się konflikt między dziennikarzami: Cieślą i Stachowiakiem a Kaźmierczakiem. Dwaj pierwsi opisali Kaźmierczaka w swej książce jako „kustosza pamięci Ziętary", który zazdrośnie strzeże tej historii, traktując ją jak swą własność i dyskredytując ustalenia innych reporterów. Fakt, Kaźmierczak zachowywał się momentami dziwnie, ale to głównie dzięki niemu sprawa nie umarła. Poświęcanie ośmiu stron świetnej książki na ironiczne uwagi nie było potrzebne. Ale może tak musiało być. W sprawie Ziętary nad wszystkim unosi się ponure fatum.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

MAREK RABIJ

Antonina Drana. Wadowice, 23 marca 2022 r.

Tego nie robi się kotu

MAREK RABIJ

Wojna w Ukrainie to pierwszy konflikt zbrojny, w którym los zwierząt domowych nie stanowi jedynie tła dla ludzkich dramatów.

W torebce miała spakowany paszport, karty kredytowe oraz gotówkę. I oczywiście papierosy. Po 24 lutego bez fajek trudno było wytrzymać. Wielką Dymerkę ostrzelali wprawdzie dopiero z rana 6 marca, ale nocami eksplozje słychać było i z sąsiednich Browarów, i z położonego nieco dalej na południe Boryspola. Nie mówiąc o oddalonym niespełna 30 kilometrów centrum Kijowa, w które Rosjanie walili praktycznie noc w noc.

Koty, o dziwo, szybko przywykły do huku, który przypominał im chyba odgłosy gwałtownej letniej burzy przewalającej się gdzieś nad Dnieprem. Za to pies wariował i wył ze strachu.

– Mnie też po każdej eksplozji trzęsły się ręce – Antonina Drana sięga po kolejnego papierosa. – Od dziecka boję się broni palnej. Kiedy Rosjanie zaczęli strzelać na rogatkach, od razu poszłam szukać transportu. Na ulicy przed moim domem stało kilku sąsiadów, ↦

↦ jeden rozmawiał przez telefon z krewnym mieszkającym w dzielnicy, którą właśnie ostrzeliwano. Chyba nie powiedziałam im nawet dzień dobry. Wypaliłam, że płacę tysiąc dolarów za wywiezienie mnie, moich 18 kotów i psa jak najbliżej polskiej granicy.

Znalazł się jeden chętny.

– Do tego aż za dwa tysiące dolarów, ale nie było czasu na targowanie – ciągnie Antonina. – Zgodziłam się, a facet odparł, że w takim razie ruszamy natychmiast, bo na drogach sznury aut, a od 20 obowiązuje godzina policyjna. Pognałam do domu. Koty wpakowałam do transporterów, po dwa, trzy do jednego. Psa na smycz. Ze stołu zgarnęłam dokumenty i lekarstwa zwierząt. Z łóżka laptop. Paczkę jedzenia dla kotów ze spiżarni. Pies może jeść przecież to co ja. Upchałam to wszystko do torebki z paszportem i pieniędzmi. W przedpokoju złapałam jeszcze czapkę i puchówkę. Sąsiad już trąbił na zewnątrz. Wyniosłam klatki. Zatrzasnęłam drzwi.

Dopiero kilka godzin później, kiedy sterczeliśmy w wielkim korku przed zjazdem na jeden z kijowskich mostów, a ja leżałam na tylnym siedzeniu przygnieciona transporterami, zdałam sobie sprawę, że nikt z sąsiadów nawet nie spytał, po co biorę ze sobą zwierzęta. To, że koty i pies jadą ze mną, było dla nich tak samo oczywiste jak dla mnie.

Pudle, tygrysy, ślimaki

Zaczęło się, jak mówi Antonina, od kotów z Donbasu.

– Pod koniec 2015 r. zadzwonił znajomy z pytaniem, czy nie przygarnęłabym kociaka, którego z okolic Doniecka wywiózł jeden z naszych żołnierzy. Kolega wiedział, że w moim domu zawsze były zwierzęta, miłości do nich nauczyłam się od mamy. Nie mogłam odmówić. I tak zostałam opiekunką zwierząt porzuconych na wschodnim froncie. Dziewiętnastu takich nieszczęśników wywiozłam teraz z Ukrainy. I wiesz, co jest najlepsze? Że na polskiej granicy widok kobiety z 18 kotami i psem nikogo nawet nie zdziwił. „Niektórzy wiozą i po 50-60 zwierząt" – powiedział pogranicznik.

Kiedy 24 lutego na Kijów spadały pierwsze bomby, na biurku głównego lekarza weterynarii od tygodnia leżał już wniosek o uproszczenie procedury wwozu zwierząt domowych z Ukrainy do Polski. Podanie złożyli działacze Fundacji Dobrych Zwierząt, przeczuwając skalę wyzwania, przed jakim polskie służby graniczne staną w trakcie ewentualnej wojny. Jak mówi Joanna Szpiega-Bzdoń – adwokatka specjalizująca się w prawie kynologicznym i współautorka tamtego wniosku – informacje napływające już od dłuższego czasu z Ukrainy nie pozostawiały wątpliwości, że wśród uchodźców będzie mnóstwo osób ze zwierzętami.

– Pisało do nas wielu hodowców, a proszę pamiętać, że tamtejsze hodowle składają się czasem z setek zwierząt – wyjaśnia prawniczka. – Dobrze, że polskie służby już 24 lutego zgodziły się uprościć przepisy i zezwolić na wjazd do Polski praktycznie każdemu zwierzęciu domowemu.

Psom, kotom oraz fretkom sprawdza się szczepienia przeciw wściekliźnie. Jeśli ich nie mają, dostają komplet od razu na granicy. Podlegają także czipowaniu. Polskie służby weterynaryjne były również inicjatorami zmian unijnych reguł przewozu zwierząt między państwami członkowskimi, uproszczonych tymczasowo właśnie po to, by umożliwić uchodźcom ze zwierzętami podróż w głąb Unii.

Z danych Głównego Inspektoratu Weterynarii wynika, że od początku wojny w Ukrainie do 16 marca polską granicę przekroczyły 13 152 zwierzęta domowe, w tym 7662 psy, 5486 kotów oraz cztery fretki. To gatunki podlegające rejestracji, jako potencjalni nosiciele wścieklizny. Tysięcy ptaków, chomików, szczurków, świnek morskich, a nawet rybek i ślimaków nie rejestruje nikt. W spisie ze świecą szukać także sześciu lwów, tyluż tygrysów, likaona i dwóch karakali ewakuowanych z kijowskiego zoo do Poznania, które wwieziono do Polski na innych warunkach. Krowom, świniom i owcom nie pozwalają z kolei emigrować same władze Ukrainy, uznając je za cenny zasób aprowizacyjny na czas wojny.

Bracia mniejsi, ważniejsi

– Pierwszego dnia nie dotarliśmy do Chmielnickiego. Godzina policyjna zastała nas w małej miejscowości gdzieś na granicy obwodu – ciągnie opowieść Antonina. – Zaparkowaliśmy w dobrze oświetlonym miejscu, żeby nas nie wzięli za dywersantów. Kierowca nagrzał auto i poszedł spać. Transportery porozkładaliśmy po siedzeniach, żeby zwierzętom było jak najwygodniej. Dla mnie miejsca w środku zabrakło. Owinęłam się więc kocem, wzię-

MAKSIM LEVIN / REUTERS / FORUM

Ewakuacja Irpienia, 9 marca 2022 r.

łam paczkę papierosów i całą noc przedreptałam przy samochodzie. A rano ruszyliśmy dalej w stronę Chmielnickiego, gdzie miał czekać znajomy ze Lwowa.

Z podobnych opowieści można w zasadzie ułożyć równoległą historię wojny w Ukrainie.

26-letnia Anastasja Jalanskaja, zastrzelona w Kijowie przez Rosjan przy próbie dostarczenia karmy do opuszczonego schroniska dla zwierząt.

Ukraiński celebryta, teraz przeszukujący wraz z wolontariuszami kijowskie blokowiska w poszukiwaniu zwierząt pozamykanych w opuszczonych mieszkaniach.

Staruszki ze zrujnowanego Irpienia, zbyt słabe na ewakuację, ale wciąż dostatecznie zmotywowane, aby dokarmiać rybki pozostawione przez sąsiadów.

Wreszcie tysiące uchodźców zmierzających w stronę polskiej granicy ze zwierzętami traktowanymi jak członek rodziny.

„Kiedy dojechaliśmy do granicy, kolejka aut miała 17 km. Autobusy nie zabrały nas ze względu na psy, dlatego zaraz po przyjeździe postanowiliśmy wyruszyć na piechotę. Była czwarta rano. Temperatura wynosiła minus siedem. (...) Dzieci marzły i płakały, psom trudno było chodzić. Ale szliśmy. Na początku Pulja, moja 12,5-letnia suka owczarka niemieckiego, szła normalnie, ale potem zaczęła się bardzo męczyć. Rodzina poszła naprzód, a mój mąż i ja zostaliśmy z nią i pomogliśmy jej w drodze. Zatrzymywaliśmy się, dawaliśmy jej wodę – odpoczywała, a potem wstawała i szła dalej. (...) Kiedy nie mogła stać o własnych siłach, mój mąż brał ją na ręce. Prawo ukraińskie zabrania mężczyznom przekraczania granicy, więc mógł odprowadzić nas tylko do granicy" – to relacja Alisy, kobiety, której zdjęcia z psem niesionym na ręku w stronę przejścia granicznego obiegły całą Polskę i Ukrainę. Wraz z Pulją trafiły w końcu do Warszawy, gdzie ich historii wysłuchała reporterka serwisu Noizz.

Do tych obrazków Antonina Drana dodałaby zdjęcie, które zrobiła telefonem na stacji benzynowej w Chmielnickim.

– Przy wyjeździe w stronę Lwowa jest takie wielkie skrzyżowanie, a przy nim stacja benzynowa. Paliwa nie ma już dawno, a w środku nie uświadczysz ani kawy, ani nawet fajek. Puste półki dosłownie stoją. Sąsiad, z którym jechałam z domu, wysadził mnie tam i wrócił na wschód. Znajomy ze Lwowa utknął po drodze i pisał, że dotrze za kilka godzin. A na zewnątrz ziąb, zaczęło śnieżyć. Do tego tłumy, bo tysiące ludzi uciekają na zachód. Wrzaski, hałas, bo komuś skończyło się paliwo i puściły nerwy, inny zajechał drogę trzeciemu. Walka o przetrwanie, jakby zaraz ruski samolot miał zrzucić bomby. I wyobraź sobie, wtedy wychodzi menedżer tej stacji i mówi, żebyśmy weszli się ogrzać do środka. Wody zwierzętom przyniósł. Transportery z kotami pozwolił nawet poustawiać na półkach, na których niedawno jeszcze stało jedzenie i napoje.

Gdyby porównać wojnę w Ukrainie z wcześniejszymi konfliktami zbrojnymi w Europie, okaże się, że takich obrazów nie widywano często. Nie trzeba szukać głęboko w historii. Jeszcze w latach 90. podczas wojny na Bałkanach wyglądało to zgoła inaczej.

– W schroniskach dla uchodźców zwierzęta były zabronione. Moja rodzina była lokowana w różnych miejscach i nigdzie nie było wolno mieć psa ani kota – wspomina Jelena Kulušić z miejscowości Miljevci koło chorwackiego Drniša.

– Nie uciekaliśmy ze zwierzętami domowymi, wszystko się działo zbyt szybko. Był potworny chaos. Stosunek do zwierząt też był inny. Po prostu nie mieliśmy czasu się o nie martwić – to już Faruk Šehić, Bośniak, który w latach 1992-95 walczył na froncie, a dziś należy do najbardziej cenionych prozaików w Sarajewie. – Mieliśmy w domu dwa koty. Nie wiem, co się z nimi stało. Rodzice mojej ówczesnej dziewczyny trzymali z kolei ozdobne kury. Nie do jedzenia, ale jako zwierzątka domowe. Kiedy ostatnia się pochorowała, rodzice Azry zabrali ją do domu i karmili najlepszym jedzeniem, a do paszy dosypywali jej sproszkowanej aspiryny i paracetamolu. Troska tych statecznych ludzi w średnim wieku była dla mnie zupełnie niezrozumiała. Trochę nimi nawet gardziłem z tego powodu. Troszczyć się o smolistą kurę, gdy wokół tysiące rannych i martwych?

– Czas próby dla naszej przyjaźni ze zwierzętami jest właśnie teraz – komentuje po namyśle Antonina. – Bo co to za miłość, która nic nie kosztuje? Z podziwem patrzę zwłaszcza na tysiące Polaków, którzy pomagają nie swoim zwierzętom. Ludzie biorą nawet urlopy, żeby włączyć się w prace wolontariuszy szukających domów tymczasowych dla ukraińskich zwierzaków. Nie każdy uchodźca może zabrać psa czy kota do domu, w którym znalazł schronienie. Jak odda przyjaciół do schroniska, to może ich już nie zobaczyć.

W bazie kontaktowej inicjatywy „Kynolodzy kynologom na Ukrainie" widnieje ponad 15 tys. adresów osób gotowych w każdej chwili zapewnić tymczasowy dom zwierzętom uchodźców. Blisko 35 tysięcy deklaruje pomoc w transporcie.

Joanna Szpiega-Bzdoń: – Zbudowanie tej bazy zajęło może z tydzień.

Zwierzę nie zadaje bólu

Telefon zaczyna wibrować na stole. Antonina Drana błyskawicznie gasi dopiero co zapalonego papierosa i rzuca się do odczytywania wiadomości.

– Dzisiaj od rana znów dochodzą wieści z Buczy – tłumaczy nie przerywając lektury. – Rosjanie rozwalili nadajniki, ale nasi chyba coś naprawili, bo zadzwonić nadal się nie da, ale przynajmniej komunikatory działają. Dzisiaj rano Jewgenija dała znak życia. Pierwszy od pięciu dni – wzdycha z ulgą Antonina. ↦

↦ Jej przyjaciółka Jewgenija Mosołowa w podkijowskiej Buczy prowadzi przytułek dla niechcianych zwierząt domowych. Urządziła go w starym rodzinnym domu, który stoi naprzeciw nowego, zbudowanego parę lat temu po drugiej stronie drogi. – Ten nowy Ruscy rozwalili, zresztą jak całą Buczę – mówi Antonina, wciąż nie odrywając wzroku od telefonu. – Pocisk rozpruł całe piętro. Jewgenija z mężem i trzyletnimi bliźniętami mieszka w piwnicy. Gotują w ogródku na ognisku. Szczęście, że starej studni nie zasypali. Teraz szlag trafił elektryczność i hydrofory przestały działać, ale wystarczy spuścić wiadro w dół i świeża woda jest. W starym domu Jewgenija ma pod opieką 34 psy i 20 kotów. Codziennie nosi im wiadrami wodę przez ulicę. Jak musi przejść na drugą stronę, zakłada białą chustkę i wychodzi najpierw przed dom pomachać do Rosjan. Oni dają znać, że może przejść, dopiero wtedy Żenia bierze wiadra i biegnie do domu naprzeciw. Rosjanie z oddziału, który kontroluje ten kawałek Buczy, to gołowąsy z poboru. Kiedy na froncie panuje spokój, z nudów kręcą czołgami piruety na polach za domem Jewgeniji.

– Przywieźli jej nawet psa, który przypałętał się do nich z głodu – ciągnie Antonina. – A jak się dowiedzieli, że Żeńka też nie ma już czym karmić zwierząt, rozwalili gdzieś sklep, zabrali stamtąd całą karmę, kilkanaście kilogramów i jej na czołgu przywieźli. To jeszcze dzieciaki, nie wiedzą, po co ich wysłano do Ukrainy. Boją się nie mniej niż cywile. Ale z tego strachu mogą być groźni. Mąż Jewgeniji do zwierząt przez ulicę już nie chodzi, bo mężczyznę Rosjanie mogą w każdej chwili ustrzelić.

Od początku wojny polską granicę przekroczyły 13 152 zwierzęta domowe, w tym 7662 psy, 5486 kotów oraz cztery fretki. Tysięcy ptaków, chomików, szczurków, świnek morskich i ślimaków nie rejestruje nikt.

Od rana, korzystając z działającego internetu, Antonina usiłuje namówić przyjaciółkę do opuszczenia ewakuowanej Buczy. – Ale Jewgenija mówi, że zwierząt nie opuści, że skoro od trzech tygodni dzieli się z nimi resztkami ziemniaków i tym, co znajdzie w opuszczonych domach, to teraz nie zostawi ich na pewną śmierć. Powtarzam jej, żeby poszła do Rosjan i poprosiła o zgodę na ewakuację ze zwierzętami. Z naszej strony frontu przez ziemię niczyją do Buczy dojeżdżają autobusy. Wystarczy dojść do wyznaczonego miejsca i wsiąść do autokaru. Z 34 psami, dwudziestką kotów i dwójką dzieci Jewgenija na raz się nie zabierze, ale niech część zwierząt wyśle do Kijowa z dziećmi i mężem, a resztę podzieli wśród innych ewakuowanych. W Kijowie będą już na nią czekać nasi wspólni znajomi.

Mosołowa zastanawia się, czy bezpieczniej nie będzie jednak zostać w piwnicy. Do konwojów – jak mówi – Rosjanie też strzelają.

Antonina: – Ludzie zachowują się teraz gorzej niż zwierzęta. Sąsiedzi piszą mi, że na naszej ulicy Rosjanie zastrzelili ostatnio staruszkę, która mijała ich posterunek. Ponad dobę tak leżała. Ludzie chcieli zabrać zwłoki, ale Ruscy nie pozwalali. W końcu rodzina poszła błagać o zgodę. I wiesz, co usłyszeli? Że mają babcię pochować na trawniku obok miejsca, w którym upadła. Czemu nie w poświęconej ziemi? Boże, nie wiem. Wiem za to, że zwierzęta nie zadają bólu, kiedy nie muszą. A ludziom przychodzi to aż za łatwo. Moja kuzynka, uciekając z Kijowa, zostawiła w domu swojego kota. Pieniędzy jej nie brakuje. Jest singielką, prowadzi, raczej prowadziła kancelarię notarialną. Do Polski jechała własnym samochodem. Sama w aucie, w którym komfortowo może podróżować pięć osób. A mogła bez trudu uratować nie tylko swojego kota, ale i kilka osób. I teraz wypisuje do mnie prośby, żebym przez tych samych polskich przyjaciół, którzy ryzykując życiem wożą jedzenie dla zwierząt w stronę Kijowa, a wracają z uchodźcami, załatwiła jej dobrą pracę w Polsce.

Antonina Drana tylko raz odpisała kuzynce. Życząc jej powodzenia w nowym życiu, użyła drugiej osoby liczby mnogiej. Tej, w której po rosyjsku zwraca się do obcych.

©℗ MAREK RABIJ

Relacje z Chorwacji oraz Bośni i Hercegowiny zebrała i przetłumaczyła Aleksandra Wojtaszek.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli toczy się postępowanie w sprawie I Ns 659/21 z wniosku Zbigniewa Karabana o stwierdzenie nabycia prawa własności przez zasiedzenie nieruchomości położonych w Nowinach, gmina Radomyśl nad Sanem, powiat stalowowolski, woj. podkarpackie, składających się z działek: nr ewid. 558 o pow. 0,0886 ha stanowiącej grunty orne oraz nr ewid. 630 o pow. 0,0487 ha stanowiącej grunty orne, nie posiadających urządzonej księgi wieczystej. W/w nieruchomości znajdują się aktualnie w posiadaniu Zbigniewa Karabana.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a w szczególności Marię Antoniak, c. Gabriela i Katarzyny, bądź jej spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do tychże nieruchomości. O ile w tym terminie nikt się nie zgłosi albo praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli toczy się postępowanie w sprawie I Ns 173/21 z wniosku Józefa Tysa i Zofii Tys o stwierdzenie nabycia prawa własności przez zasiedzenie nieruchomości położonej w Antoniowie, gmina Radomyśl nad Sanem, powiat stalowowolski, woj. podkarpackie, stanowiącej działkę nr ewid. 104/2 o pow. 0,2042 ha stanowiącą grunty rolne zabudowane, dla której Sąd Rejonowy w Stalowej Woli prowadzi księgę wieczystą nr TB1S/00006897/6. W/w nieruchomość znajduje się aktualnie w posiadaniu Zofii Tys i Józefa Tysa.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a w szczególności następców prawnych Marianny Hołody, c. Franciszka i Józefy, bądź ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do tejże nieruchomości. O ile w tym terminie nikt się nie zgłosi albo praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wysypywanie węgla przed ambasadą Rosji - happening Lotnej Brygady Opozycji, Warszawa, 4 marca 2022 r.

Cena wojennego embarga

PIOTR WÓJCIK

Polska sprowadza ponad połowę ropy i gazu z Rosji, ale jest w stanie porzucić te dostawy niemal z dnia na dzień. Jesteśmy mniej uzależnieni od Moskwy niż wiele innych państw Europy.

Blokada tirów przekraczających granicę polsko-białoruską w Kukurykach nagłośniła problem utrzymywania relacji handlowych z Rosją pomimo sankcji. Chociaż Moskwa bombarduje ukraińskie miasta, do Rosji i Białorusi wciąż jeżdżą ciężarówki wypełnione towarami od europejskich dostawców. Do gdańskiego Naftoportu zawijają tankowce z rosyjską ropą, która potem jest wykorzystywana w polskich i europejskich rafineriach. Gazociągami wciąż płynie też błękitne paliwo z Syberii, choć wszyscy wiedzą, że dochody z gazu i ropy bezpośrednio zasilają budżet reżimu toczącego wojnę przeciw suwerennemu państwu. Na koniec dodajmy rosyjski węgiel, którym nadal jest ogrzewana spora liczba polskich domów.

Kreml umiejętnie tworzy w nas przeświadczenie, że jesteśmy uzależnieni od handlu z Rosją, co jest ważnym elementem jego propagandy skłaniającej Zachód do ograniczania sankcji. W rzeczywistości Polska mogłaby sobie poradzić bez dostaw z Rosji oraz bez dostępu do rosyjskiego rynku, chociaż nie odbyłoby się to bezboleśnie.

W poszukiwaniu nowych kontrahentów

Na początku lat 90. Związek Sowiecki był wciąż istotnym partnerem handlowym Polski, jednak wraz z podłączaniem się naszego kraju do gospodarki zachodniej znaczenie handlu z Moskwą systematycznie spadało. Obecnie Rosja jest dopiero siódmym odbiorcą naszych towarów, a sprzedaż do Rosji odpowiada za niecałe 3 proc. polskiego eksportu. Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego, popyt z Rosji generuje jedynie 1 proc. nadwiślańskiego PKB – czyli ponad dwa razy mniej niż w państwach bałtyckich i jedną trzecią mniej niż na Węgrzech. Ze wszystkich państw UE należących niegdyś do bloku wschodniego, jedynie w Rumunii eksport do Rosji ma mniejsze znaczenie dla dochodu narodowego niż w Polsce. – Samo zerwanie relacji handlowych z Rosją nie byłoby zatem bardzo kosztowne dla polskiej gospodarki. Głównymi problemami byłyby koszty pośrednie, czyli utrudnienia w dostępie do surowców i wzrost ich cen oraz wzrost kosztów żywności z powodu ograniczeń w dostępie do nawozów – wskazuje Marek Wąsiński, kierownik zespołu gospodarki światowej w PIE.

Jeszcze w pierwszej dekadzie XXI wieku Rosja była ważnym odbiorcą polskiej żywności, jednak po aneksji Krymu jej znaczenie dla tej branży zaczęło spadać. Moskwa wprowadziła wtedy sankcje odwetowe na UE, m.in. blokując import owoców oraz warzyw z Polski. W rezultacie znaczenie Rosji dla polskich eksporterów z branży rolno-spożywczej spadło trzykrotnie – do niecałych 2 proc. całości sprzedaży zagranicznej. Dwukrotnie spadło też znaczenie Rosji dla eksporterów chemikaliów – z 10 do 5 proc. Z kolei udział Rosji w polskim eksporcie towarów przemysłowych to zaledwie 2,5 proc. – tutaj także zanotowano dwukrotny spadek.

W niektórych przedsiębiorstwach embargo na handel z Rosją byłoby jednak odczuwalne. Wąsiński wskazuje tu producentów ciężarówek, którzy jedną ↦

piątą eksportu kierują na Wschód, oraz producentów kosmetyków i sprzętu gospodarstwa domowego. – Te branże odczułyby utratę rosyjskiego rynku, jednak możliwe jest znalezienie kontrahentów w innych miejscach świata – przekonuje Wąsiński. Tym bardziej że z powodu postpandemicznych barier produkcyjnych na wielu rynkach brakuje towarów.

Na szczęście nie musimy się obawiać odpływu inwestycji rosyjskich, gdyż takowych prawie nie ma. W raporcie NBP sprzed dwóch lat na temat bezpośrednich inwestycji zagranicznych (BIZ) w Polsce Rosja w ogóle nie została wyszczególniona, co oznacza, że wartość inwestycji rosyjskich nad Wisłą jest mniejsza niż czeskich czy portugalskich. – Nawet przy próbie uwzględnienia inwestycji poprzez inne państwa, np. Cypr, nadal skumulowane inwestycje rosyjskie w Polsce wynoszą ledwie 0,3 proc. – wyjaśnia Wąsiński. Jest tak m.in. dlatego, że rosyjskie inwestycje w Polsce są już od lat niemile widziane, czego dowodem Łukoil, który zwinął się z naszego kraju ledwie po kilku latach działalności, sprzedając swoje stacje benzynowe spółce austriackiej.

Symbolem tej polityki jest sprawa tarnowskich Azotów. W 2012 r. należący do oligarchy Wiaczesława Kantora Acron próbował przejąć firmę, jednak został zablokowany dzięki fuzji tarnowskich zakładów z Azotami w Puławach. W powstałej w ten sposób Grupie Azoty rosyjski Acron posiada 20 proc. udziałów, jednak spółkę skutecznie kontroluje polski Skarb Państwa. Jedyną rosyjską inwestycją stworzoną od podstaw w Polsce w XXI wieku jest uruchomiona w zeszłym roku na Dolnym Śląsku fabryka wełny mineralnej Technonicol.

Energetyczne wyzwania

Zerwanie relacji handlowych z Moskwą oznacza jednak wzrost cen żywności w Polsce. Głównie dlatego, że z Rosji kupujemy sporo nawozów. Według raportu FAO, w ubiegłym roku kraj ten odpowiadał za import do Polski 25 proc. sprowadzanych nawozów, co na szczęście nie plasuje nas w ścisłej czołówce pod tym względem – w Finlandii nawozy z Rosji to aż 80 proc. importu, a w Mołdawii 70 proc. Oczywiście nawozy możemy kupić też w innych miejscach – sami zresztą je produkujemy – jednak ich cena na świecie drastycznie wzrośnie z powodu wojny w Ukrainie.

Znaczenie handlu z Moskwą systematycznie zmniejsza się od upadku ZSRR. **Obecnie Rosja jest dopiero siódmym odbiorcą naszych towarów.**

Wąsiński wskazuje także na istotne znaczenie importu metali – np. aluminium, niklu czy palladu. Embargo na handel z Rosją znacznie podniosłoby koszty przemysłu wykorzystującego te metale – mowa przede wszystkim o motoryzacji, dla której wszystkie trzy surowce są bardzo istotne. Zresztą ich ceny na globalnych rynkach już wyraźnie wzrosły.

Oczywiście największym wyzwaniem będzie uniezależnienie się od dostaw surowców energetycznych. Stosunkowo najprostszą sprawą jest rezygnacja z rosyjskiego węgla. Według danych z analizy Forum Energii, Polska importuje tylko jedną piątą zużywanego węgla – nasz sektor energetyczny opiera się więc na surowcu krajowym. Przywożony do nas węgiel w trzech czwartych pochodzi z Rosji, ale w 2021 r. zapłaciliśmy za niego niewiele ponad pół miliarda euro, co na tle gazu czy ropy jest kwotą marginalną. Mówimy tu o niecałych 10 milionach ton surowca, które w większości trafiają do gospodarstw domowych, a w mniejszym stopniu do kotłowni i ciepłowni. Zresztą, surowiec ten można kupić też z innych kierunków. „Eliminacja rosyjskiego węgla z Polski przy odpowiednim przygotowaniu nie powinna zagrozić bezpieczeństwu dostaw ciepła, a tym bardziej energii elektrycznej" – piszą autorzy analizy Forum Energii.

Wbrew pozorom, także odejście od rosyjskiego gazu i ropy nie jest misją niemożliwą. – Polska sprowadza niewiele ponad połowę tych surowców z Rosji. I jest w stanie porzucić dostawy niemal z dnia na dzień. To kwestia odpowiednich kosztów ekonomicznych, które są niewspółmiernie małe, jeżeli porównać je z kosztami ponoszonymi obecnie przez Ukrainę – przekonuje Wojciech Jakóbik, analityk sektora energetycznego. Roczne zużycie gazu w Polsce to 20 mld m sześc., a krajowe wydobycie pokrywa jedną czwartą. Dodatkowe 5 mld możemy sprowadzać w formie skroplonej poprzez Gazoport. Trwa też obecnie jego rozbudowa, dzięki której przepustowość wzrośnie pod koniec roku do 7,5 mld. W tym samym czasie powinien być też gotowy gazociąg Baltic Pipe, który dostarczy nam surowiec z Norwegii. Początkowo jego przepustowość będzie wynosić jedynie 3 mld m sześc., jednak w przyszłym roku sięgnie już docelowych 10 mld.

Gazoport wraz z Baltic Pipe zapewnią nam możliwość sprowadzania całości importowanego gazu spoza Rosji. Polska uzyska więc niezależność gazową już w przyszłym roku. Zresztą z końcem obecnego roku kończy się długoletnia umowa z Gazpromem, a według zapowiedzi rządu nie zostanie ona przedłużona.

Tanio już było

Polska jest drugim największym importerem ropy z Rosji w Unii Europejskiej (po Niemczech). Ponad dwie trzecie zużywanej przez nas ropy pochodzi właśnie stamtąd, ale na początku lat 90. było to niemal 100 proc. Równocześnie jednak nasze możliwości importowania surowca z innych kierunków są bardzo duże. Polskie rafinerie są przystosowane do obróbki ropy spoza Rosji, a przepustowość Naftoportu przekracza nasze roczne zapotrzebowanie – wynosi nawet 40 mln ton surowca, a zużywamy go rocznie 27 mln. Według analizy Polskiego Instytutu Ekonomicznego „przy pełnym wykorzystaniu przepustowości Naftoportu niezagrożone byłyby również dostawy ropy do Litwy, Łotwy, Estonii i Czech". Rezygnacja z rosyjskiej ropy jest więc kwestią decyzji politycznych. Problem w tym, że muszą one zostać podjęte na szczeblu unijnym, gdyż Orlen ma podpisaną umowę z Tatnieftem aż do 2025 r. (z Rosnieftem do końca 2022 r.). W przypadku jednostronnej rezygnacji z dostaw i tak musiałby płacić za ropę w zakontraktowanych ilościach – tylko unijne embargo mogłoby być podstawą do zerwania umów.

Oznaczałoby to jednak bardzo wyraźny wzrost ceny ropy, a co za tym idzie: paliwa na stacjach. – Tanio już było i trudno mi określić limit wzrostu cen. Dlatego niezbywalnymi elementami środków zaradczych na poziomie krajowym i unijnym są po pierwsze subsydia chroniące najsłabszych przed drożyzną, a po drugie kampania informacyjna zachęcająca do oszczędzania energii – konkluduje Wojciech Jakóbik.

© PIOTR WÓJCIK

JACEK

Podsiadło:
Kawałek ciała

W natłoku wojennych wiadomości wszystko inne przelatuje niezauważone, ale kiedy zahaczyłem wzrokiem o zdanie Adiny Blady-Szwajger, zacytowane chyba w związku ze wznowieniem jej książki, zostało mi ono w pamięci. I uparcie domagało się uwagi, więc w końcu odnalazłem je w książce.

Zdanie brzmi „Trzeba nieść pomoc do końca, ale przedtem trzeba stać się kawałkiem drewna". Jako zachęta do lektury, wyrwane ze środka rozdziału, zdaje się pozować na aforyzm, a kawałek drewna wygląda zgoła na „nośną metaforę". Odnalezione w książce ujawnia swoje prawdziwe oblicze: zostało sformułowane w pośpiechu i rzucone w biegu, „wyrwało się" autorce przy okazji wspominania prób niesienia pomocy okaleczonym dzieciom w szpitalu. Akurat była mowa o dzieciach z odmrożonymi palcami. Że dziesięcioletnia Chanełe cieszyła się, że już jej nie bolą, a przecież bez palców całkiem dobrze można żyć. A znów Chaimek prosił, żeby mu te palce uratować, bo chce grać na skrzypcach jak tatuś. „Pamiętam, że z tacą przykrytą serwetkami chodziłam za doktorem Wilkiem po oddziałach i coraz lepiej rozumiałam, że trzeba nieść pomoc do końca, ale przedtem trzeba stać się kawałkiem drewna".

Wojnę na Ukrainie oglądamy, jak zwykle, zza płotu – dobrze, że nie ma pięciu metrów wysokości i nie jest zwieńczony drutem żyletkowym. To, co widzimy, co słyszymy od uchodźców, potwierdza książkową wiedzę o wojnie, jaką mieliśmy dotychczas. Tę na przykład, że świat na wojnie staje się absolutnie czarno-biały i nikt się tu nie będzie bawił w niuanse. Na pewno nie krótko ostrzyżeni i solidnie zbudowani młodzi mężczyźni, którzy obecnie rządzą światem i mają w rękach także twój los. Albo jesteś Ukraińcem, albo kacapem, a jeśli masz ojca Ukraińca i matkę Rosjankę, to twój problem i lepiej nie rozwiązuj go długo. Albo jesteś chłop i zostajesz, albo jesteś baba i wtedy możesz uciekać. Miarą człowieczeństwa znów jest kawałek drewna. Żeby pozostać człowiekiem, musisz przestać nim być.

To tam, za płotem. My na szczęście możemy zachować swoje humanistyczne miarki, wojna nie dotknęła nas bezpośrednio. O co mi w ogóle chodzi? No, na przykład. Przez długie lata współczułem chłopcom z Rosji. Wciąż obowiązkowy pobór do wojska od lat osiemnastu, w wojsku całkowite odcięcie od świata, także od internetu, fala tak okrutna, że nasza rodzima tradycja w tym względzie to niewinne zuchowe harce. Czy nie widać tego w oczach sierot, które dały się wziąć do niewoli? Widać. Ale żołnierz ukraiński musi być zrobiony z drewna. Jeśli będzie się zastanawiał, czy strzela do sieroty, czy do potwora, potwór strzeli pierwszy.

Albo jesteś dobrym kawałkiem drewna, albo jesteś złym kawałkiem drewna. Albo jesteś z nami, albo z kacapami. Albo jesteś potrzebny, albo jesteś zbędny. Transpłciowe Ukrainki są potrzebne i muszą zostać, bo w papierach mają zapisaną męskość, a żadnych trzecich płci na wojnie nie ma. Ukraiński strażnik przed granicą jest gotów albo udaje, że jest gotów strzelać do psów z narażeniem życia wywożonych z Ukrainy przez wolontariuszy. Jest wojna i psy są niepotrzebne. Sprawdziłem kilkoro rosyjskich muzyków, których od dawna cenię za pacyfistyczne songi. Z tych nielicznych, których sprawdziłem, nikt mnie nie zawiódł, choć żaden też, kacapska jego mać, nie podpalił się pod Kremlem.

Decathlon był tak dobry, że zmonopolizował rynek, a teraz jest zły. Zbierając sprzęt sportowy dla dzieci w Drohobyczu spytałem o możliwość prezentu dla nich dyrektorkę opolskiego oddziału, okazała się bardzo hojna. Zaraz dostałem moralne baty od internetowych wojowniczek i wojowników. Ale też nie znalazłem chętnego, który by pojechał do Drohobycza i powiedział dzieciom uchodźców, żeby dalej siedziały w tłoku i bezruchu, radując się, iż biorą udział w bojkocie Decathlonu.

„Avi jest synem Żyda z mojego Ostrowca. Zajrzał, żeby mnie zaprosić na 98 urodziny ojca i zobaczył, że zbieram ten sprzęt. Przelał mi pewną kwotę na jego zakup. *If I would tell my father I did this he would kill me. He always said... that the worst experience he had was not with the Nazis but with the Ukrainian guards at the Zaklady Ostrowieckie steel factory*".

Wojna mnie nie dotknęła, największa przykrość, jaka mnie w związku z nią spotkała, to właśnie ledwie przykrość. Pojechałem do Lwowa poruszony historiami o matkach z małymi dziećmi marznących na dworcu, o zabiedzonych zwierzętach i o czarnoskórych studentach wyrzucanych z pociągów, a także pobitych w wielokilometrowej kolejce, z której ciągle wyrzucano ich na koniec. Na tychże czarnoskórych czekały już w Przemyślu, gdybyście nie pamiętali, grupki patriotycznie nastawionej młodzieży zaopatrzonej w patriotyczne gadżety, aby bronić przemyślanek przed Gwałcicielem z Afryki. Potem staliśmy w tejże kolejce z dwiema mamami, które się zaprzyjaźniły na dworcu we Lwowie, każda z nastoletnim synem, do tego pies i kot, przesympatyczna ekipa. Ciekawi ludzie w ogóle, np. jedna z mam bez powodu uczyła się chińskiego, wszyscy byli już oswojeni z wojną, żartowali na jej temat, chłopcy się cieszyli z pierwszego w życiu wyjazdu za granicę. I w pewnym momencie opowiadały sobie o Murzynach, których widziały jedna w Kijowie, a druga nie pamiętam gdzie, że ci to dopiero byli zszokowani! Wyglądali jak ufoludki, którym się pomyliły planety! I nam, owszem, było zimno, ale im to dopiero! Nie mogły przestać chichotać z tych Murzynów. Aż mi się przypomniał dowcip, który dawno temu sprzedał mi Andrij Bondar, jak to Ukrainka w ciąży bała się, że urodzi Murzyna z dwiema głowami. Kiedyś wam opowiem. ©

REPORTAŻ

JĘZYKOZNAWCA

Profesor powiedział, że zdałam z wyróżnieniem.
Podszedł do mnie, przycisnął do siebie, włożył mi język do ust.
Dwa metry dalej stał drugi profesor, patrzył w okno.

TEKST ANNA GOC

ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

Kilkanaście kobiet połączyła jedna historia. Ci, którzy byli wokół, musieli coś wiedzieć, bo wymieniali spojrzenia, spuszczali wzrok, często milczeli. Czasami żartowali: „profesor i jego wianuszek". Nie była to historia tajemna, przynajmniej nie dla wszystkich.

WIANEK *m III, D.* wianka [...] 2. »pewna liczba jednakowych przedmiotów nanizanych na koliście związany sznurek lub takie przedmioty związane tak, że tworzą koło« [...].

Przez ostatnie dwa tygodnie spotykam się z grupą najpierw kilku, a potem kilkunastu kobiet. Siedem z nich podpisało się pod wnioskiem do Komisji Rektorskiej ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji, która działa na Uniwersytecie Warszawskim. Oskarżyły w nim znanego językoznawcę, profesora z Wydziału Polonistyki UW, o molestowanie seksualne.

Każda z nich pamięta pierwsze spotkanie z profesorem.

Izabela: – Tłumy na wykładach, wszystkie miejsca zajęte, ludzie stali w korytarzu.

Katarzyna: – Jego wykłady porywały, zmuszały do reakcji.

Magdalena: – Gdy wyłowił mnie z grupy i o coś zapytał, a potem zaprosił na indywidualną konsultację, czułam, że już wiem, co chcę robić w życiu. Moja mama była fanką jego audycji, ucieszyła się, że mnie zauważył.

Obecna wykładowczyni na UW: – Był przez wszystkich doceniany, zapraszany, fetowany. Każdy jego jubileusz, każda rocznica pracy akademickiej to było wydarzenie, na które zjeżdżali wszyscy czołowi językoznawcy kraju. Był bogiem.

Anna: – Świetny dydaktyk, bardzo zaangażowany w swoją pracę. Z jego seminariów wyniosłam zamiłowanie do językoznawstwa. Dla wielu z nas był mistrzem.

Profesor jest przez wiele lat dyrektorem Instytutu Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego, równolegle kieruje Zakładem Leksykologii i Kultury Języka UW, jest też przez kilkanaście lat przewodniczącym Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Autor kilkudziesięciu książek, kilkuset artykułów naukowych i popularnonaukowych. Trudno znaleźć stację radiową, telewizyjną czy tytuł prasowy, w którym by się nie wypowiadał. Albo uniwersytet, na który nie zostałby zaproszony z wykładem.

MISTRZ [*wym.* mistsz, *pot.* misczsz, miszczsz, *nie:* miszcz] *m II, lm M.* mistrzowie (mistrze *tylko we frazeologizmie:* Mistrz nad mistrze), *DB.* mistrzów (*nie:* mistrzy): [...] Δ Mistrzu, czy pozwoli Pan? »szczególna forma bezpośredniego zwrotu do dyrygenta, artysty malarza, aktora itp.« [...].

Przestrzeń gabinetów profesora, o których mówi się najwięcej, kobiety dzielą na neutralną i niebezpieczną. W neutralnej jest biurko, duże krzesło profesora po jednej stronie i drugie dla nich – naprzeciw. Kobiety prawie zawsze próbują usiąść przy biurku. Ale zwykle już na pierwszej konsultacji są proszone, by przeniosły się na jedno z krzeseł, które stoi w rzędzie pod ścianą.

Na krzesłach zaczyna się groźna przestrzeń. – Siadał obok mnie, blisko. Zajmowaliśmy się moją pracą. Profesor wyjaśniał, tłumaczył, dawał uwagi. Równocześnie kładł rękę na moim kolanie, gładził po dłoni, po plecach – mówi jedna z kobiet.

Są drzwi. Zarówno w gabinecie zakładu, jak i w gabinecie dyrektora otwierają się do wewnątrz.

Magdalena: – Zachodził drogę, gdy dziewczyna próbowała już wyjść. Jest wysoki, potężnej postury. Silny. Przyciskał do drzwi, blokując je kobiecym ciałem. Kiedyś zapukała do drzwi pani sekretarka, która miała swoje biurko tuż za tymi drzwiami, być może usłyszała szamotaninę.

Anna: – Przypartą do drzwi kobietę blokował rękami. Przywierał ciałem, wciskał się biodrami w miednicę. Łapczywie obcałowywał szyję, wkładał język do ust. Gdy ktoś nagle chciał wejść, mógł wytłumaczyć, że właśnie podawał płaszcz, bo obok drzwi stał wieszak.

Jest też okno. Magdalena: – To był dzień obrony mojej pracy. Odpowiedziałam na pytania, wyszłam z gabinetu, profesorowie mieli się naradzić. Gdy wróciłam, profesor powiedział, że zdałam z wyróżnieniem, na piątkę. Podszedł do mnie, przycisnął mnie do siebie, włożył język do ust. Dwa metry dalej stał drugi profesor, patrzył w okno.

NIEBEZPIECZEŃSTWO *n III, lm D.* niebezpieczeństw: Być znaleźć się w niebezpieczeństwie. Komuś grozi, zagraża niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo wisi nad kimś, nad czymś [...].

Historie kobiet łączy najpierw to, że wszystkie były magistrantkami lub doktorantkami profesora. Niektóre dostały na jego seminarium specjalne zaproszenie, dużo wcześniej, niż zakładał to harmonogram studiów. Zdarzało się, że profesor przenosił kobiety od innych wykładowców, nie pytając ich o zgodę.

Historia Magdaleny zaczęła się około 17 lat temu. Profesor zaprosił ją na swoje seminarium, gdy była na drugim roku studiów.

Magdalena: – To był zły czas w moim życiu. Zaszłam w ciążę, niechcianą. Przyszłam do profesora poradzić się, co mogę zrobić, żeby nie stracić studiów. Chciałam dopytać o urlop macierzyński i zapewnić, że nie zamierzam odpuścić pracy magisterskiej. Profesor niewiele mówił o uczelni, wypytywał za to o mojego partnera. Bardzo mnie to zdziwiło. Powiedział, że się mną zaopiekuje, choć nie oczekiwałam tego. Na koniec przytulił mnie, czułam, że chce poczuć moje piersi. To był dla mnie krytyczny moment, bo już byłam w kiepskim stanie, a z tego spotkania wyszłam w jeszcze gorszym.

Magdalena decyduje się na zmianę promotora. – Spotkałam mojego nowego promotora i profesora na korytarzu. Profesor powiedział, że właśnie o mnie rozmawiali i że podjęli decyzję, że jednak będę jego magistrantką. Wyławiał nas i nie pozwalał odchodzić – mówi.

Judyta ma w 2019 roku 19 lat, właśnie zaczęła studia na Wydziale Polonistyki UW. Podchodzi do profesora po pierwszym wykładzie, prosi o wspólne zdjęcie. Dotąd zna go tylko z książek. Profesor zaprasza ją na konsultację. Dopytuje o sprawy prywatne, także intymne. Pyta o partnerów seksualnych i o to, czy Judyta lubi alkohol. Judyta podchodzi do tych pytań z przymrużeniem oka, profesor jest od niej prawie cztery razy starszy. Rozmawiają też o językoznawstwie, ale niedużo. Gdy dostaje zaproszenie na konsultację, myśli, że profesor dostrzegł w niej potencjał naukowy.

↦

Z relacji Judyty wynika, że zaczyna on wymieniać z nią prywatne wiadomości, piszą do siebie na mesendżerze. Podczas jednej z kolejnych konsultacji profesor wyznaje, że ma raka.

Judyta: – Powiedział, że jego penis krwawi. Dokładnie tak to ujął. Byłam zdziwiona tym zwierzeniem. Pomyślałam, że ja też muszę podzielić się z nim czymś osobistym. Powiedziałam więc, że w liceum miałam siedem prób samobójczych.

Po tym wyznaniu konsultacji jest jeszcze więcej. Judyta: – Zaczął mnie dotykać, zwykle wtedy, gdy byliśmy sami. Miałam wrażenie, że może ze mną zrobić, co zechce, wbrew mojej woli. Gdy w czasie kolejnych konsultacji powiedziałam, że interesuje mnie tylko relacja naukowa, rzucił się na mnie i zaczął całować. Byłam sparaliżowana. Próbowałam odwracać głowę w prawo i w lewo, żeby nie dotknął moich ust. Ale był silniejszy. Nie wiem, jak udało mi się wyrwać z jego uścisku.

Judyta ucieka z gabinetu, siada tuż obok, nie może się ruszyć. Podchodzi do niej jedna z profesorek, znajdują ją koleżanki z roku, które czekały w bibliotece. Stoją nad nią, dopytują, co się stało. Judyta nie potrafi mówić, jest w szoku.

– Profesor... [podaje nazwisko] – wypowiada po chwili.

MOLESTOWAĆ *ndk IV* [...] 2. »narzucać się z propozycjami seksualnymi; [...] próbować wykorzystać kogoś seksualnie, z użyciem siły fizycznej lub psychicznej« [...].

Opowieści o tym, co działo się na seminariach, są zbieżne, niezależnie od tego, jakich lat dotyczą. Wyraźny jest też podział na seminaria magisterskie i doktoranckie. W tych pierwszych udział bierze zwykle kilkanaście studentek, w doktoranckich – kilka, wybranych. Zdarza się, że sale, w których się spotykają, są bardzo małe, siedzą ściśnięci.

Karolina: – Siedzieliśmy tak blisko, że czułam zapach oddechu profesora.

Wszystkie kobiety mówią o charakterystycznych elementach tych spotkań i o swoim „nie".

Profesor proponuje niektórym, żeby byli po imieniu. „Karolinko, kotku" – mówi jednej ze studentek. „Kocie" – innej. „Kochanie" – słyszy jeszcze jedna. Kobiety: „nie wypada, nie chcę". Wtedy profesor wraca do sprawy w czasie wykładu z kultury języka polskiego: jeśli osoba starsza i wyżej w hierarchii proponuje przejście na „ty", odmowa jest brakiem grzeczności językowej – mówi.

Karolina: – Gdy zwrócił się do mnie „Karolinko, kotku", zmroziło mnie. To było w 2017 r., zaalarmowałam kilka osób na Wydziale Polonistyki UW. Poradzono mi, żebym zmieniła seminarium, a jako powód podała „zmianę zainteresowań naukowych".

Profesor dla wybranych kobiet trzyma miejsce najbliżej siebie. Gdy próbują usiąść dalej, woła je, przesadza.

Z ich relacji wynika, że prowadzi zajęcia i równocześnie dotyka studentek, które siedzą najbliżej. Zdarza się, że dotyka nogą pod stołem. „Pięknie wyglądasz", dotknięcie w rękę. „Ładny sweterek, w kolorze oczu", ręka na kolanie. Czasem poklepuje, innym razem gładzi. Zapisuje jakiś komplement na brzegu zeszytu. Przechodząc korytarzem, ociera się.

Na zajęciach używa przykładów odnoszących się do życia seksualnego. „Rozwodnik-recydywista" – mówi o sobie, gdy pyta o konieczność użycia dywizu. Wpada na jedną z doktorantek na korytarzu, rzuca: „można powiedzieć, że na ciebie lecę". Jedna z wykładowczyń Wydziału Polonistyki UW opowiada, że gdy weszła do pokoju profesora, który był w trakcie indywidualnej konsultacji z seminarzystką, speszył się, a potem powiedział: „My tu mamy taki stosunek przerywany".

Wykładowczyni: – Byłam wtedy jeszcze jego studentką, stałam obok niego na kolacji po obronie doktoratu kogoś z wydziału. Zaprosił mnie tam i to było ogromne wyróżnienie, nie sposób było odmówić. Chodził kelner z tacą, były na niej ciasteczka. „No weź, weź" – powiedział do mnie profesor, a gdy odpowiedziałam, że nie chcę, sięgnął po ciastko i próbował mi je wepchnąć do ust. Wzdrygnęłam się, odsunęłam. „He, he – zarechotał – nie chce, bo potem będą mówili, że bierze do buzi". Następnego dnia zadzwoniłam do kogoś z pracowników, bo nie mogłam sobie z tym poradzić. Usłyszałam, że „e tam, wszyscy wiedzą, że on taki jest".

Jest więcej kobiet, które starają się interweniować. Szukają pomocy u innych profesorów i profesorek. Zdarza im się słyszeć, że ich reakcje „to różnica pokoleniowa". Kilka osób z kadry akademickiej próbuje pomagać: zaleca przeniesienie się do innego promotora.

Doktorantki, które wiedzą, co dzieje się z ich koleżankami lub które same doświadczyły molestowania, mają strategię: chodzą parami, unikają zostawania z profesorem sam na sam. Zwracają uwagę na to, w co się ubierają na seminarium: „Tego białego swetra raczej nie zakładaj, bo w nim widać ci piersi" – radzą sobie nawzajem.

Karolina: – Profesor patrzył na piersi, nogi, zawieszał wzrok. To było celowe nawiązanie kontaktu z podtekstem seksualnym.

Magdalena i Katarzyna są w jednej grupie doktoranckiej. Obie doświadczyły molestowania. Ustalają strategię kontaktów z profesorem. Na konsultacje przychodzą zawsze razem. Na konferencje naukowe też jeżdżą razem, wsiadają do innego pociągu niż profesor, wynajmują tanie hostele, odmawiają profesorowi, gdy zaprasza je do siebie. Wychodzą z konferencji, gdy trwa ostatni referat. Mówią, że umówiły się ze znajomymi, często nie przychodzą na konferencyjne kolacje.

Katarzyna na konsultację prywatną, która ma się odbyć w mieszkaniu profesora, zabiera ze sobą męża, który czeka pod drzwiami na wypadek, gdyby coś się działo.

Z relacji kilkunastu osób wynika, że profesor traktuje swoje doktorantki jak własność także publicznie. W czasie oficjalnych konferencji nazywa je swoimi „gwiazdami", „stajnią". „Mój wianuszek" – mówi. Przytula je publicznie, otacza się nimi.

Kinga: – Kilka miesięcy przed obroną pracy magisterskiej pojechaliśmy na konferencję do innego miasta. Po moim wystąpieniu profesor podszedł do mnie: „Chodź, przejdziemy się. Ochłoniesz troszeczkę". Było już ciemno, spacerowaliśmy wąskimi uliczkami. Nagle złapał mnie za rękę. Po chwili udało mi się wyrwać, uciekłam. Od tamtego momentu zmienił się, zaczął mnie krytykować. Obroniłam pracę, pożegnałam się z Wydziałem Polonistyki.

Jak to możliwe, że tyle osób widziało, co się dzieje, i nikt nie reagował? Jedna z wykładowczyń z Wydziału Polonistyki tłumaczy: nikt nie sądził, że dochodzi do przemocy seksualnej. – Wszyscy wiedzieli, że profesor „ma lepkie rączki", lubi otaczać się kobietami. Ale nikt nie podejrzewał, że jest drapieżcą seksualnym, bo wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami.

Inna wykładowczyni przyznaje, że nie było wiadomo, co robić, bo pokrzywdzone nie zgłaszały oficjalnie sprawy: – Jeden z moich kolegów opowiedział mi kiedyś, że gdy był studentem, wszedł do gabinetu po wpis do indeksu. Oprócz wykładowczyni, która miała dać wpis, a była wówczas doktorantką profesora, zastał też jego. Profesor miał opuszczone spodnie. Widać było, że kobieta jest przerażona. Kolega nie wiedział, jak zareagować. Chyba aż dotąd nikomu o tym nie opowiedział.

MILCZEĆ (*nie:* milczyć) *ndk VIIb* [...] 2. »nie chcieć mówić, nie wypowiadać się na jakiś temat« [...] Prasa wciąż rozpisuje się o przemocy, lecz milczy o jej przyczynach.

Anna trafia na seminarium profesora na trzecim roku. Profesor siada blisko niej, kolano w kolano. Coś tłumaczy, dotyka, obejmuje. Przekracza kolejne granice.

Anna: – Te gesty paraliżowały. Na początku bałam się zareagować. Trudno dziś wyjaśnić dlaczego, ale po prostu zastygałam. Czułam, jakby z każdym miesiącem zagarniał mnie pod siebie. Wydawało mi się, że daję znać otoczeniu, że proszę o pomoc. „Anna, było widać, że jesteś umęczona" – powiedział mi ktoś ostatnio. Ale wtedy, gdy to się działo, nikt nie reagował.

Do pierwszego ataku dochodzi, gdy Anna jest na drugim roku studiów doktoranckich.

Anna: – Pojechałyśmy z dwiema innymi doktorantkami na konferencję naukową. Po obradach i kolacji poszłam do swojego pokoju, który dzieliłam ze studentką z innego uniwersytetu. Profesor dogonił mnie na schodach. Chciał, żebym poszła do jego pokoju. Powiedziałam, że nie chcę. Złapał mnie za przegub ręki, zaczął ciągnąć. Opierałam się. Wszystko działo się na klatce schodowej, więc bałam się, że ktoś zobaczy, jak się z nim szarpię. Wciągnął mnie do pokoju, kazał usiąść na tapczanie. Przewrócił mnie, położył się na mnie w ubraniu, zaczął obcałowywać po twarzy, po szyi, mówić, że jestem wspaniała, cudowna, piękna. Nie pamiętam, jak udało mi się spod niego wyjść.

Anna mówi z trudem, choć minęło już ponad 20 lat. – Cały czas zastanawiałam się, dlaczego nie potrafiłam się bronić. Czy to moja grzeczność? Obawa przed wielkim profesorem? Pisałam dalej pracę, unikałam, jak się dało, kolejnych ataków. Nie wiedziałam, gdzie jest czerwona linia, której profesor już nie przekroczy.

■■■

Swoją historię zgadza się opowiedzieć także kilka kobiet, które z różnych powodów nie mogły podpisać się pod wspomnianym na początku wnioskiem do Komisji Rektorskiej ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji.

Elżbieta: – Byłam zagubiona, miałam stany lękowe, profesor musiał to wyczuć. Zdarzało się, że na zajęcia przychodziłam niewyspana, próbowałam pracować i studiować równocześnie, nie mogłam liczyć na pomoc rodziców. Podziwiałam profesora, lubiłam zajęcia z nim i starałam się do nich dobrze przygotować. Miałam wręcz poczucie, że na seminarium nie może paść pytanie, na które nie potrafiłabym odpowiedzieć. Profesor często mnie chwalił, w końcu zaproponował pracę w miejscu powiązanym z uniwersytetem.

Kończy się posiedzenie na wydziale, jest późny wieczór. Elżbieta wraca po kurtkę na drugie piętro, gdzie jest też gabinet profesora. Z relacji kobiety wynika, że profesor wchodzi za nią do pokoju, zamyka drzwi. Gasi światło. Elżbieta zaczyna się bać. On przyciska ją mocno do ściany.

Elżbieta: – Nie byłam w stanie nic zrobić. Całował mnie po szyi. Te pocałunki nie były delikatne, lecz nachalne i gwałtowne. Wyczuł, że jestem sztywna, więc przestał. Odsunął się trochę, zaczął mnie głaskać po ramieniu i uspokajać. Mówił: „Wiesz, że bardzo cię lubię i szanuję, że mi się podobasz".

Znajduje krzesło, siada, ciągnie Elżbietę za rękę. Sadza ją sobie na kolanach. Jest od niej wyższy, waży pewnie dwa razy więcej.

Elżbieta: – Trzymał mnie jedną ręką, drugą gładził po plecach. Potem znowu całował. Wtedy nie posunął się dalej, musiał wyczuć, że jestem przerażona. Powiedział, że nie mogę o tym, co się wydarzyło, nikomu powiedzieć.

Po tym wszystkim profesor jest nadal bardzo serdeczny. Drobiazgowo i uważnie sprawdza pracę magisterską. Molestowanie już się nie powtarza. Elżbieta broni pracę magisterską, odchodzi z uniwersytetu. Nie decyduje się na studia doktoranckie.

↦

OGŁOSZENIE SPOŁECZNE

wsparcie dla kobiet doświadczających molestowania seksualnego

739 975 506

Projekt jest skierowany do kobiet spoza Warszawy

dyżury wtorki g. 16–18 czwartki g. 10–12

WOMEN IN LAW

POLSKIE TOWARZYSTWO PRAWA ANTYDYSKRYMINACYJNEGO

Aktywni Obywatele | Fundusz Regionalny

Iceland Liechtenstein Norway Active citizens fund

↦ Kontakt z profesorem odnawia się kilka lat później. Profesor proponuje współpracę w jednym z wydawnictw. – Wtedy miałam już dziecko. Wydawało mi się, że jestem bezpieczna. Myślałam, że moje małe dziecko jest moją tarczą. Poza tym miałam męża – mówi Elżbieta. – Gdy się spotkaliśmy, żeby omówić szczegóły, przytulił mnie. Znów zastygłam z przerażenia. Zaczął dotykać piersi. Myśli tłukły mi się po głowie, wśród nich: „Przecież ja karmię!". Po powrocie do domu znowu czułam się brudna. I winna, że czerpię korzyści z tego, co mi robi. Dostaję pracę, której nie mam, a której potrzebuję.

Przez kilka lat doświadcza różnych form przemocy: – Dociskał mnie do ściany, do drzwi. Napierał na mnie całym ciałem. Całował w miejscach intymnych. Próbował włożyć rękę za spódnicę. Brał moją rękę, żebym dotykała jego narządów. Nie słyszał słowa „nie". Zawsze zastygałam, wyłączałam się. Myślałam tylko o tym, żeby to się już skończyło. Dlaczego nikt nas przed nim nie ostrzegł? – pyta Elżbieta. – Rozmawiałam ostatnio z koleżanką. Przypomniała mi pewną scenę: jechałyśmy na konferencję językoznawczą ze studentkami ze starszych lat, któraś z nich powiedziała: „Dobrze, że nie jedzie z nami profesor, bo z nim lepiej nie zostawać sam na sam".

■■■

Historia Izabeli jest sprzed czterech lat. Jej kontakt z profesorem zaczyna się na drugim roku studiów doktoranckich.

Izabela: – Profesor uznał, że będzie mówił do mnie po imieniu. Najpierw byłam Izabelą, potem moje imię dodatkowo zdrabniał. Do pozostałych osób w grupie zwracał się per „pan/pani". Nie czułam się komfortowo, ale starałam się nie zwracać na to uwagi. W lutym duża grupa wykładowców z wydziału pojechała na konferencję naukową. Profesor dosiadał się do mnie, zajmował mi miejsce w czasie kolacji, chciał ze mną wracać samochodem. Wykładowcy patrzyli na mnie wymownie, jakbym to ja zachowywała się względem profesora niestosownie. Czułam, że oni myślą, że ja chcę wejść z tym człowiekiem w romans. Wygłaszałam referat, poszło mi źle, nie potrafiłam odpowiedzieć na pytania. Jakiś czas później poprosił, żebym została po zajęciach. „Zaczekaj na mnie" – powiedziałam koleżance. Przyciągnął mnie do ściany, włożył mi język do gardła. Zrezygnowałam ze studiów. Jak to możliwe, że to dzieje się od 30 lat? Że to wciąż się dzieje?

Wśród świadectw są różne formy przemocy. Jedna z kobiet przyznaje, że profesor masturbował się w jej obecności.

PRZEMOC *ż IV, blm:* Przemoc fizyczna, psychiczna. Używać przemocy. [...] *oficj.* Dopuścić się przemocy. [...] □ P. kogoś (czyjaś) – nad kimś, nad czymś a. wobec kogoś: Przemoc silniejszego nad słabszym (wobec słabszego) [...].

Bohaterkami tekstu są byłe studentki Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, niektóre z rozmówczyń to obecnie wykładowczynie na tym i innych wydziałach.

Kilka nie skończyło swoich prac doktorskich. Niektóre przyznają, że są po wieloletniej terapii, inne w trakcie leczenia. Część kobiet dzieli się wątpliwościami: obwiniają siebie, obawiają się reakcji środowiska i tego, czy ktoś im uwierzy.

Elżbieta: – Komuś, kto poznaje tę sprawę, może się wydawać, że na to w pewnym sensie pozwoliłam. Ale to nie jest prawda. Nie miałam sił, żeby uciec.

Jedyną bohaterką, która do dziś studiuje na Wydziale Polonistyki, jest Judyta. To jej sytuacja skłoniła inne kobiety do interwencji. „Jak tam twój romans z profesorem?" – rzuca ktoś. „Intrygantka", „aferzystka" – mówią do niej dwoje profesorów Wydziału Polonistyki UW.

Judyta: – Nasza sprawa nie jest oficjalnie zamknięta. Komisja wydała opinię, ale nie wszyscy mają do niej dostęp. Środowisko naukowe chyba się podzieliło. Jedni wspierają profesora, są z nim w kontakcie, inni – nas. Nigdy nie wiemy, z jaką reakcją się spotkamy.

Judytę odnalazła Anna, bo dowiedziała się, że dziś jakaś studentka ma problem z tym samym profesorem, od którego ona musiała uciekać. Zaczęły szukać innych kobiet skrzywdzonych przez niego. Miały pewność, że takie są. Tak powstała grupa siedmiu kobiet, które złożyły skargę do Komisji Rektorskiej ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji na UW, oskarżając profesora o molestowanie seksualne. Pokrzywdzonych jest jednak więcej.

Kobiety, które złożyły wniosek, otrzymały opinię Komisji, czekają na reakcję rektora UW.

– Prof. Alojzy Nowak, rektor UW, otrzymał opinię komisji ponad dwa miesiące temu. Opinia ta potwierdziła wiarygodność zarzutów molestowania seksualnego, które grupa kobiet skierowała przeciwko profesorowi [imię i nazwisko]. Jego czyny zostały nazwane molestowaniem, opisany został mechanizm działania, którego elementem było wykorzystywanie stanu psychicznego poszkodowanych. Wiemy, że profesor używał swojej władzy, która wynikała ze sprawowanych przez niego licznych funkcji, by stosować przemoc seksualną wobec kobiet. Od ponad dwóch miesięcy nie mamy informacji, by rektor podjął jakiekolwiek działania w tej sprawie. Ciężkie naruszenie obowiązków pracowniczych, które komisja udowodniła profesorowi, jest podstawą do zaprzestania stosunku pracy. Profesor, z tego, co wiemy, wciąż jest pracownikiem UW – mówiła 21 marca reprezentująca grupę kobiet mecenas Karolina Kędziora, prezeska zarządu Polskiego Towarzystwa Prawa Antydyskryminacyjnego.

Rada Języka Polskiego wykluczyła profesora ze swojego składu. Prof. Katarzyna Kłosińska, przewodnicząca Rady: – Po zapoznaniu się ze sprawą poprosiłam profesora, by w związku z toczącym się wobec niego postępowaniem zawiesił swoją działalność w Radzie. Profesor odmówił. Dopiero po rozmowie z prezesem PAN zrezygnował z członkostwa w niej.

Anna Modzelewska, rzeczniczka prasowa Uniwersytetu Warszawskiego, potwierdziła, że sprawę profesora prowadziła Komisja Rektorska ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji, która uznała złożoną skargę za wiarygodną. Z oświadczenia, które przesłała redakcji „Tygodnika", wynika, że „Umowa o pracę została rozwiązana. Rektor zwolnił pracownika z obowiązku świadczenia pracy, odsuwając go od prowadzenia zajęć dydaktycznych. Formalnie profesor przestanie być pracownikiem uczelni z dniem 31 marca, gdyż zgodnie z przepisami ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce rozwiązanie umowy o pracę z nauczycielem akademickim następuje z końcem semestru".

Z opinii komisji wynika, że profesor zna stawiane mu zarzuty, nie przyznał się do części z nich, a niektóre uznał za wyraz „troski" i „sympatii" wobec swoich seminarzystek. Nie odpowiedział na nasze kilkakrotne próby kontaktu telefonicznego, SMS-owego i mailowego.

TROSKA *ż III, lm D.* trosk (*nie:* trosek) [...] 2. »dbałość o kogoś, o coś«: Być przedmiotem czyjejś nieustannej troski. Ktoś wymaga ciągłej troski. □ T. o kogoś, o coś (*nie:* nad kimś, nad czymś): Troska o dziecko, o własne bezpieczeństwo.

Dwa dni po doniesieniach medialnych, 23 marca, rzeczniczka UW poinformowała, że prof. Alojzy Nowak, rektor UW, złożył zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa.

Głos zabrali także przedstawiciele Wydziału Polonistyki UW.

– Sprawa wywołała w naszym środowisku oburzenie, trudno mówić o niej bez emocji. Wiem, że wielu pracowników Wydziału Polonistyki dowiedziało się o zarzutach wobec profesora dopiero teraz, z doniesień medialnych. Ale nawet jeśli krąg osób, do których niepokojące sygnały docierały wcześniej, jest wąski, to i tak środowiskową odpowiedzialność ponosimy wszyscy – mówi prof. Zbigniew Greń, dziekan Wydziału Polonistyki UW, przewodniczący Rady Wydziału. – Informacje o sprawie dotarły do władz dziekańskich w maju zeszłego roku, gdy pokrzywdzone zdecydowały się poinformować o niej wybranych pracowników wydziału. Osoby pokrzywdzone otrzymały od nas bezwarunkowe wsparcie i zrobiliśmy wszystko, żeby ułatwić im zgłoszenie sprawy do rzeczniczki akademickiej, a w efekcie do Komisji Rektorskiej ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji. W czasie prac Komisji zadbaliśmy o to, by po świętach Bożego Narodzenia profesor nie miał już zajęć ze studentami. Informacje, które otrzymaliśmy z Komisji, miały charakter poufny, nie mogliśmy ich przekazać naszym studentom ani też upublicznić w jakiejkolwiek formie, bo Wydział Polonistyki nie był stroną w toczącym się wewnątrzuczelnianym postępowaniu.

– Jako środowisko nie kryliśmy profesora, nie odwracaliśmy wzroku – mówi prof. Izabela Winiarska-Górska. – Ci spośród nas, do których docierały niepokojące sygnały, mieli związane ręce, bo osoby pokrzywdzone, poza opowiedzeniem komuś z nas w zaufaniu, co je spotkało, nie decydowały się na oficjalne zgłoszenie sprawy władzom uczelni. Odebrałam tylko jedną skargę studentki, w 2019 roku, i natychmiast powiadomiłam władze Instytutu Języka Polskiego. Zebraliśmy się, by ustalić strategię działania, ale pokrzywdzona studentka prosiła nas o poufność. Przekazałam jej informacje, gdzie może swoją sprawę zgłosić, i zapewniłam o wsparciu. Po jakimś czasie studentka oficjalnie zgłosiła swoją sprawę Rozmawiałam wtedy również z oskarżanym profesorem – najpierw wszystkiemu zaprzeczył, a potem, gdy już studentka złożyła skargę, stwierdził, że pocałował ją „po ojcowsku". W rozmowach ze mną studentka unikała szczegółów. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, z jak poważnymi zarzutami mamy do czynienia.

W tym samym tonie wypowiada się dr hab. Monika Kresa, kierownik studiów na kierunku filologia polska: – Próbowaliśmy namówić studentki do zgłoszenia sprawy prodziekanowi ds. studenckich. Kiedy, po kilkunastu dniach, się na to zdecydowały, towarzyszyłam im podczas tego spotkania. Wiem zatem, że prodziekan udzielił studentkom wszelkiego wsparcia i uruchomił procedury pomocowe.

■■■

Gdy wysyłaliśmy reportaż do drukarni 25 marca, trwał protest studentów, którzy zgromadzili się przed gmachem Uniwersytetu Warszawskiego. – Czasy, kiedy profesorowie mogą mieć „lepkie rączki", minęły – mówili. Odnieśli się także do słów rektora UW, prof. Alojzego Nowaka, który powiedział w czasie trwającego w ubiegłym tygodniu Zjazdu Polonistów: „Wprawdzie w ostatnim czasie pisze się o naszej polonistyce dużo w gazetach, ale nie przejmujcie się państwo tym, że się pisze, uniwersytet porządkuje sprawy. To się zdarza, czy może się zdarzyć, choć nie powinno się zdarzyć, w każdym miejscu i na każdym wydziale. Powiedziałbym, że w połowie piszą nieprawdę (*śmiech*), ale z nieprawdą jest bardzo trudno dyskutować". Studenci zapytali więc: – Której połowie pokrzywdzonych pan rektor nie wierzy?

Cytowane fragmenty haseł pochodzą ze słownika, którego redaktorem naukowym jest główny negatywny bohater reportażu. Pierwszą wersja tekstu ukazała się 21 marca na: tygodnikpowszechny.pl, w kolejnych dniach aktualizowaliśmy ją.

©℗ ANNA GOC

Imiona niektórych kobiet zostały na ich prośbę zmienione.

Z autorką można kontaktować się pod adresem:
goc@tygodnik.com.pl

KWIATKI BRATA BAŁABANA

Nikogo nie potępiał ani nie krytykował. Kto odpokutuje grzechy, będzie zbawiony. Franciszkowy sposób na kryzys w Kościele.

TEKST I ZDJĘCIA EDWARD AUGUSTYN

„W marcu trzeba je wysiać do doniczek, po trzy, cztery nasionka do każdej. Jedni mówią, żeby wcześniej moczyć, to szybciej wzejdą. Ale ja nie moczę. Mam w ogrodzie namiot z folii i tam je rozsadzam. Podlewać trzeba, bo lubią wodę".

Zakonnik sypie do woreczka garść czarnych kulek – nasion czy owoców, nie wiem. Ma ich pod biurkiem dwa pełne wiadra. Łzawnica hiobowa, zwana też ogrodową albo jerozolimskim prosem, to trawa mało w Polsce popularna, ale w krajach azjatyckich traktowana jest jak zboże – z jej ziaren, po wymłóceniu, przyrządza się zupy, kleiki albo piwo. W medycynie wschodniej używa się jej do leczenia chorób układu pokarmowego, ale dobrze też wpływa na kości, włosy i skórę oraz łagodzi ból. Ziarna ma twarde, w kształcie łez. Wszędzie, gdzie się ją uprawia, wykorzystuje się je do produkcji biżuterii. Brat Józef robi z nich różańce.

O tym, jak zakonnicy w Gołonogu sprzedawali flance

– Po przymrozkach, w maju najlepiej, trzeba sadzonki włożyć do ziemi, co pół metra. Jak przyjdzie ciepło i chwycą wilgoć, to urosną szybko. Nic nie trzeba robić, tylko chwast wyrywać, bo zabiera wodę. We wrześniu można zbierać owoce. Albo i wcześniej, jak są jeszcze białe. Wtedy będą białe różańce. Źle się rozchodzą. Wolę poczekać, aż ściemnieją. Po zerwaniu, jak sobie schną, to się jeszcze zmieniają w lekko siwe. Te mi się nadają najbardziej.

Brat Józef Bałaban, rocznik 1929, przez siedemdziesiąt lat był klasztornym ogrodnikiem. Przez blisko czterdzieści łączył tę pracę z dyżurami na furcie krakowskiego klasztoru. Na pytanie, skąd u niego ogrodnicza pasja, wzrusza ramionami:

– Siedem klas podstawówki miałem, co innego mógłbym robić? Po szkole, jak się skończyła okupacja, zostałem w domu, na wsi. Rodzice parę morgów ziemi mieli, bydło, konie. Pomagałem. Odsłużyłem ludowe wojsko, w Krakowie, na Wrocławskiej, w piechocie. Na obozy wojskowe do lasu, koło Mielca, nas wozili. Wróciłem na wieś, pracowałem jako kościelny. Aż raz sąsiad, Ziemiański się nazywał, przyniósł mi „Rycerza Niepokalanej". Napisałem do Niepokalanowa, że chciałbym do klasztoru. Odpisali, żeby przyjechać.

Po pół roku odesłali go do Krakowa, gdzie został formalnie przyjęty do zakonu. O św. Franciszku niewiele jeszcze wiedział, podobnie jak o zakonnym życiu. Poznawał je w kolejnych klasztorach, gdzie odbywał postulat czy nowicjat, uprawiając ogród. Warzywa i owoce szły wtedy nie tylko na franciszkański stół. Do szklarni brata Józefa w Jaśle albo w Gołonogu ustawiały się kolejki. Sprzedawał dojrzałe jarzyny, ale też ich sadzonki oraz kwiaty doniczkowe: fiołki, astry i bratki.

– W Jaśle trzech nas było, brat Wenanty, brat Odoryk, kto trzeci... Nie pamiętam. Ojciec Półchłopek nowy kościół budował, bo poprzedni Niemcy zburzyli. Dużo roboty było, ale nie narzekałem. Zresztą ja pomału wszystko robię, więc się nie zmęczę. Co kazali robić, robiłem. I dobrze było.

O pochwale stworzenia i legendach pierwszych braci

Życiorysów św. Franciszka z Asyżu i historii powstania zakonu było kilka. Tuż po jego śmierci (1226) wśród braci, chcących go naśladować, nastąpił podział na tych, co chcieli żyć jak normalni zakonnicy, i tych, co chcieli wędrować, nauczać i jeść to, co im ludzie dadzą. Każda z grup zaczęła spisywać własną wersję początków franciszkańskiej rodziny. Gdy w 1260 r. życiorys Założyciela napisał św. Bonawentura – wielki filozof, teolog i generał zakonu – jego wersję uznano za oficjalną, a wszystkie wcześniejsze kazano zniszczyć, jako mało poważne, naiwne albo zbyt rubaszne.

Na szczęście nie do końca się to udało. W XIV wieku takie spisane po łacinie legendy o Franciszku, Klarze, bracie Leonie, Jałowcu, Idzim i paru innych o nie mniej oryginalnych imionach przetłumaczył na język włoski anonimowy mnich z Toskanii. Zatytułował je „Fioretti", czyli „Kwiatki". To proste historie: o radości doskonałej, złym wilku z Gubbio, wizycie u sułtana, nawróceniu zbójców – by wymienić tylko bardziej znane. Zbiór otwierała „Pochwała stworzenia" („Laudato si"), pieśń ułożona przez Franciszka, w której ślepnący i bliski śmierci Biedaczyna wielbi Boga za wszystkie jego dzieła – słońce, księżyc, gwiazdy, wiatr, powietrze, ogień i wodę – nazywając je braćmi i siostrami. To na wieki ukształtowało obraz franciszkanizmu, opierającego się na takich wartości jak ubóstwo, pokora, miłosierdzie, miłość do Boga i wszystkich stworzeń, pogodne przyjmowanie przeciwności losu i radosne oczekiwanie na siostrę śmierć. Legendy „Kwiatków" inspirowały poetów, malarzy, filozofów i całe rzesze zwykłych ludzi.

Literackie arcydzieło włoskiego średniowiecza zostało genialnie przetłumaczone na język polski w 1910 r. przez Leopolda Staffa. Stało się to na fali pierwszego zachwytu Franciszkiem, której źródłem była wydana we Francji biografia świętego autorstwa Paula Sabatiera (1894) oraz pierwsza polska monografia, autorstwa prof. Edwarda Porębowicza, romanisty z lwowskiego uniwersytetu (1899).

Wcześniej, przez długie wieki, nasze elity kulturalne nie przywiązywały do asyskiego trubadura zbytniej uwagi. Protekcjonalnie traktowało go szkolnictwo jezuickie, pobożność barokowa czy saska były dalekie od franciszkowej duchowości, lekceważyło ją oświecenie. Zresztą i później nie wszyscy ulegali jej urokowi. Pisał Jan Kott w „Dziennikach i małych szkicach", w 1966 r. (a więc już po przejściu na jasną stronę mocy): „Franciszkanizm był zawsze dla mnie, jak i prawie całego mojego pokolenia, bardzo daleki. Wydawał się naiwny, sentymentalny i modernistyczny. Pasował do secesji, nawet w swoim plastycznym kształcie (...) Ani demoniczny Breton, uprawiający tresurę wyobraźni (...), ani Maritain, ostatni z wielkich scholastyków – nie lubili św. Franciszka".

O tym, jak klerycy kapustę deptali i z łuku strzelali

Tymczasem brat Józef oprowadza mnie po swoich grządkach w Krakowie. I wspomina czasy, gdy przenieśli go do tutejszego klasztoru.

– Zaczął się stan wojenny. Byłem wtedy w Radomsku, tam też mieliśmy ogród. Przyjechał po mnie brat Nóżka, krakowski szafarz. Pamiętam, że wieźliśmy świniaka w samochodzie, patrole wojskowe nas zatrzymywały, ale się udało. Ogród był wtedy duży, świnki trzymaliśmy w chlewiku, tu, na tylnej ścianie urzędu miasta. Nie widzieli go, bo to ściana bez okien. Ale śmierdziało na pewno. Tylko co było robić, jak w sklepach pusto, a kleryków dużo? Były lata, że ponad stu. ↦

Br. Józef Bałaban w ogrodzie klasztoru franciszkanów w Krakowie, 28 lutego 2022 r.

Br. Józef Bałaban w klasztornej celi, Kraków, 28 lutego 2022 r.

↦ Dzisiaj jest ich ledwo trzydziestu. W miejsce świniarni wybudowano pokoje gościnne, połowę ogrodu przerobiono na płatny parking, na drugiej połowie posiano trawnik, posadzono iglaki, zatrudniono świeckiego ogrodnika, zrobiono alejki, kącik z figurą Matki Bożej, kącik dla św. Franciszka oraz strzelnicę.

– Klerycy sobie zbudowali. Ale z łuku strzelają, nie z wiatrówek – wyjaśnia bez pytania. – Są tacy, co z 50 metrów do celu trafią.

Jemu zostawiono może z ar ziemi, żeby mógł sadzić swoją łzawnicę. Ma też foliowy namiot, mały, pokrzywiony od wiatru i starości, zagracony, ale wciąż potrzebny. Dosadza jeszcze po bokach pory i sałatę, bo dobrze się udają.

– Jedzenie dziś można tanio kupić w supermarkecie, więc nikomu się nie opłaca warzyw hodować. Kiedyś wszystko ludzie robili sami. My w klasztorze też. Klerycy kisili kapustę, najpierw cały dzień szatkowali, potem bosymi nogami ugniatali w beczkach. Ugotować obiady na sto osób to nie byle co. W kuchni gotowały zakonnice, z pomocą wynajętych dziewczyn. Ale od dwóch lat mamy zawodowych kucharzy – dwóch panów i jedną panią. Jedzenie jest dobre, powiem nawet, że się poprawiło. Smacznie gotują i większy wybór jest. Ale przedtem też nie narzekałem. Co dawali jeść, jadłem. I dobrze było.

O tym, jak franciszkanie Kościół przed upadkiem uratowali

Przykład chrześcijaństwa żywego, szczerego, pełnego gorących emocji, biorącego na serio i dosłownie Ewangelię, poświęcającego się najbiedniejszym, kontemplującego Stwórcę w przyrodzie, wierzącego w pokój, dobro i powszechne braterstwo, nawołującego owszem do pokuty i wyrzeczeń, ale traktującego je nie jak bezsensowną udrękę, tylko dobrowolnie wybraną metodę samodoskonalenia – dawał zwykłym ludziom nadzieję, że naukę Jezusa da się realizować, a nie tylko o niej mówić. Gdy kaznodzieje w kościołach straszyli piekłem, bracia w poszarpanych habitach nieśli obietnicę zbawienia. Dla pogrążonego w kryzysie Kościoła pojawiła się szansa przeżycia.

Przyczyny upadku instytucji były jakby znane: zabieganie o władzę doczesną, hipokryzja, przepych, korupcja. A także wykorzystywanie dzieci, o którym św. Piotr Damiani pisał już w XI wieku, więc okazało się nieobce żadnej epoce. Wierni dobrze wiedzieli, jak zdemoralizowani potrafią być ich pasterze, jak daleko odeszli od Ewangelii, jak sprytnie rozkładają ciężary na barkach innych. Bunt się tlił i nie był wcale mały. Waldensi i albigensi odrzucali pośrednictwo kleru w kontakcie z Bogiem, domagali się dla wszystkich, w tym kobiet, prawa głoszenia Ewangelii i udzielania sakramentów. Katarzy uznali z kolei, że jedynym ratunkiem będzie radykalna pokuta i umartwienie, by pokonać siły ciemności, które nieustannie walczą ze światłem, a okiełznanie ciała, zwłaszcza w sferze seksualnej, najbardziej grzesznej, to droga do pewnego zbawienia.

Kościół w ruinie widział sam papież Innocenty III. Legenda mówi, że raz przyśnił mu się rozpadający się gmach bazyliki na Lateranie, ale wtedy zobaczył Franciszka, który własnymi ramionami podtrzymywał walące się filary. Jednak to, że pierwszych franciszkanów nie spotkał los kacerzy i heretyków, nie było zasługą dobrego snu papieża. Bracia wiedzieli, jaki los czeka tych, którzy okażą nieposłuszeństwo Kościołowi. Poszli prosić papieża o zgodę na życie Ewangelią, ale dla siebie – ich wybór nie miał być przymusem dla innych. Nikogo nie potępiali ani nie krytykowali. Kto odpokutuje swoje grzechy i zmieni życie, będzie zbawiony, czy to zbój, czy biskup. Kto się nie nawróci, ten sam się potępia. Pomogło im pewnie, zwłaszcza na początku, nim uzyskali zatwierdzenie reguły, że udawali naiwnych i głupszych od innych. A na pewno to, że znaleźli mocnych protektorów na papieskim dworze.

O tym, kto mądry, a kto mądrzejszy. I jak to się zaczęło

Różańce z ziaren łzawnicy brat Józef zaczął robić dopiero w Krakowie. Wcześniej tej rośliny nie znał. Przyszły raz na furtę siostry szarytki z ulicy Warszawskiej, dały mu nasiona. Całkiem nieznajome zakonnice, więc nie wie, dlaczego to zrobiły. Ale zasiał i dał się wciągnąć. Podpytuję, co to dla niego znaczy. W końcu takie cierpliwe składanie koralików to już jak modlitwa. Uśmiecha się:

– Ja to robię, żeby czymś ręce zająć i darmo nie siedzieć. Może trochę dla odpoczynku. Przypadkowo to przyszło. A modlę się w kaplicy.

Ziarna segreguje według wielkości, nietypowe odrzuca. Na biurku poukładane je ma grupkami. Pięć razy po dziesięć Zdrowaś Mario, pięć Ojcze nasz, pięć na rozbieg albo zakończenie, jak kto woli, tylko żeby w intencji Ojca Świętego, razem 59, bo w miejscu jednego, łączącego koronkę, będzie medalik. Do tego krzyżyki, które właśnie się skończyły, więc musi poprosić gwardiana, żeby posłał kogoś do Częstochowy, bo tam mają najlepszą cenę.

W każdym ziarenku jest naturalne miejsce na otwór, miękkie, więc nie musi nic wiercić. Czasem tylko trzeba się więcej namozolić, żeby drucik przeszedł. Przewleka, zawija szczypczykami pętelkę, i następny. Po każdym dziesiątku dodaje trzy ogniwa łańcuszka, żeby przerwa była wyraźna.

Pytam, ile mu przy tym schodzi. Znowu się uśmiecha.

– Najpierw trzeba posadzić, potem plewić, pozbierać, przesuszyć w skrzynkach. Więc jakieś pół roku. A potem, przez zimę, jak w ogrodzie nie ma pracy, dopiero się składa różańce. Może jakbym szybko robił, to w godzinę jeden bym zrobił. Ale po co się spieszyć? To ma być wytchnienie i przyjemność. Na dzień może dwa, trzy zrobię.

Zamówienia są, bo odkąd franciszkanie napisali o nim w swoim czasopiśmie, a potem jeszcze na Facebooku, dzwoni coraz więcej chętnych. Teraz trzeba dwa tygodnie czekać na realizację zamówienia. Cena 34,90.

– Ale kiedyś, jak nie było internetu, też kupowali – mówi brat Józef. – Nigdy mi paciorków z poprzednich lat nie zostawało. Straganiarze przyjeżdżali, ludzie na furtę przychodzili, wszystko się rozchodziło.

Próbuję go namówić jeszcze na poważniejsze tematy. W końcu czterdzieści lat siedział na furcie, gdzie klauzura styka się ze światem. Pytam o zmiany – w klasztorze, w ludziach, którzy przez te lata przychodzili. O jakich sprawach mówili, jakie problemy ich sprowadzały. Uśmiecha się po raz kolejny i już wiem, że odpowiedź będzie wymijająca:

– Ja nie jestem rozmowny za bardzo. Jedni mają talent do nauki, inni do rozmawiania. Ja od gadania nie byłem. Mądrzejsi są ode mnie. Jak ludzie przychodzili do szklarni, to pytali mnie, jak rośliny sadzić, a nie jak żyć. Może na furtę przychodzili, żeby pogadać, ale na szczęście w seminarium jest dużo mądrych księży i można było od razu któregoś zawołać. Albo kleryka. Zawsze się znalazł chętny. W klasztorze pewnie, że się zmieniło. Remont był. Teraz mam łazienkę w pokoju, a przedtem musiałem przez cały korytarz zegarowy w nocy chodzić. A czy się ludzie zmienili? Dla mnie zawsze byli jednakowo dobrzy. Więc się nie zmienili. Nikogo nie pouczam, nikogo nie oceniam. Bo kto ja jestem? Furtian i ogrodnik. Ile Pan Bóg każdemu daje, tyle ma. I jest dobrze.

O tym, jak dziennikarz zadawał naiwne pytania i co usłyszał w odpowiedzi

„Braciom drwalom zabraniał ścinać całe drzewo, żeby miało nadzieję odrośnięcia na nowo. Ogrodnikowi kazał dookoła ogrodu pozostawiać nieuprawne obrzeże, ażeby na nim, w swoich porach, zieleń ziół i piękno kwiatów głosiły Ojca wszystkich pięknych rzeczy. W ogrodzie polecił wydzielić działkę na pachnące zioła i kwiaty, ażeby patrzącym przywoływały na pamięć błogość wiekuistą. Robaczki usuwał z drogi, aby ich nie podeptano, a pszczołom kazał nakładać miód i najlepsze wino, by w czasie mrozu zimowego nie poginęły z głodu. Mianem brata nazywał wszystkie żyjątka, chociaż ze wszystkich rodzajów zwierząt przede wszystkim lubił zwierzęta łagodne" – pisał o Franciszku brat Tomasz z Celano, trzynastowieczny biograf („Życiorys drugi", CXXIV, 165).

Kawałek ugoru zostawiony w ogrodzie, by rosło na nim, co tylko chce matka natura, często nazywa się dziś „zakątkiem św. Franciszka". Ma on ogromne znaczenie dla życia gatunków, o których rzadko myślimy, jak chwasty, owady czy małe kręgowce.

Mam wrażenie, że skrawek ziemi, pozostawiony bratu Józefowi przez współbraci, pełni podobną funkcję. I pokazuje, jak piękna jest różnorodność – biologiczna, duchowa, pokoleniowa. Nawet jeśli w marcu wygląda trochę marnie. Ale czuje się, że to ożyje.

– Któregoś roku przychodzę – mówi brat Józef, oprowadzając mnie po swoim zakątku – a tu nie ma ziaren. Kilka na krzaku zostało. Co jest, myślę? Okazało się, że szczury wszystko zjadły. Widocznie smaczne było. Szczurów w Krakowie dużo, a tu w tych deskach, z których bracia szopkę na Boże Narodzenie robią, miały dobrze. Potem im zostawiałem trochę takiego ziarna, które mi nie było potrzebne, bo na przykład za małe albo nieforemne. Żeby to sobie jadły, skoro im smakuje.

A znowu w zeszłym roku kot tu był. Czarny. Taki przybłęda. Na wiosnę zaczął się pojawiać. Najpierw uciekał przede mną, ale potem zaczął podchodzić. Jeść mu dawałem, spał w tym foliowym namiocie. Przychodził do niego drugi, może kolega, może koleżanka, nie wiem. Mniejszy, czarno-biały. Tylko raz w tygodniu przychodził, to ciekawe. Ten duży całe lato ze mną tu siedział, a potem zachorował. Pamiętam, jeść mu przyniosłem, ale nie chciał. Pogłaskałem, jeszcze się poruszył. I tyle. W ogrodzie zakopałem.

Spacerujemy alejkami, a ja chciałbym jeszcze wrócić do tych różańców. Trzy godziny spotkania zaraz miną, a zdania, które brat Józef wypowiedział, starczą może na pół kartki. Nie jest rozmowny, prawda. Więc próbuję jeszcze raz. Z jednej i z drugiej strony. Zadaję pytania oczywiste, naiwne, tłumacząc sobie, że nikomu ich nie pokażę. Żeby tylko się otworzył, nie był taki na dystans. Więc – czy te paciorki różańca to tak jak dni życia? Wszystkie jednakowe, a przecież inne? Czy nadają codzienności jakiegoś rytmu albo poczucia stałości, w świecie, który wariuje i ciągle się zmienia? Bo przecież paciorki, tak jeden za drugim, to jak dzień za dniem – powtarzam z coraz mniejszą wiarą.

– Pewnie, że każdy dzień taki sam – odpowiada w końcu z uśmiechem. – Zwłaszcza jak się jest w zakonie i ma się 93 lata. Ale wie pan, ja wciąż czekam na ten jeden, jedyny, który będzie inny. Wiem, że to już niedługo. I wtedy powiem swoje amen. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

POŻEGNANIE

Profesorowi

Markowi Hetmańskiemu
wraz z rodziną

wyrazy głębokiego współczucia z powodu straty
ukochanej córki

Niny

składają

CZŁONKOWIE POLSKIEGO TOWARZYSTWA KOGNITYWISTYCZNEGO

Po lewej: Kristina z synkiem w swoim pokoju na Osadzie.

Po prawej: Nikita, syn Mariny, na pożyczonej hulajnodze; goście z Ukrainy oraz ich gospodarze obierają ziemniaki do barszczu.

Czekają

TEKST I ZDJĘCIA: JAN RYBICKI

Dla większości Ukraińców Osada to tylko dłuższy przystanek. Niektórzy zostaną może do końca wojny. Wkrótce ma ruszyć produkcja oleju, będą dodatkowe miejsca pracy.

Marina chwilę po obudzeniu jest jeszcze zdezorientowana. Obok leży jej synek, Nikita, na materacu przy łóżku śpi jej mama. Ale pokój obcy, cudze zdjęcie na regale. To nie Krzywy Róg. Jest w Nowym Klinczu pod Kościerzyną, 50 kilometrów od Gdańska.

Wcześniej jeździła tylko do ojca i brata na Krym. Nie widziała ich od aneksji. Kiedy zaczęła się rosyjska ofensywa, przez telefon przekonywali ją, żeby wyjechała, dopóki się da. Marina nie chciała, ale później zmieniła zdanie.

Nie wydarzyło się nic wielkiego. Po prostu bezpośrednio nad ich blokiem przeleciał myśliwiec. Telefon od znajomej, że zaraz odjeżdża pociąg na zachód. Dwadzieścia minut, żeby się spakować. Trzy dni i dwie noce w drodze. Przed granicą pierożki podawane na peronie przez starszą, zapłakaną Ukrainkę. W końcu Polska.

A później Osada: serce wspólnoty dla osób niepełnosprawnych intelektualnie i ich opiekunów, założonej przez zmartwychwstańca ks. Czesława „Kubę" Marchewicza. Część pracowników mieszka tu na stałe, część dojeżdża z okolic. Gdy wybuchła wojna, mieszkańcy Osady zaprosili do siebie uciekinierów z Ukrainy.

Ona jest w Krzywym Rogu

Są tutaj już drugi tydzień. Oprócz Mariny jeszcze dwie rodziny uchodźców, w sumie 11 osób. Powoli przyzwyczajają się do powolnego rytmu życia, którego sensem jest czekanie. Na numer PESEL, na pracę, na szansę, by się usamodzielnić. Na powrót do domu. Już z tym pierwszym jest trudno. W urzędzie gminy dowiedziałem się, że dzisiaj byli w stanie przyznać 13 numerów. Dostali ci, którzy ustawili się w kolejce o czwartej, piątej rano.

Na razie uchodźcy starają się znaleźć sobie miejsce. Z opiekunami i podopiecznymi jedzą posiłki, trochę pomagają im przy pracy. Dwójka dzieci łączy się telefonicznie ze swoją klasą w Ukrainie na lekcje online. Można chodzić na spacery i odwiedzać zwierzęta – Osada to kilka budynków mieszkalnych i gospodarstwo rolne: serowarnia, krowy, świnie, barany, lamy.

Dla synka Mariny to atrakcja, ale i tak się nudzi. Czasem pojawi się Walia z sześcioletnim Lową, wtedy ma kompana do zabaw. Zaprzyjaźnione ze wspólnotą rodziny też przyjęły uchodźców i od czasu do czasu tu wpadają. W sumie ich społeczność przyjęła przynajmniej 30 osób.

Nikita jeździ też na rowerze z jedenastoletnią Karoliną, córką dwójki podopiecznych Osady. Z mamą dziewczynki, Basią, sporo czasu spędza Marina. Basia zaprosiła ją na jutro do swojego domku na kolację. – Jak utram będziemy jeść kolację? – zaśmiewała się Marina; polskie „jutro" brzmi jak rosyjskie „rano".

Marina w ogóle dużo się śmieje. „Co tacy poważni jesteście, pożartujcie ze mną, bo zaraz się rozpłaczę" – mówi. Mama Mariny przeciwnie: jest poważna, nie żartuje wcale. Mówi, że przez całą podróż z Ukrainy była „jak z drewna, jak z kamienia". Czuła, jak gdyby to wszystko przydarzało się komuś innemu, nie jej.

Teraz wciąż wspomina: jak w latach 90. zbierała pieniądze na pierwszą ukraińską cerkiew w mieście, jak jej dom był pełen gości. – Ona jest jeszcze w Krzywym Rogu – mówi Marina.

Sama chce jak najszybciej nauczyć się polskiego. Może zostanie w Polsce, może wróci do domu, może nie będzie miała do czego wracać. Czeka.

Życie Osady powoli wraca do normy po początkowym zamieszaniu. Na Dzień Kobiet chłopcy zaprosili wszystkie kobiety na lody. Podopieczna wspólnoty, drobniutka Lodzia, przyniosła Ukrainkom kwiaty i cukierki dla dzieci.

Wstyd

Któregoś razu ukraiński obiad przygotowała na Osadzie rodzina, która zatrzymała się u przyjaciela wspólnoty. Chcieli przeczekać wojnę u siebie, ale zmienili zdanie po bezsennej nocy, kiedy Rosjanie strzelali do zaporoskiej elektrowni atomowej, znajdującej się kilkadziesiąt kilometrów od ich domu. Dzieci spały, rodzice całą noc oglądali w telefonie monitoring z elektrowni dostępny w internecie, widzieli wybuchy. Gdy w końcu wstało słońce, spakowali się i odjechali na zachód pierwszym pociągiem. Teraz przyzwyczajają się do powolnego, wiejskiego rytmu życia. „Jesteśmy na daczy" – żartują. Tak jak Marina, wolą to niż płacz.

Jemy czebureki. Są pyszne: to duże pierogi, smażone na głębokim oleju. Obok mnie siedzi Swietłana, mieszkająca na Osadzie Ukrainka. Odkłada na bok dwa czebureki. Na obiedzie nie ma jej córki z dziećmi: wstydzą się, więc jedzą u siebie.

– Weź więcej, przecież im nie starczy – mówię. Na stole jedzenia nie brakuje.

Swietłana kręci głową. Podzielą dwa pierogi na wszystkich. Może jeszcze ktoś pomyśli, że bierze dla siebie? Całe życie nikogo nie musiała o nic prosić, teraz czuje się tym zawstydzona. Nie chce robić kłopotów. Z trudem udaje mi się jej wcisnąć kolejne dwa czebureki.

Sieć

Na przestrzeni lat Osada wrosła w lokalną społeczność. Bliżsi i dalsi sąsiedzi przyjeżdżali na niedzielne msze do tutejszej kaplicy, zaprzyjaźnili się z mieszkańcami, przez lata pomagali, jak kto umiał. Teraz cała ta sieć znajomości zaangażowała się w pomoc uchodźcom. Wiele rodzin przyjęło do swoich domów gości: na spotkaniu organizacyjnym pojawiło się około stu osób. Od dawna Osada mogła liczyć na pomoc zaprzyjaźnionych lekarzy, psychologa, prawnika. Teraz obiecali bezpłatną pomoc nowym członkom ich społeczności. Znalazła się trójka tłumaczy, pomagających skomunikować gospodarzy z gośćmi.

Wszyscy szukają dla nich pracy. Znajomy znajomego otwiera drugą linię produkcyjną w niewielkim zakładzie produkującym porcelanę, ma być dwadzieścia etatów. Ktoś ma wakat w cukierni. Żeby pomóc z wnioskami o numer PESEL, na miejsce przyjechał zastępca wójta, też znajdujący się w „osadowej" orbicie.

Sprawniejsi fizycznie podopieczni wspólnoty zajęli się remontowaniem nieużywanego domu. Osada nie miała pieniędzy na materiały, po pandemii i inflacji sama z trudem przędzie. Na szczęście jej sponsorzy pomogli dotrzeć do innych firm, budowa ruszyła.

– W jakimś sensie przygotowywaliśmy się na przyjęcie Ukraińców czterdzieści lat, od kiedy powstała nasza wspólnota – śmieje się Kuba.

Przystanek

Niektórzy Ukraińcy są tu tylko kilka godzin. Tak było w przypadku rodziny, która chciała dotrzeć do krewnych w Szwecji. Mężczyzna, który ich przywiózł, zadzwonił do Kuby, Kuba do zastępcy wójta, ten wykonał jeszcze kilka telefonów i dowiedział się, że będzie darmowe miejsce na promie, który odpływa za kilka godzin. Rodzina zjadła obiad i została odwieziona do portu. Teraz wysyłają zdjęcia swojego kota z ich nowego mieszkania i zapraszają do siebie.

Dla większości Ukraińców Osada to dłuższy przystanek, niektórzy może przeczekają tu do końca wojny. Wkrótce ma tu ruszyć produkcja oleju, będą dodatkowe dwa miejsca pracy. – Może przy naszej wspólnocie powstanie wspólnota ukraińska – mówi półżartem Kuba.

W końcu nie jest to żadna oficjalna struktura, do której trzeba się zapisać. Po prostu grupa ludzi, którzy w pewnym momencie poczuli, że tam też jest ich ↦

↦ miejsce. Dla niektórych na rok, dla innych: na całe życie.

To, co najtrudniejsze

Nawet jeśli granice wspólnoty są nieostre, to Ania z Krzysiem na pewno do niej należą. Ania przyjechała na Osadę ze Śląska i przez 10 lat mieszkała tam z podopiecznymi. Zakochała się w chłopaku z Małego Klincza, który pomagał w gospodarstwie. Teraz mieszkają razem i mają dwójkę małych dzieci.

Kiedy Kuba podczas mszy zapytał „swoich" parafian, czy byliby gotowi przyjąć do siebie uciekinierów, Ania z Krzysiem nie musieli się zastanawiać. Dla obojga było oczywiste, że udostępnią jeden pokój. Tak trafiła do nich Walia z sześcioletnim Lowką, który czasem bawi się z synkiem Mariny.

Kiedy do nich przychodzę, po całym domu walają się zabawki, przyniesione przed chwilą przez przedszkolankę. Lowa bez problemu został przyjęty do wiejskiego przedszkola i wśród dzieciaków zrobił furorę. Kłóciły się, kto będzie z nim w parze.

Teraz, choć zabawek jest masa, córeczka Ani próbuje mu wyrwać z rąk pluszowego misia. Lowa się obraża, ale za chwilę będą razem coś oglądać w telefonie Walii.

Walia przez pierwsze dni czuła się potwornie zagubiona. Język, którego nie rozumiała, nowe miejsce. Ania pisała cały czas w translatorze: „Spokojnie, wszystko jest tu dla was". „Jedz". Walia nie chciała jeść, karmiła tylko Lowę. Krępowała się wszystkim.

Ich znajomość zaczęła się od tego, co najtrudniejsze. Walia pokazywała zdjęcia swojego miasta, krewnych, którzy tam zostali, i płakała. Ania nie do końca ją rozumiała i nie umiała jej pomóc, więc po prostu przytulała Walię i płakała razem z nią.

Osiem lat i trzy domy

– Mam teraz poczucie, że znam ją dziesięć lat – mówi Ania. Walia żartuje, że Ania jest jej siostrą. Każda mówi po swojemu, ale rozumieją się zaskakująco dobrze.

Mimo to są umówione: jeśli wojna się skończy w środę, to we czwartek ładują Walii siatę sera zrobionego na Osadzie i zawożą ją samochodem na granicę. Wróci, nawet jeśli z jej domu nie zostanie kamień na kamieniu. Nie chce być w Polsce ani chwili dłużej, niż to konieczne. „Polska mi się podoba, wszyscy są dla mnie dobrzy, bardzo to doceniam, jest mi tu dobrze" – każe mi napisać, kiedy czytam jej ten akapit. Nie chce się wydać niewdzięczna. Kiedy Ukraina zostanie odbudowana, odwiedzi Anię i Krzysia: jako turystka, nie uchodźczyni.

Ich znajomość zaczęła się od tego, co najtrudniejsze.
Walia pokazywała zdjęcia swojego miasta, krewnych, którzy tam zostali, i płakała.

Uciekła z Ukraińska – kilkutysięcznego miasteczka na zachód od Doniecka. To jej dom od kilku lat, wcześniej mieszkała dalej na wschód: akurat tam, gdzie zaczynał się teren rosyjskich separatystów. Szła do pracy w przedszkolu, a nad nią przelatywały bomby. Mimo to została na terenie samozwańczej republiki, dopóki się dało. Pewnego jesiennego dnia jej blok został ostrzelany i wtedy poczuła, że nie da rady dłużej. Przeprowadziła się do Ukraińska, do ojca Lowy.

– Ukraińsk to wcale nie było dobre miejsce do życia. Nie było pracy, wszyscy wyjeżdżali, władze były skorumpowane – mówi Walia. Chciała to naprawić. Razem z miejskimi aktywistami chodziła na posiedzenia rady miejskiej, by zadawać niewygodne pytania o przetargi. Razem zabiegali o odnowienie drogi, tańsze bilety w komunikacji miejskiej, ściągnęli do miasta dziennikarzy. A potem jej nowy dom znowu znalazł się na linii frontu.

Zwlekała z wyjazdem dwa tygodnie. Nie było syren, były eksplozje, od których trzęsły się szyby w bloku. Walia chowała się z Lową do wanny. Całe dnie przed telewizorem, wiadomości o śmierci cywili, o rosyjskich wojskach próbujących odciąć ich region od reszty Ukrainy. W końcu została jej w głowie jedna myśl: uciekać.

Kiedy tylko znalazła się w bezpiecznym miejscu, dopadły ją wątpliwości. Prawie wszyscy jej znajomi zostali. Został jej mąż. Jeśli to ich ostatnie dni, to czy nie powinna ich spędzić z nimi?

– Jeśli tam w Polsce nie wytrzymasz, to przyjeżdżaj, ale rozumiesz, że teraz tu nie ma bezpiecznego miejsca? Rozumiesz? – słyszy w słuchawce. W ogóle by jej tu nie było, gdyby nie Lowa. Sama ma traumę, zaczęła się bać nawet piorunów. Niech chociaż dziecko będzie od tego wolne.

Granice

– Dlaczego oni nie mogą się po prostu dogadać, w XXI wieku? – pyta Walia ze łzami w oczach, bo naprawdę tego nie rozumie. Czuje, że to nie jest wojna o nią. Że jakieś siły rzucają ją to w tę, to w tamtą stronę, rozrywają na kawałki jej przyjaciół. Że nic już nie zależy od zwykłych ludzi. Nie życzy Putinowi śmierci. – Życie i śmierć powinny zależeć od Boga, nie od nas.

Miewa lepsze dni. Siedzą wieczorem z Anią i Krzysiem na kanapie, piją piwo, opowiadają o sobie. Chodzą na plac zabaw. Dzieci się bawią, świeci słońce. Jeden świat. Drugi jest w telefonie Walii – zdjęcia ruin nieodległej od Ukraińska Wołnowachy.

Jeździ z Anią do zaprzyjaźnionego z Osadą psychologa, który próbuje pomóc jej zapanować nad emocjami. Niedawno była u niej Marina. Namawiała, żeby jeszcze poczekała z wyjazdem i odwiedzała ją częściej na Osadzie.

Mimo dobrej woli po każdej ze stron obu rodzinom nie jest łatwo. Pojawiają się tarcia i Ania widzi, że musi wyznaczać jasne granice. „W moim domu dzieci nie oglądają przy jedzeniu bajek w telefonie". „Oczywiście, możesz zostać w mieście, ile chcesz, ale będziesz musiała wrócić autobusem. Moje dziecko narobiło w pampersa i muszę je przebrać". Dzisiaj wykonała 40 telefonów, szukając pracy dla Walii. W końcu się udało, ale czuje, że z niektórymi sprawami trzeba zwolnić. Praca z podopiecznymi wspólnoty, a później rodzicielstwo nauczyły ją cierpliwości. – Ja w sytuacji Walii nie płakałabym czasem, tylko bez przerwy. Ona i tak jest bohaterką – mówi. Nie czuje się przytłoczona. Wie, że na Osadzie ma zaplecze.

Przypominają mi się słowa kobiety, która mieszkała na Osadzie kilkanaście lat. Zapytałem, czy nie przeraża jej odpowiedzialność, którą bierze za swoich niepełnosprawnych przyjaciół. „Dzięki wszystkim innym, którzy tu są ze mną: nie" – odpowiedziała. Coś swoim podopiecznym obiecała, ale nie ona, prywatnie, tylko jako część wspólnoty. I teraz to ich wspólna odpowiedzialność.

© JAN RYBICKI

Wielkie współczucie

PIOTR SIKORA

Wielkopostne środki – post, dobroczynność, modlitwa – okazują się teraz jedynymi sensownymi działaniami. Ale nie powinny być umartwieniem, lecz wzmocnieniem życia.

DAREK DELMANOWICZ / PAP

Koncert Davide'a Martello dla uchodźców z Ukrainy na przejściu granicznym w Medyce. 14 marca 2022 r.

Mijały dwa lata pandemii, która właśnie – tak się przynajmniej wydawało – miała się ku końcowi. Ceny rosły tak szybko, jak za czasów, których nie pamiętają moi studenci. Pierwszy raz od wielu lat zadrżała mi ręka przy kasie osiedlowego sklepu, gdy pani podała cenę chleba – sześć dwadzieścia; bochenek był okazały, to prawda, ale po raz pierwszy, odkąd kończyłem studia, pomyślałem, że muszę poszukać tańszego pieczywa.

Pozory i problemy

Jak pogodny był to dzień i jak ja byłem spokojny, gdy wychodziłem z tamtego sklepu na początku lutego, myśląc z troską o cenie chleba, podwyżce stóp procentowych (a więc i rat naszego kredytu) i narzekając pod nosem na dwuletnie już zagrożenie wirusem SARS-CoV-2! Tego dnia temperatura powietrza w Mariupolu była kilka stopni wyższa od średniej wieloletniej, a falowanie Morza Czarnego utrzymywało się w niższych rejonach normy.

A potem przyszedł Tłusty Czwartek. Gorszego w swoim pięćdziesięciojednoletnim życiu nie pamiętam. I ostatki karnawału, w czasie których nie sposób było się bawić. I Środa Popielcowa: dramatyczna, ale mówiąca bardziej o sile życia niż o obracaniu się w proch – albowiem wbrew prognozom światowych agencji wywiadowczych Kijów nadal był wolny, a hakerzy z Anonymousa zablokowali stronę agencji Roskosmos i złamali zabezpieczenia systemu kontrolowania rosyjskich satelitów.

Rozpoczął się Wielki Post, ale w kontekście obrazów bombardowanego Charkowa znajdowanych w internecie oraz tłumów kobiet i dzieci koczujących na kolejowym dworcu w moim mieście pomysł podejmowania specjalnych aktów ascezy, świadomego nakładania na siebie umartwień, dobrowolnej rezygnacji z drobnych przyjemności i hucznych zabaw wydawał mi się niczym dziwaczny folklor z zupełnie innego świata, nikomu niepotrzebny dawny rytuał, którego sens został zmieciony przez rzeczywistość.

Aż któregoś dnia do mojego wyczerpanego całodzienną bezradnością umysłu przeniknęła myśl, że jest odwrotnie: rzeczywistość nie zmiotła Wielkiego Postu – wchłonęła go w siebie.

Post od ciemnej strony

Post – świadome ograniczenie bodźców, od których jesteśmy uzależnieni. Bardzo go potrzebuję. Mam do skończenia ważny i trudny tekst do swojej pracy. I kilka godzin spokoju. To znaczy – spokój jest wokół mnie: w mieszkaniu cisza, nikt nic ode mnie nie chce, telefon nie dzwoni. W głowie jednak aż huczy od myśli. Jak sytuacja pod Hostomlem? Czy jacyś Rosjanie wyszli dziś protestować przeciwko wojnie? Ile stracili czołgów? Jakie budynki zbombardowali? Jak mocno trzyma się Putin? Ile migów lata z tryzubem na skrzydłach?

Nie mogę powstrzymać uwagi i ręki – zamiast tworzyć filozoficzne zdania, klikają w link z najświeższymi wiadomościami podawanymi na żywo. Front stanął kilka dni temu, niewiele się zmienia. Giną ludzie. Eksperci formułują sprzeczne opinie co do czasu trwania i wyniku wojny. Wiem niewiele więcej niż przed otwarciem strony z newsami. Napięcie wokół mostka i w skroniach narasta. Czas płynie. Robię się coraz bardziej zmęczony. Swojej pracy nie pchnąłem do przodu. Nie zrobiłem nic pożytecznego. Idę zaparzyć herbatę. Czekając, aż woda się zagotuje, przesuwam palcem po ekranie komórki w kierunku ikonki aplikacji z wiadomościami...

Dość. Post. Post od czytania i oglądania wiadomości z frontu i wielkiej wojennej polityki. Ograniczenie – nie więcej niż dwa razy dziennie. To wymaga wysiłku – umysł zdążył się już uzależnić. Znajomość zarysu faktów podawanych przez media daje poczucie kontroli. Złudne. Przecież od tego, czy wiem, czy nie wiem o tamtych sprawach – nic nie zależy. Nic nie mogę zrobić z ciężarem tych informacji. Nawet nie mogę sprawdzić, czy to ↦

prawdziwa wiedza, czy tylko dziennikarskie plotkarstwo na wysokim poziomie.

Życie dookoła

Idę zatem na spacer. Słońce grzeje, rozwijają się pąki, śpiewają kosy, pachnie wilgotna ziemia. Sytość zmysłów wzbudza poczucie winy: jakiż to post? Czyż nie jest to niemoralny eskapizm – ten beztroski marsz z rękami w kieszeniach, ucieczka od wiedzy o stresie idących podobną ścieżką, by parę tysięcy kilometrów na wschód ode mnie zastawić zasadzkę na kolumnę czołgów, i o zmęczeniu tych, co krok za krokiem przekraczają granicę dźwigając w rękach cały swój dobytek?

Na skraju parku mijam dwie kobiety z gromadką dzieci. „Obereżno!" – woła jedna z nich do chłopczyka włażącego na krzywą wierzbę, po grubej gałęzi schylonej ku ziemi. Spacerowy post od frontowych newsów, odpoczynek pamięci wśród drzew, zanurzenie umysłu w śpiew kosa i zapach ziemi robią miejsce w mojej głowie, rozluźniają spięcie w mostku, ramionach i skroniach. Przywracają równowagę – niezbędną, bym mógł się naprawdę zaangażować tam, gdzie coś mogę.

Daleka wojna przygnała tu do nas ludzi, którzy potrzebują pomocy. Muszę wiedzieć: ile miejsca mogę wygospodarować na przyjęcie uchodźców, by po kilku tygodniach nie było w domu awantur? Czego najbardziej potrzeba tym, których przyjąłem? Kto z rodziny albo znajomych mógłby mieć niepotrzebne poduszki i kołdry? Skąd wziąć wnioski o nadanie numerów PESEL? Jak w łacińskim alfabecie zapisać nazwisko dziecka urodzonego niedaleko Kijowa na podaniu o przyjęcie do podkrakowskiej szkoły?

Potrzebny jest post
od wzajemnej walki, podejrzliwego patrzenia, liczenia i porównywania, kto gorszy, kto bardziej hojny, kto uprzywilejowany.

Nie wolno zapomnieć, żeby poinformować gości: przystanek busów jest tam; w tym sklepie lepiej nie kupować sera i mleka, bo bywa często przeterminowane (jak, do jasnej...!, po ukraińsku będzie „przeterminowane"?) I koniecznie powiedzcie dzieciom, że niedaleko jest *arieoport* – samoloty obniżają lot bez złych zamiarów; aha! – syrena wyjąca na budynku Ochotniczej Straży Pożarnej znaczy tylko, że już zaczął się wiosenny sezon wypalania traw na łąkach za wsią.

Równowaga

Pomagając tym, których tutaj wojna przygnała, nie mogę zapomnieć, że mam nie tylko swoją pracę, ale także rodzinę. Moja nerwowość albo stabilność ducha odbija się na moich bliskich. A im także jest trudniej. Dzieci nie tylko oddały swą przestrzeń życiową w mieszkaniu. Zabrane zostało im prawo do beztroskiego cieszenia się wiosną, pewność domu i planów pomaturalnych: co będzie, gdy Ukraina padnie? Czy my też będziemy uciekać? Czy chłopakom wręczą broń i każą strzelać?

Wojna psuje świat na taką skalę, że jeszcze długo nie zabraknie nam miejsc do naprawy. Potrzebny jest post, i to wielki, lecz taki, który nie będzie umartwieniem. I tak wycieka z nas życie. Chodzi o post, który będzie oczyszczeniem naszej rany. Który nas nie osłabi, lecz wzmocni. Pomoże utrzymać równowagę.

Post od przytłaczających informacji, z którymi nie mamy co zrobić – one tylko wyczerpują naszą psychikę, a nawet ciało, zajmują umysł, który nie ma dostatecznych zasobów, by rozpoznawać, jaka realna potrzeba wymaga naszej uwagi i zaangażowania. Post od nakładania na siebie nadmiernych wymagań i post od poczucia winy, że nie jesteśmy w porządku, gdy cieszymy się jasnymi fragmentami życia, które nam pozostały. Jeszcze bardziej potrzebny jest post od wzajemnej walki, podejrzliwego patrzenia na siebie nawzajem, liczenia i porównywania, kto gorszy, kto bardziej hojny, kto uprzywilejowany.

Taki post oczyści nasz umysł. Będziemy mogli wyraźniej zobaczyć, gdzie potrzeba naszego dobroczynnego działania. Oraz dostrzec – w modlitewnej perspektywie całości życia – prawdziwą wartość rzeczy. Trwa wojna. Śmierć nadchodzi. Jak dobra jest poranna kawa, pita wspólnie z ukochaną osobą. Jak cenny uśmiech do nieznajomej...

©℗ PIOTR SIKORA

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.
Olga Tokarczuk
w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim „Tropem herezji"

Wydanie specjalne „Wiara dla dorosłych"
dostępne w najlepszych miejscach z prasą.
Sprawdź na TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych

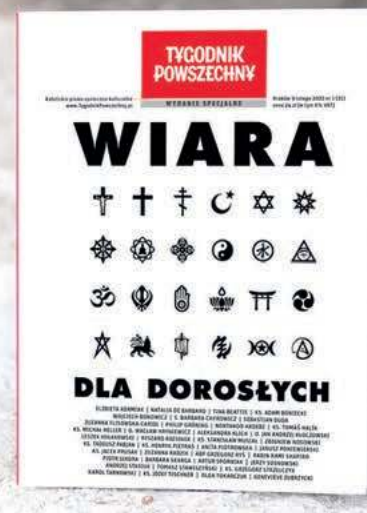

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

WOJCIECH

Bonowicz: *Przebudzenie*

Żonie przyśniło się, że ukrywaliśmy w jakiejś chacie prezydenta Zełenskiego. Znajomej śnił się las pełen uciekających ludzi, którzy znikali, kiedy usiłowała do nich podejść. Wielu ludziom śnią się gruzy, spod których muszą się wydobywać lub które przeszukują w nadziei odnalezienia swoich rzeczy.

Poetka Mirka Szychowiak opisała na Facebooku sen, w którym znalazła się w nieznanej wsi, gdzie wszyscy mieli własne schrony i gdzie pełno było „przysypanych dołów, ziemianek". Otyły mężczyzna odgarniał ziemię, a ludzie wyciągali i rozdawali poukrywane w nich warzywa. „Gdzieś dalej wybuchy, ale jakaś stara kobieta machnęła ręką, nie uciekała, nie chowała się i ludzie nie schodzili do schronów. Nagle bardzo nisko przeleciały dwa samoloty, jaskrawe, czerwone, i na łąkę, gdzie pasły się krowy – spadły bomby – straszny ryk, krowy w kawałkach »fruwały«. Pamiętam moje przerażenie, krzyczałam i nie wiedziałam, co mam robić. Samoloty zawróciły i znowu bomby zaczęły spadać w innym miejscu, ktoś padł na ziemię, znowu ktoś i znowu; nagle poczułam przenikliwe zimno, zamarzałam, spojrzałam pod nogi, a tam zastygała i krzepła krew. Obudziłam się rozdygotana, trzymając pod pachą kota. Chciałabym zapomnieć, ale wciąż to widzę".

Wykradam ten sen Mirki, bo jest realistyczny i fabularny. Mnie śnią się raczej nastroje, aury, lęki. Może też jakieś obrazy, ale kiedy się budzę, żadnego nie pamiętam, pamiętam tylko napięcie. Rozmawiałem ostatnio z Wiesławem Myśliwskim o tym, czemu jedni pamiętają sny wyraźnie, a inni wcale, co najwyżej jakieś strzępy. Opowiadał, że jego matka przestrzegała, żeby zaraz po przebudzeniu nie patrzeć w okno, bo wtedy sen ucieknie. „Ale ja sypiam naprzeciwko okna", powiedział, sięgając po papierosa.

Wojna zajęła nam głowy – jeśli wygramy ją w głowach, jest szansa, że wygramy ją realnie. Oczywiście, najokrutniejsza wojna toczy się tam, gdzie spadają bomby, palą się domy, ludzie giną pod gruzami. „Strasznie, naprawdę strasznie", pisze Serhij Żadan w wierszu „Nosorożec" (przełożonym przez Jacka Podsiadłę). „Tak właśnie musi być. / Śmierć jest straszna, przeraża. / Strasznie jest czuć smród czerwonego księżyca, / strasznie patrzeć, jak tworzy się historia". Bohaterka jego wiersza wpatruje się w śmierć niczym w nosorożca w zoo. „Boi się, ale nie odwraca wzroku / i nie zamyka oczu".

Nasza wojna jest inna. Na razie oszczędzono nam najgorszego – nie wpatrujemy się w śmierć z bliska, nie czujemy jej smrodu, nie oddychamy jej pyłem i dymem. Nie próbujemy też jej przechytrzyć. Nasza wojna nie wymaga od nas najwyższego heroizmu. Ale jakiegoś heroizmu jednak wymaga. Musimy, jak powiada siostra Małgorzata Chmielewska, posunąć się na ławce życia i zrobić miejsce innym. Heroizm solidarności nie boli tak, jak heroizm walki, oporu. Ale też inaczej smakuje. Solidarność to nie jest sprawa aniołów. Nie anioły do nas przybywają i my sami nie jesteśmy aniołami. Solidarność to sprawa ludzi, którzy wznieśli się ponad własne ograniczenia, odkryli zobowiązania, o których wcześniej nie mieli pojęcia. Otworzyli domy. Opowiadano mi o domu, który wcześniej nie wpuszczał nikogo, nawet najbliższych. Dziś mieszka tam ukraińska rodzina.

Śnimy wojnę, budzimy się do wojny. Szczęśliwi, że to jednak nie u nas, że tak blisko, a jednak ciągle daleko. Jemy spokojne śniadanie, w spokoju wychodzimy do pracy, w spokoju robimy przelew na tę czy inną akcję. Spokojnie – to znaczy nie w wyciu syren, nie w krzykach, nie w odgłosach detonacji. Słońce jest dziś nieprzyzwoicie ciepłe, a jego nieprzyzwoicie silne światło przecina pokój na pół. Patrzę przez okno w stronę wschodu. Nic jeszcze nie widać, nie słychać żadnego pomruku. A przecież to nic nie znaczy, wiemy, jak kruchy jest ten spokój, jak kruche są ściany domu.

Losy wojny ważą się w milionach głów. „Świat nigdy nie będzie taki jak przedtem", powtarzamy za bohaterami wiersza Żadana. „Za nic nie pozwolimy mu być takim jak przedtem". ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

ZIELONA GÓRA, czwartek 31 marca
Wieczór poetycki z ks. Alfredem Wierzbickim
/ stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

GLIWICE, środa 30 marca
Spotkanie z Rafałem Ryszką – autorem książki „Tajemnica Cecylii Broll", „Polacy w Wehrmachcie – temat tabu" / online /

LUBLIN, czwartek 31 marca, spotkanie z prof. Piotrem Witkiem (UMCS), prof. Rafałem Wnukiem (KUL) oraz Krzysztofem Styczyńskim (nauczycielem historii w III LO), „Historia i Teraźniejszość – szanse, pułapki, wyzwania" / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

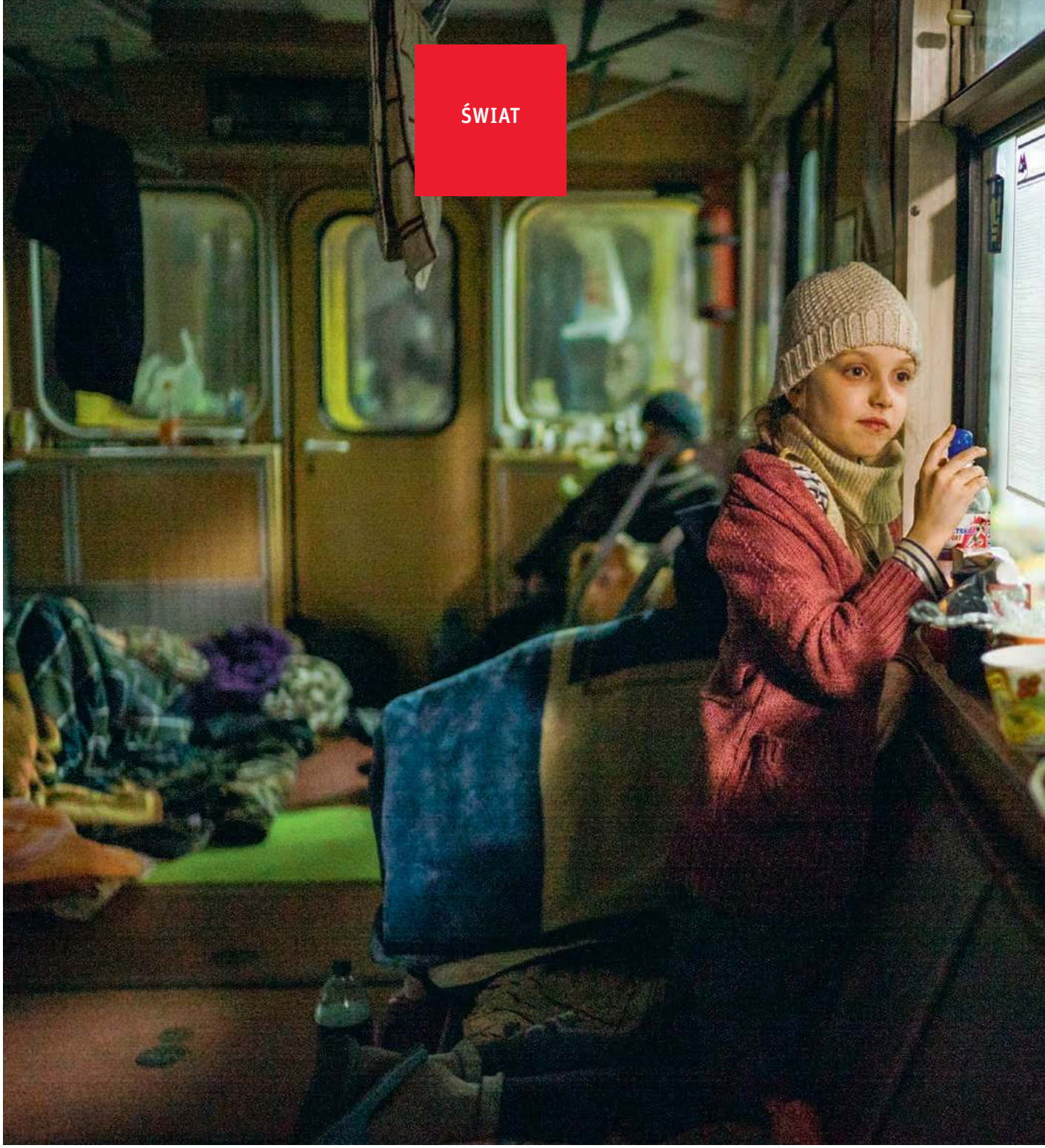

MIESIĄC POD ZIEMIĄ

Tysiące mieszkańców Charkowa ukrywają się przed wojną na stacjach metra. Mają nadzieję, że niedługo wrócą do domów.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHARKOWA

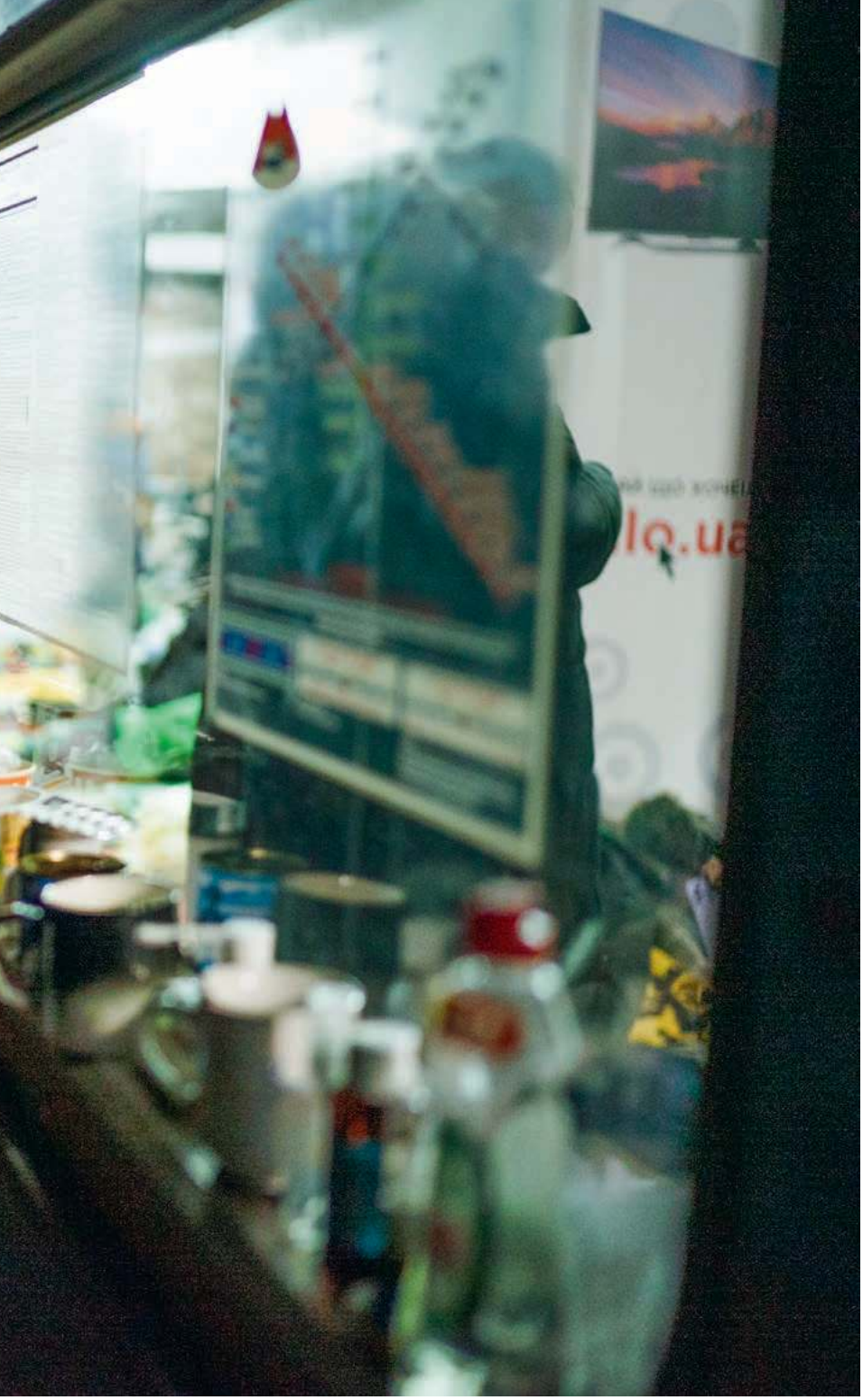

8-letnia Weronika przez okno wagonu przygląda się temu, co dzieje się na peronie. Jej matka, 36-letnia Natasza, żartuje, że córka jest ich ochroniarzem. Charków, 19 marca 2022 r.

Na wielkiej stacji metra Bohaterów Pracy mało jest wolnego miejsca. Schroniło się tu około ośmiuset ludzi. Policjanci, którzy pilnują porządku, mówią, że w szczytowym momencie było ich ponad dwa tysiące.

Według 33-letniej Mariny, jeszcze niedawno ledwie dawało się tutaj wejść. Ludzie leżeli wszędzie. Trudno było stawiać kroki tak, by na kogoś nie nadepnąć.

Teraz też na peronie są całe rodziny, niekiedy ze zwierzętami. Leżą na dmuchanych materacach i karimatach, przykryci kocami czy kołdrami. Stacja wygląda jak podziemne obozowisko.

Marina, jej 33-letni mąż Mychajło i dwuipółroczna córka Katia mieszkają na stacji metra od 24 lutego, czyli od pierwszego dnia rosyjskiej inwazji na pełną skalę. Od tego dnia półtoramilionowy Charków – drugie największe miasto na Ukrainie, oddalone od granicy raptem 40 km – znajduje się pod ciągłym zagrożeniem ze strony Rosji. Już pierwszego dnia na obwodnicy pojawiły się rosyjskie czołgi. Regularnie spadały na miasto bomby z samolotów, pustosząc fragment centrum. Według mera Ihora Terechowa rosyjskie wojska zniszczyły już 1143 budynki.

Jak większość osób z dziećmi Marina, Mychajło i Katia trafili do wagonu pociągu. Im przypadł pierwszy wagon. Pociąg powinien zmierzać z krańcowej stacji Bohaterów na drugi koniec niebieskiej linii, czyli do Muzeum Historycznego w centrum. Jednak metro w Charkowie przestało kursować i dziś służy tylko za schronienie.

Złapać świeże powietrze

Na stacji Bohaterów Pracy, położonej przy osiedlu Sałtiwka, powietrze jest już ciężkie, zatęchłe. Obok wojny to rozprzestrzeniające się choroby są największym problemem chroniących się w metrze osób. Co chwilę ktoś pokasłuje lub patrzy nieprzytomnym wzrokiem. Choć lekarze i wolontariusze przywożą leki, w takich warunkach łatwo podupaść na zdrowiu.

Tuż za ciężkimi drzwiami prowadzącymi na stację swoje posłania ułożyli sąsiedzi z tej samej ulicy: 45-letni Rusłan i 40-letni Mykoła. Na twarzy Mykoły widać obfite krople potu, choć na stacji wcale nie jest gorąco. Ma rozbiegane oczy. Dwa dni temu badał go lekarz, który przyjeżdża na stację. Zdiagnozował u niego zapalenie oskrzeli.

– Zalecił, żebym częściej wychodził na świeże powietrze. Jak mam to niby robić? Dzisiaj byłem na ulicy przez dwie godziny, bo pogoda dopisywała i panowała cisza. Potem znowu zaczęły się ostrzały i wszyscy zeszliśmy tutaj, bo jak spadnie bomba z samolotu, to tylko tutaj będziemy bezpieczni – twierdzi Mykoła.

Odgłosy, które teraz słyszymy, to akurat ukraińska artyleria, która wali na całego. Na szerokim, jeszcze miesiąc temu ruchliwym skrzyżowaniu jej huk niesie się tak, że nawet ludzie przywykli już w Charkowie do wojny się wzdrygają.

Oczywiście nie wszyscy. Mężczyzna pali papierosa przy wejściu do wciąż ↦

↦ działającej knajpy, teraz gotującej posiłki dla osób chroniących się w metrze. Nawet oczami nie mrugnął, gdy rozległ się kolejny huk. – To nasi – mówi wyprany z emocji, trzymając papierosa między palcami.

Niektórym nie starcza nerwów. Zazwyczaj przy pierwszym głośnym wystrzale (bo te cichsze słychać niemal nieustannie) palacze i łapiący świeże powietrze w pośpiechu schodzą albo do przejścia podziemnego, albo w głąb stacji.

Nie wiem, czy dom stoi

Większość szukających schronienia na stacji Bohaterów Pracy to mieszkańcy Sałtiwki, największego osiedla na całej Ukrainie. Mieszka tu ponad 400 tys. osób – więcej niż w wielu ze stolic obwodów, jak Chersoń, Czernichów czy Połtawa.

Osiedle usiane jest wysokimi blokami, powstałymi głównie w czasach Związku Sowieckiego, i dzieli się na dwie części: Sałtiwkę i Sałtiwkę Północną. Obie znajdują się pod ostrzałem od pierwszego dnia inwazji, ale to ta druga doświadcza jej bardziej. Rakiety zostawiają powybijane okna, a w ścianach dziury. Wzniecają pożary, wskutek których fasady pokrywają się czernią. Pozbawiają osiedle życia – dosłownie i w przenośni, bo oprócz zabitych i rannych pustoszeją bloki i podwórka. Zostają na nich tylko pojedyncze osoby, niemające dokąd się udać, a także wygłodniałe psy porzucone przez właścicieli – i gruzy.

To właśnie w Sałtiwce Północnej mieszkają Mykoła i Rusłan.

– Dom był pod ostrzałem dzień i noc. Leżysz w łóżku, a cały budynek się trzęsie. Słyszy świst, wybuch i biegniesz do piwnicy – mówi Rusłan.

Na opuszczenie domu zdecydował się, gdy w pierwsze piętro jego budynku uderzył rosyjski pocisk. Nawet nie sprawdził, co się stało z jego mieszkaniem. Wtedy też wywaliło szyby u Mykoły i on także zdecydował się na przeniesienie się do stacji metra. Choć to ich prywatne mieszkania, od tego czasu nie wrócili do domu.

– Strasznie tam iść. Ludzie idą do sklepu, a w nich walą pociski – mówi Rusłan. – Musiałbym przejść kilka kilometrów, by dotrzeć do mieszkania. Wejść na siódme piętro, bo winda nie działa. Zanim bym dotarł, mógłbym już tam zostać.

Ma na myśli ostrzał bazaru na Sałtiwce. Zginęły wtedy dwie osoby, a pięć raniono.

– W domu nie było prądu ani wody. I nawet nie wiem, czy on stoi – przyznaje Rusłan. – Byłem tylko o sucharach i wodzie.

– Każdego dnia staram się dowiedzieć, czy mój budynek wciąż stoi. Wiem, że okien nie ma, ale cała konstrukcja się trzyma. To najważniejsze – mówi Mykoła. Dodaje, że dopóki stoją ściany i trzymają się kondygnacje, zniszczone wnętrze zawsze można naprawić.

W metrze nie słychać wybuchów

Gdy w lutym Rosja ponownie zaatakowała Ukrainę, w Charkowie i wielu innych miastach już nad ranem rozległy się wybuchy. Mychajło i Marina z Katią na rękach udali się od razu do najbliższej stacji metra. Odtąd unieruchomiony pociąg stał się ich tymczasowym domem. Jest tu cieplej niż na peronie, ale nie ma prądu, więc siedzą po ciemku. Panuje tu porządek. Rzeczy są poskładane w różnych częściach wagonu.

– Uznaliśmy, że to najbezpieczniejsze miejsce, w którym można się schronić – mówi Mychajło.

– Jak siedzisz w piwnicy w jakimś budynku i coś się stanie, to kto ciebie potem znajdzie? – pyta retorycznie 36-letnia Natasza, która także od 24 lutego ukrywa się w pierwszym wagonie wraz z 8-letnią córką Weroniką. – Jak wydarzy się jakaś apokalipsa, to nas pierwszych stąd wywiozą, bo to scentralizowany schron.

Weronika patrzy przez szybę, za którą widać setki ludzi, tak jak ona i jej mama chroniących się tu przed wojną. Natasza żartuje, że córka jest ich ochroniarzem.

Natalija i jej 11-letni syn także zamieszkali w tym samym wagonie. Przyszli na Bohaterów Pracy dopiero na początku marca. Przez pierwsze dni rosyjskiej ofensywy mieszkali w piwnicy, ale podobnie jak rodzina Mychajła doszli do wniosku, że w metrze będą bezpieczniejsi. – Nie słychać tutaj wybuchów. To bardzo ważne, szczególnie dla dzieci – przyznaje Natalija.

Znajdująca się głęboko pod ziemią stacja niemal całkowicie tłumi huk artylerii. Daje to namiastkę spokoju, bo każdy głośny dźwięk – jak choćby otwarcie ciężkich drzwi wagonu – od razu zwraca uwagę charkowian doświadczonych wojną, grzmotami dział, świstami pędzących rakiet i ich wybuchów sprawiających wrażenie, że coś rozrywa ciebie od środka.

– Najgorsze jest, gdy słyszysz samolot, bo zupełnie nie wiesz, gdzie spadnie bomba. Te dźwięki powodują, że dzieci są przerażone. Niedaleko ode mnie i syna wybuchł pocisk. Rozpłakał się tak, że z trudem go uspokoiłam – przyznaje Natalija.

Do domu na razie nie wrócą

W pierwszych dniach po tym, jak wraz z rodziną udał się do metra, Mychajło każdego ranka chodził do swojego domu. Przygotowywał jedzenie, zabierał rzeczy i przynosił je do wagonu. Z Mariną zaczęli się wahać, czy nie wrócić. Artyleria grzmi, ale może nie trafi w ich dom. W metrze, nawet w wagonie, nie jest komfortowo i trudno tak funkcjonować z małym dzieckiem. Spanie na siedzeniach, czasami trafią się uciążliwi ludzie, ale przede wszystkim nie ma nawet sekundy prywatności. Zawsze jest ktoś obok, może z wyłączeniem toalety.

Sąsiedzi Mychajła i Mariny w którymś momencie nie wytrzymali, postanowili wrócić. – Cudem przeżyli – mówi Marina.

– Mieszkali tutaj tydzień, wrócili do domu i akurat w ich budynek uderzyło. Pocisk trafił w klatkę schodową. Odłamki przeszły przez drzwi ich mieszkania jak przez masło. Jakby ktoś stał w kuchni, to byłby koniec – dodaje Mychajło.

On też miał szczęście, bo gdy to się wydarzyło, już był w metrze. Na skutek ostrzału zginęła jedna z mieszkanek jego klatki schodowej. Sąsiedzi przeprowadzili się gdzieś indziej.

– Mają matkę w podeszłym wieku, może nie była w stanie tutaj siedzieć – zastanawia się Mychajło.

Po tym wydarzeniu rozwiały się wszelkie ich wątpliwości. O powrocie do domu nie było już mowy.

Mychajło twierdzi, że w metrze od czasu do czasu pojawiają się kolejni pozbawieni właśnie złudzenia bezpieczeństwa i iluzji, że ich dom wojna ominie: – Widać, że przychodzą po ostrzale. Czasami z poharataną twarzą, ledwie uszli z życiem.

Natalija, gdy wyszła na papierosa, znalazła przy wejściu potężny fragment, zapewne, rakiety. Zabrała go ze sobą. – Zostawiłam go na pamiątkę, choć myślę, że i tak nigdy tego nie zapomnę – mówi.

Odkąd rosyjska artyleria zaczęła dosięgać okolic ich metra, Mychajło zawsze dwa razy się zastanowi, czy na pewno chce iść zapalić. Za każdym razem patrzy w niebo, żeby przekonać się, że nic nie leci.

Na stacji metra Bohaterów Pracy w dzielnicy Sałtiwka mieszka ok. 800 osób. Niektórzy pod ziemią spędzili już miesiąc. Charków, 19 marca 2022 r.

Mychajło przekłada bochenki chleba, które za chwilę będą wydawane potrzebującym. Charków, 23 marca 2022 r.

Wojna każdego dogoni

Dzięki instrukcjom ojca, byłego wojskowego, Natalija wie, że nie musi się bać – jak je określa – szeleszczenia przelatujących rakiet, bo lecą gdzieś dalej. Dlatego wciąż nie zrezygnowała z palenia.

Natalija urodziła się w Polsce, w Legnicy, gdzie służył jej ojciec. Jest Rosjanką i mówi po rosyjsku. Dopiero gdy miała 11 lat, przeprowadziła się do Charkowa i od tego czasu stał się on jej domem. Dla niej pojęcie *russkogo mira*, rosyjskiego świata, jest skompromitowane. Wbrew słowom Kremla, nie czuje się na Ukrainie dyskryminowana ani gnębiona. – Zawsze przyjmowaliśmy Rosjan z otwartymi ramionami, z radością! Regularnie przyjeżdżali do nas z Biełgorodu. Witaliśmy ich jak krewnych – mówi Natalija.

Według sondażu Ogólnorosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej z początku marca, „operację specjalną" wojsk rosyjskich (jak atak na Ukrainę określa Kreml) popiera 71 proc. Rosjan. Jak mówił rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow, jej celem ma być wyzwolenie Ukraińców spod ucisku.

– Wyzwolili mnie od domu i pracy, a moje dziecko od szkoły – mówi Natalija. – To będzie bardzo straszne, jeśli tutaj będzie jak w Donbasie.

W 2014 r. tuż po protestach na kijowskim placu Niepodległości, które zakończyły się ucieczką prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowycza, Rosjanie anektowali Krym i przy wsparciu części miejscowej ludności rozpoczęli wojnę w Donbasie. Według ONZ w jej rezultacie zginęło minimum 13 tys. osób, z czego przynajmniej 3375 to cywile. Teraz, w trwającej miesiąc ofensywie Rosji na Ukrainę, życie straciło już według ONZ tysiąc cywilów. ONZ przyznaje, że faktyczna liczba ofiar jest zapewne znacznie wyższa (np. w oblężonym Mariupolu mowa jest o ofiarach cywilnych idących w tysiące), ale w tym momencie nie jest w stanie tego zweryfikować.

Mimo zagrożenia Natalija nie ma zamiaru wyjechać. – To mój dom, miasto i ziemia – mówi.

– Ludzie wyjeżdżają, a to ich ciągle dogania – wtóruje jej Natasza.

Podaje przykłady swoich znajomych, którzy wyjechali do innych obwodów, a niedługo później także te tereny znajdowały się pod ostrzałem rakietowym.

– My przynajmniej jesteśmy w swoim mieście i w bezpiecznym miejscu. Można wezwać lekarza, są leki i dają jedzenie. Gdzie indziej nie wiadomo, co na ciebie czeka. Bo to, że dzisiaj jest tam cicho, nie znaczy, że będzie tak jutro – mówi Natasza.

– Jak to się zaczęło, moja sąsiadka wyrwała się z mężem na daczę. Ledwie przyjechali, a już się znaleźli na okupowanych przez Rosjan terytoriach. Teraz nie mogą wrócić – dodaje Natalija.

Znowu będzie pięknie

Mijają tygodnie, a wojna w Charkowie nie ustaje. Po spokojniejszym dniu nadchodzi gorszy. Co chwilę słychać syreny alarmowe ostrzegające przed atakiem z powietrza i artylerię, jakby rakiety i pociski nie miały się nigdy skończyć.

A jednak w metrze na Bohaterów Pracy tymczasowi mieszkańcy pierwszego wagonu myślą o tym, co będzie później.

– Nawiedzają nas czasami myśli, jak to wszystko się zakończy – mówi Mychajło.

– Staramy się patrzeć w przyszłość pozytywnie. W końcu mamy dzieci, a to mimo wszystko ich przyszłość – przyznaje Natalija.

– Czekamy na zwycięstwo – stwierdza Natasza.

Wszyscy chcą jak najszybciej wrócić do domów. Natalija wyobraża już sobie wstawianie okien, a czasami budowanie budynków od zera, sprzątanie i remontowanie dzielnicy: – Czekamy, aż skończy się wojna i będziemy pracować, powstawać od nowa – mówi.

– Nasze miasto jest piękne, a tak je zniszczyli – przyznaje Natasza.

Natalija: – Nic nie szkodzi. Jak zrobiliśmy Charków ładnym raz, to uczynimy go takim znowu. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

FERENC ISZA / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy premiera Viktora Orbána podczas manifestacji w rocznicę węgierskiej Wiosny Ludów. Budapeszt, 15 marca 2022 r.

Najtrudniejsze wybory Viktora Orbána

ANDRZEJ SADECKI Z BUDAPESZTU

Można by sądzić, że polityka bliskiej współpracy z Rosją stanie się obciążeniem dla węgierskiego premiera – i to na ostatniej prostej wyborczej kampanii. Tymczasem Fidesz znowu ma szansę wygrać. Nawet jeśli będzie to zwycięstwo o włos.

W swoje święta narodowe Węgrzy chętnie manifestują. W epoce Viktora Orbána najważniejszymi datami w kalendarzu politycznym stały się rocznice dwóch rewolucji: z roku 1848 (węgierska Wiosna Ludów i bunt przeciw austriackiej władzy; jej rocznica przypada na 15 marca) oraz z roku 1956 (powstanie antysowieckie; rocznica w październiku).

Punktem kulminacyjnym tych obchodów jest za każdym razem przemówienie Orbána – charyzmatyczny przywódca Fideszu wygłasza je do dziesiątek tysięcy swoich zwolenników, zgromadzonych na placu Kossutha przed monumentalnym gmachem parlamentu. Równolegle, w tym samym czasie, w różnych częściach Budapesztu odbywają się alternatywne obchody, organizowane przez rozmaite partie opozycyjne.

W tym roku symboliczna dominacja Fideszu została jednak zachwiana. Na niespełna trzy tygodnie przed wyborami parlamentarnymi opozycji udało się wystawić wspólnie wielką manifestację, która swoim rozmachem dorównała wiecowi Orbána. W rozdzielonej na pół przez Dunaj stolicy Węgier zebrały się więc dwie niemal 100-tysięczne grupy: zwolenników opozycji w Budzie oraz zwolenników partii rządzącej w Peszcie.

Obok flag narodowych na tym pierwszym wiecu dominowały też barwy niebieskie – kolor kampanii wyborczej sojuszu sił opozycyjnych. A na drugim – pomarańczowe proporce Fideszu. Manifestacje różniły się jednak przede wszystkim choreografią: na placu Kossutha był jeden solista w postaci Viktora Orbána, podczas gdy na scenie opozycyjnej występowali czołowi politycy sześciu partii wchodzących w skład sojuszu, a także nękany przez urzędników rządowych znany pastor i działacz charytatywny. Dopiero na końcu zabrał głos wspólny kandydat opozycji na premiera Péter Márki-Zay.

Tym razem na wiecu Fideszu gości z Polski nie było. Natomiast wraz z opozycją wystąpił Donald Tusk.

Wspólnie przeciw Fideszowi

Wybory – zaplanowane na pierwszą niedzielę kwietnia – będą najtrudniejsze dla Fideszu w ostatnich kilkunastu latach. W latach 2010, 2014 i 2018 nokautował on opozycję, za każdym razem uzyskując konstytucyjną większość dwóch trzecich mandatów w parlamencie. Tym razem ma jednak znacznie silniejszego rywala. Stanie z nim bowiem w szranki sojusz niemal wszystkich partii opozycyjnych, od prawicy, przez liberałów i zielonych, po lewicę.

Powiewające dziś obok siebie na manifestacjach flagi dawniej skrajnie prawicowego Jobbiku i postkomunistów z Węgierskiej Partii Socjalistycznej nikogo już nie dziwią. Jeszcze dekadę temu byli zażartymi przeciwnikami, dziś jednoczą siły przeciwko Fideszowi. Łączy ich nie tyle program, ile konieczność polityczna – pojedynczo żadna z tych partii nie byłaby w stanie zagrozić hegemonii Orbána, budowanej przez lata.

Dzięki rozdrobnieniu opozycji Fidesz mógł dotychczas wygrywać w niemal wszystkich okręgach jednomandatowych (w nich wyłanianych jest aż 106 ze 199 posłów jednoizbowego parlamentu, pozostali zaś z list partyjnych). Teraz w każdym okręgu naprzeciw polityka tej partii stanie wspólny kandydat sojuszu opozycji, wyłoniony jesienią 2021 r. w prawyborach. Z kolei rywalem Orbána w walce o fotel premiera został wspomniany już Péter Márki-Zay, burmistrz 44-tysięcznego miasta Hódmezővásárhely, także wybrany w demokratycznym głosowaniu przez zwolenników opozycji. To on stoi na czele wspólnej listy sześciu partii opozycyjnych, startujących pod hasłem „Wspólnie dla Węgier".

Koniec prosperity

W przeciwieństwie do minionych wyborów, także sytuacja gospodarcza przestała sprzyjać Fideszowi.

Okres prosperity z lat 2014-19 skończył się wraz z wybuchem pandemii. Jej konsekwencją było nie tylko 45 tys. zgonów – na 9,9 mln mieszkańców Węgier; *per capita* to drugi najgorszy wynik w Unii Europejskiej po Bułgarii – ale także znaczny spadek PKB i galopująca inflacja, która w lutym osiągnęła aż 8,3 proc. Pandemia wyostrzyła też systemowe problemy Węgier, w tym zły stan ochrony zdrowia. Nasiliły się protesty wokół niskich płac w gospodarce i niedofinansowanego szkolnictwa.

W ostatnim półroczu rząd rzucił więc wszystkie dostępne środki po to, aby odciągnąć uwagę społeczeństwa od coraz bardziej widocznych symptomów kryzysu. Budżetówka dostała podwyżki, a emeryci „trzynastki" i jednorazową „premię" w wysokości 80 tys. forintów (równowartość ok. tysiąca złotych). Pensja minimalna wzrosła o 16 proc. (wciąż jest najniższa wśród państw Grupy Wyszehradzkiej), osoby poniżej 25. roku życia zostały zwolnione z płacenia podatku dochodowego, a rodziny wielodzietne otrzymały zwrot PIT za rok 2021.

Zamrożone zostały też ceny sześciu podstawowych produktów spożywczych, o czym klientom przypominają duże tablice z czerwonym znakiem „Stop cenom", które sklepy muszą ustawiać przy wejściu. Z kolei stacje benzynowe mogą sprzedawać paliwo tylko po odgórnie ustalonej stawce 460 forintów (ok. 6 zł) za litr, niezależnie od rosnących cen surowców – w obliczu groźby bankructwa wielu z nich, w marcu rząd musiał wprowadzić specjalne kompensacje i uwolnić ceny paliwa dla samochodów ciężarowych.

Na ostatniej prostej

Rząd Fideszu do tego stopnia rozkręcił przedwyborcze wydatki, że minister finansów musiał na przełomie roku wstrzymać znaczną część inwestycji publicznych. Deficyt budżetowy i zadłużenie niebezpiecznie zbliżają się do poziomu z lat 2008-09, gdy Węgry przed niewypłacalnością musiał ratować Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Ze skutkami tej polityki rząd – jakikolwiek by on był – będzie musiał mierzyć się już po wyborach. Na razie jednak wielu wyborców patrzy zapewne z wdzięcznością na Orbána, odciążającego ich domowe budżety. Głos opozycji, która wskazuje na systemowe problemy gospodarki Węgier, przebija się słabo.

A jednak, pomimo zjednoczenia opozycji i trudności gospodarczych, w ostatni etap kampanii Fidesz wchodził z optymizmem.

Ofensywa socjalna ponownie wyprowadziła partię rządzącą na prowadzenie w sondażach, a na ostatniej prostej tematem dominującym miały być kwestie światopoglądowe, z pomocą których łatwiej byłoby spychać opozycję do narożnika. Wraz z wyborami 3 kwietnia odbędzie się bowiem zainicjowane przez Fidesz referendum dotyczące edukacji seksualnej w szkołach podstawowych. Partia Orbána argumentuje, że chodzi o „obronę dzieci przed propagandą LGBT". Miało to narzucić temat kampanii na jej ostatnim odcinku i utrudniać opozycji dotarcie do opinii publicznej z takimi kwestiami jak zawłaszczanie państwa, oligarchizacja, korupcja, niskie płace czy problemy socjalne.

W cieniu Rosji

Napaść Rosji na Ukrainę przekreśliła te rachuby. Przez chwilę wydawało się nawet, że Fidesz stoi na pozycji straconej, a rosyjska inwazja może odwrócić los wyborów. Rząd Orbána traktował bowiem współpracę z Rosją jako jeden z fundamentów polityki zagranicznej i do końca postrzegał Moskwę jako stabilnego i wiarygodnego partnera.

W ostatniej dekadzie Węgry powierzyły rosyjskiej agencji Rosatom – i to bez przetargu – rozbudowę swojej jedynej elektrowni jądrowej w Paks, a projekt ten finansowany jest w 80 proc. z rosyjskiego kredytu. Budapeszt konsekwentnie współpracował z Moskwą na rzecz dostaw gazu na Węgry z pominięciem Ukrainy, czyli na rzecz projektu South Stream (to południowy bliźniak Nord Stream), a po jego fiasku – na rzecz rozbudowy infrastruktury w regionie tak, aby rosyjski gaz płynął na Węgry z kierunku południowego: przez Morze Czarne, Turcję i Bałkany (od października 2021 r. trzy czwarte rosyjskiego surowca dociera na Węgry tą trasą). Niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych, zawdzięczane po części rabatom od Gazpromu, przedstawiano jako jedno z największych osiągnięć rządu.

Choć początkowo politycy Fideszu argumentowali, że współpraca z Rosją ma wymiar czysto pragmatyczny, coraz bardziej zacieśniano też więzi polityczne. W ostatnich 12 latach rządów Orbána średnio raz w roku spotykał się on z Władimirem Putinem (a tylko raz w tym czasie z prezydentem USA). Minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó stał się częstym gościem stacji Russia Today, a w 2021 r. demonstracyjnie zaszczepił się preparatem Sputnik V, który Węgry jako jedyne państwo Unii wprowadziły do obiegu. Reporterzy węgierskiego portalu śledczego Direkt36 donosili, że władza ↦

↦ przymykała oko na działania rosyjskich służb specjalnych na terenie kraju. Prawo pobytu na Węgrzech (czyli w całej strefie Schengen) otrzymała m.in. rodzina szefa rosyjskiego wywiadu Siergieja Naryszkina.

Węgry podtrzymywały bliskie stosunki z Moskwą nawet w przededniu inwazji, gdy na granicach Ukrainy gromadziła się armia rosyjska. Jeszcze 30 grudnia Szijjártó odbebrał z rąk Ławrowa rosyjski Order Przyjaźni, a 1 lutego Orbán wznosił w Moskwie szampanem toast z Putinem i rozwodził się o „węgierskim modelu" – zakładającym, że członkostwo w Unii i NATO można pogodzić z bliską współpracą z Rosją.

ZSOLT SZIGETVARY / EPA/ PAP

Donald Tusk przemawia na manifestacji węgierskiej opozycji. Nad brzegiem Dunaju w Budapeszcie, 15 marca 2022 r.

Nasza chata z kraja

Mogłoby się więc wydawać, że bankructwo polityki bliskich relacji z Moskwą obciąży hipotekę Fideszu na ostatnim etapie kampanii. Jednak partia rządząca wybrnęła z tej sytuacji na swój najbardziej sprawdzony sposób – narzucając nową narrację.

Już po dwóch-trzech dniach inwazji ustabilizował się jednolity przekaz obozu władzy: Węgry popierają działania Unii i NATO, ale muszą trzymać się z dala od wojny. Jako jedyne spośród natowskich państw sąsiadujących z Ukrainą nie dostarczają więc broni dla tego kraju ani nawet nie udostępniają swego terytorium do jej tranzytu. Dziś to nawet Słowacja czy Bułgaria, których społeczeństwa przejawiają znacznie większe sympatie do Rosji, reagują ostrzej na agresję Moskwy i wspierają Ukrainę.

Opozycja, ostro krytykująca Orbána za współpracę z Putinem, znalazła się w defensywie. Rząd oskarżył ją o rzekome nieodpowiedzialne parcie do wojny – wykorzystując tu niefortunną wypowiedź Márki-Zaya, niedoświadczonego w sprawach zagranicznych, który w przededniu rosyjskiej agresji zasugerował, że poprze każde działania NATO, włącznie z wysłaniem na Ukrainę broni i wojska.

Syndrom pokrzywdzenia

Teraz, podczas wiecu 15 marca (w rocznicę węgierskiej Wiosny Ludów), Orbán demagogicznie argumentował, że albo wygra Fidesz i będzie pokój, albo wygra opozycja, która wciągnie Węgry do wojny. Relatywizował przy tym, kto jest sprawcą, a kto ofiarą: „Rosja patrzy przez pryzmat swoich interesów, Ukraina swoich, a Węgry nade wszystko muszą bronić swoich". Takie rzekomo bezstronne podejście miało ukryć porażkę polityki pogłębiania związków gospodarczych i politycznych z Rosją.

Narracja ta pada na podatny grunt. Węgierskie społeczeństwo nie jest wprawdzie prorosyjskie – idee słowianofilskie z oczywistych względów nie przyjmowały się na ugrofińskim gruncie, a trzykrotny w ostatnich dwóch wiekach najazd wojska rosyjskiego lub sowieckiego na Węgry (1849, 1945, 1956) utrwalał niechęć do Rosjan. Zarazem jednak powszechny –szczególnie w prawicowym elektoracie – jest syndrom pokrzywdzenia i pamięć niesprawiedliwego potraktowania przez Zachód, sięgający do traktatu z Trianon, który przypieczętował w 1920 r. utratę przez Węgry dwóch trzecich terytorium.

Emocje te były w ostatnich latach eksploatowane i wzmacniane przez Fidesz. Stąd łatwiej jest akceptować przekaz, że lepiej trzymać się z dala od obecnej wojny i relatywizować sprawstwo Rosji. Stąd też słabe poczucie moralnego obowiązku pomocy Ukrainie.

„Za wyjątkiem Ukrainy"

Sami zwolennicy Fideszu w sprawie wojny na Ukrainie są podzieleni. Około 44 proc. ankietowanych wyborców tej partii postrzega Rosję jako agresora, ale

Nasz Autor nominowany!

Z radością informujemy, że nasz autor **ŁUKASZ GRAJEWSKI** wraz z **JONASEM SEUFERTEM** (BuzzFeed News Deutschland) zostali nominowani do Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej im. Tadeusza Mazowieckiego 2022 za tekst „Prawdziwe koszty szparaga", który został opublikowany na łamach „Tygodnika" w ubiegłym roku i jest dostępny pod adresem **powszech.net/szparagi**.

Zwycięzców poznamy podczas gali Nagrody 9 czerwca 2022 r. w ramach Polsko-Niemieckich Dni Mediów w Görlitz/Zgorzelcu.

AUTOROM GRATULUJEMY!

ARCHIWUM PRYWATNE

aż 24 proc. uznaje, że Rosja tylko się broni (sic!), a 31 proc. nie ma własnego zdania. Natomiast wśród wyborców opozycji aż 91 proc. ankietowanych uznaje za agresora Rosję (badania Publicus z 7-11 marca).

Patrząc na rozkład poglądów zwolenników rządu, widać, że swoje zrobiła tutaj dekada prezentowania przez prorządowe media pozytywnego obrazu Rosji, a także obsadzania Brukseli w roli głównego przeciwnika Budapesztu oraz skupiania się na demonizowaniu pozaeuropejskich imigrantów i liberalnego filantropa George'a Sorosa.

Na dodatek wiedza o Ukrainie – największym i najludniejszym sąsiedzie Węgier – jest w tym kraju paradoksalnie niewielka. Emigracja ukraińska – tak liczna w ostatniej dekadzie w Czechach czy Polsce – omijała dotąd Węgry. Nad Dunajem zainteresowanie sąsiadem długo sprowadzało się do granicznego obwodu zakarpackiego, gdzie mieszka ponad 100-tysięczna mniejszość węgierska. W ostatnich latach na Węgrzech narastała niechęć do władz w Kijowie, które ograniczały prawa językowe i oświatowe mniejszości węgierskiej.

Choć ta polityka Kijowa wiązała się z próbami wzmocnienia roli języka ukraińskiego oraz ograniczenia wpływów rosyjskich w kraju – i jej antywęgierskie ostrze było tu niejako efektem ubocznym – to rykoszetem uderzała w tę mniejszość. Minister Szijjártó, podsumowując w grudniu 2021 r. dorobek polityki zagranicznej ostatnich lat, powiedział, że udało się poprawić stosunki z wszystkimi sąsiadami Węgier – za wyjątkiem Ukrainy.

Dziś w Budapeszcie powiewa niewiele flag ukraińskich – podczas gdy ich wszechobecność uderza w Warszawie czy Pradze. Węgrzy angażują się natomiast w pomoc dla uchodźców z Ukrainy. W pierwszym miesiącu wojny na Węgry przybyło ich ponad 300 tys. Zajmują się nimi głównie organizacje pozarządowe, wspierane finansowo przez rząd, ale też przez społeczeństwo. Dominuje tu jednak troska natury humanitarnej, a nie poczucie solidarności ze „sprawą ukraińską".

Media w rękach Fideszu

Narzucenie przez Fidesz swojej narracji o wojnie rosyjsko-ukraińskiej nie byłoby możliwe bez posiadania przez Orbána przewagi medialnej.

W ostatniej dekadzie kolejne tytuły prasowe były albo przejmowane przez oligarchów związanych z jego partią, albo po prostu zamykane – jak największy do 2016 r. ogólnokrajowy dziennik „Népszabadság". Udział w rynku tytułów powiązanych z Fideszem i Orbánem szacowany jest dziś pod względem przychodów na 78 proc., a przekaz niezależny od rządu ogranicza się do jednej telewizji ogólnokrajowej, kilku tygodników i portali internetowych.

Partia rządząca dominuje także w przestrzeni publicznej. Na szosach wylotowych z Budapesztu na cztery billboardy Fideszu przypada tylko jeden opozycji. Znaczna część z tych pierwszych opłacana jest zresztą z budżetu państwa – dziś przedstawiają Orbána z przekazem „Obrońmy pokój i bezpieczeństwo Węgier".

Na problem dysproporcji potencjału władzy i opozycji w kampanii wyborczej zwracali już uwagę – po poprzednich wyborach – obserwatorzy z ramienia OBWE. Wskazywali, że nieograniczone korzystanie przez Fidesz z zasobów państwa uniemożliwia konkurencję na równych zasadach. Z obawy o standardy tegorocznych wyborów, OBWE zdecydowała się ponad dziesięciokrotnie zwiększyć liczebność swojej misji obserwacyjnej.

O włos?

Wszystkie te przewagi sprawiają, że mimo tak niesprzyjających okoliczności politycznych Fidesz ma wciąż sporą szansę, aby „dociągnąć" do dnia głosowania swoją obecną nieznaczną przewagę sondażową i przekuć ją w zwycięstwo. Będą to jednak najbardziej wyrównane i nieprzewidywalne wybory od ponad dekady, które przesądzić o włos może rywalizacja w ok. 20 kluczowych okręgach jednomandatowych. Trudno także wyobrazić sobie powtórne zdobycie przez Fidesz większości konstytucyjnej.

Jeśli więc nawet Viktor Orbán znowu wygra, będzie to już inny rząd – bez dotychczasowej dominacji oraz z radykalnie ograniczonym polem manewru w gospodarce oraz w polityce zagranicznej.

© ANDRZEJ SADECKI

ATAK NA UKRAINĘ
SERWIS SPECJALNY

Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie.

Relacjonują:
Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.

Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Macron w pozie Zełenskiego

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Napaść Rosji na Ukrainę i jej brutalność przyćmiewają wyścig prezydencki we Francji. Zarazem podnoszą przedwyborcze notowania obecnego prezydenta.

Wszystko miało wyglądać całkiem inaczej. Jeszcze kilka tygodni temu, przed tamtym czwartkiem 24 lutego 2022 r., wydawało się, że kampania przed wiosennymi wyborami prezydenckimi we Francji będzie skupiać się na sprawach gospodarczych, na dalszej walce z pandemią czy na kwestii imigracji.

Rosyjska inwazja w jednej chwili zepchnęła na dalszy plan tamte spory – na tle obrazów z Mariupola sprawiające dziś wrażenie wręcz prozaicznych – oraz przetasowała wyborcze karty przed pierwszą turą, zaplanowaną na 10 kwietnia.

Kampania z wojną w tle

Już przed 24 lutego, gdy Władimir Putin koncentrował swoje wojska na granicach Ukrainy i w Europie narastało napięcie, w oczach Francuzów na pierwszy plan wysunęły się działania dyplomatyczne prezydenta Emmanuela Macrona. W podwójnej roli – nie tylko jako szefa państwa, ale też jako przywódcy kraju sprawującego w tym półroczu unijną prezydencję. Wprawdzie wielokrotne próby wpłynięcia na prezydenta Rosji nic nie dały – a chwilami można było nawet odnieść wrażenie, jakby Putin kpił sobie z wysiłków Macrona (gdy np. Kreml ostentacyjnie dementował komunikaty Pałacu Elizejskiego po rozmowach obu polityków) – ale przynajmniej francuski prezydent może dziś powiedzieć sobie (i wyborcom), że zrobił wówczas to, co w tych okolicznościach mógł zrobić.

Teraz, od rozpoczęcia inwazji, Macron stara się doprowadzić do zawieszenia broni, dzwoniąc regularnie na przemian do Putina oraz do prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego. Choć dotąd nie widać realnych efektów tych negocjacji, Macron potrafi to wykorzystać dla poprawienia swoich notowań wśród rodaków.

W efekcie po raz pierwszy od wielu miesięcy poparcie sondażowe dla niego, dotąd stabilne w granicach 25 proc., przekroczyło w połowie marca poziom 30 proc. (potem nieco spadło i wynosi obecnie 28 proc.; sondaż Ifop z 23 marca). Za nim plasuje się szefowa skrajnej prawicy Marine Le Pen (20 proc. poparcia) oraz na trzecim miejscu lewicowy radykał Jean-Luc Mélenchon (14 proc.).

Gra Macrona

Georges Mink, politolog z Francuskiej Akademii Nauk (CNRS), uważa, że Francuzi doceniają wysiłki Macrona w jego polityce wobec Kremla, gdyż potrafi on łączyć dyplomację z twardym językiem.

– Gra Macrona opiera się na założeniu, że w pewnym momencie, gdy Putin znajdzie się w totalnym impasie – od czego moim zdaniem jesteśmy teraz bardzo daleko – zwróci się właśnie do niego jako do uprzywilejowanego rozmówcy – mówi „Tygodnikowi" Mink.

Politolog zaznacza: – Do żadnego kompromisu nie może dojść ponad głowami Ukraińców. Macron wie, ża próba układania się z Putinem z pominięciem Zełenskiego byłaby dla niego zabójcza. Liczy jednak na to, że najcieńsza nawet nitka dyplomatyczna może pomóc w wyjściu z krwawego konfliktu.

Mink uważa, że otoczenie Macrona umiejętnie kreuje jego wizerunek jako nieugiętego wojownika. – To przysparza mu pewnej popularności wśród części Francuzów – podkreśla.

Choć nie brak także głosów przeciwnych: niedawne zdjęcia Macrona w Pałacu Elizejskim, pozującego wyraźnie na Zełenskiego – ze zmęczoną twarzą, trzydniowym zarostem oraz w bluzie z kapturem – wywołały lawinę drwin w internecie.

Dyplomatyczne próby Macrona próbują też zdyskredytować rywale w wyścigu prezydenckim. Sugerując uległość Macrona wobec USA, jego główna konkurentka Marine Le Pen nazwała go złośliwie „małym telegrafistą Bidena" (to nawiązanie do „małego telegrafisty z Warszawy", jak kiedyś określono prezydenta Giscarda d'Estaing po tym, jak próbował w 1980 r. bez powodzenia przekonać Związek Sowiecki do wycofania się z Afganistanu).

Nowe sankcje...

Wojna na Ukrainie ujawniła też – nie po raz pierwszy – sprzeczne wewnętrznie tendencje w polityce Paryża wobec Moskwy.

Zgodnie ze stanowiskiem większości krajów Unii, Francja Macrona ogłosiła zamrożenie majątków ludzi z otoczenia Putina na łączną kwotę co najmniej 850 mln euro. W grę wchodzą należące do rosyjskich oligarchów wille i jachty na Lazurowym Wybrzeży czy wakacyjne domy w Alpach. Od wielu lat inwestowali oni miliony na francuskiej Riwierze, a swoje dzieci posyłali do paryskich szkół i uczelni.

– Tego typu sankcje mają przede wszystkim wagę symboliczną. Na pewno zabolą oligarchów rosyjskich, choć nie spowodują raczej ich buntu przeciw Putinowi ani nie powstrzymają machiny wojennej – uważa Mink.

JEREMIAS GONZALEZ / AP / EAST NEWS

10 kwietnia odbędzie się pierwsza tura wyborów prezydenckich we Francji. Plakat wyborczy Emmanuela Macrona. Sucé-sur-Erdre, zachodnia Francja, 22 marca 2022 r.

Francja, podobnie jak inne kraje unijne, od początku konfliktu dostarcza też broń Ukraińcom. Rząd francuski nie chce podawać szczegółów, ale według dziennika „Le Monde" na początku wojny przekazał stronie ukraińskiej m.in. pociski przeciwpancerne przeznaczone do walki z rosyjskimi czołgami.

Paradoksem jest to, że niektóre z tych czołgów są wyposażone w czujniki termiczne pochodzące z Francji. Jak ujawniła strona dziennikarzy śledczych „Disclose" (i co potwierdziło francuskie ministerstwo obrony), w latach 2015-20 mimo europejskiego embarga płynęły do Rosji elementy uzbrojenia wyprodukowane nad Sekwaną; działo się tak na podstawie podpisanych przed wprowadzeniem tegoż embarga umów, których Francja nie anulowała.

...i odwieczne interesy

Także dzisiaj – mimo apeli z całego świata, w tym osobiście ukraińskiego prezydenta – Paryż nie spieszy się z wycofaniem z rosyjskiego rynku. Francuzi mają bardzo dużo do stracenia: filie francuskich gigantów zatrudniają w Rosji ok. 160 tys. ludzi. Liczne francuskie marki – jak Auchan, Leroy Merlin (hipermarkety) czy Decathlon – zapowiedziały, że mimo wojny nie zamkną swoich oddziałów w Rosji.

Według dziennika „Le Figaro" na początku marca Macron osobiście uspokajał szefów piętnastu rodzimych koncernów posiadających filie rosyjskie, że nie zamierza ich ponaglać w tej kwestii.

Natomiast pod wpływem nacisków, także ze strony rządu w Paryżu, francuski gigant paliwowy TotalEnergies – mający udziały w rosyjskiej spółce naftowej z kręgu Kremla – ogłosił ostatecznie, że zaprzesta „najpóźniej do końca tego roku" zakupu rosyjskiej ropy. Jednocześnie jednak dodał, że nie zrezygnuje z gazu pochodzącego z Rosji.

Używając francuskiego powiedzenia, można by orzec, że Francja pod przywództwem Macrona próbuje „pogodzić kapustę z kozą" – i jednocześnie broni swoich interesów gospodarczych, nie zważając na sentymenty.

Wolty miłośników Putina

Agresja Rosji na Ukrainę wywołała konsternację po prawej stronie francuskiej sceny politycznej. W reakcji na nią dwoje radykalnie prawicowych pretendentów – wspomniana Le Pen, przewodnicząca Zjednoczenia Narodowego (RN), oraz były publicysta Éric Zemmour – potępiło rosyjską napaść i odcięło się raptownie od Putina. Oboje próbowali też bagatelizować swoje wcześniejsze pochwały pod adresem rosyjskiego prezydenta.

Zemmour, który jeszcze w 2018 r. w wywiadzie dla pisma „L'Opinion" mówił: „marzyłby mi się francuski Putin, ale go nie ma", teraz oświadczył, że „nigdy nie przejawiał w stosunku do niego [Putina – red.] żadnej sympatii". Z kolei Le Pen w 2017 r. w trakcie swojej kampanii przed wyborami prezydenckimi pojechała do Rosji na zaproszenie Putina, twierdząc, że włodarz Kremla reprezentuje, jak ona, „nową wizję świata". Teraz jej rzecznik Sébastien Chenu oznajmił: „Dzisiejszy Putin nie jest tym, którego Marine Le Pen spotkała wówczas [tj. pięć lat temu – red.]. W tamtej epoce mógł nam pomóc w walce z islamizmem, a dzisiaj stał się przerażającym wojowniczym autokratą".

W tym nagłym zwrocie dotychczasowych admiratorów putinowskiej Rosji można dostrzec chęć ich podążania za francuską opinią publiczną, która w większości sympatyzuje z Ukraińcami.

Francuski rząd ogłosił w tym miesiącu, że przyjmie co najmniej 100 tys. ukraińskich uchodźców. Wprowadzono dla nich ułatwienia, m.in. darmowe bilety na przejazdy kolejowe na terenie całej Francji. Nie tylko w Paryżu, ale także w wielu mniejszych miastach francuskich w oknach wiszą ukraińskie flagi, a ludzie przychodzą na wiece poparcia dla Ukraińców.

„Rządzi krajem jak start-upem"

Wracając do wyborów: dziś wszystkie sondaże wskazują na to, że Macron zmierza w stronę drugiej kadencji.

Od miesięcy ma dość stabilne poparcie, choć wielu jego byłych zwolenników, zwłaszcza tych o lewicowych poglądach, jest dziś rozczarowanych, jak mówią, „dryfowaniem" centrowego kiedyś prezydenta w stronę prawicy. Zarzucają mu – jak na łamach tygodnika „L'Obs" historyk François Dosse, autor książki o wymownym tytule „Macron, czyli stracone złudzenia" – że „rządzi państwem jak start-upem", bez oglądania się na doradców, kierując się „neoliberalnym zapałem", i że ↦

↦ zapomniał o swoich obietnicach sprawiedliwszej Francji sprzed pięciu lat.

Olivier Mazerolle, znany francuski dziennikarz i komentator polityczny, mówi „Tygodnikowi", że Macron, wbrew swoim zapowiedziom, nie zreformował głęboko państwa, choć dokonał kilku pozytywnych zmian o mniejszym znaczeniu.

– Obniżył podatki dla przedsiębiorstw, czym poprawił reputację Francji za granicą. W tzw. trudnych dzielnicach zmniejszył o połowę klasy szkolne, co zwiększa szanse edukacyjne dzieci z niezamożnych rodzin. Mimo trudnej sytuacji pocovidowej poprawiła się sytuacja na rynku pracy, choć stało się tak dzięki utrzymaniu kosztownej pomocy państwowej – wylicza Mazerolle.

Błędy i zaniedbania

Georges Mink dodaje, że polityka państwowego „parasola" nad firmami i pracownikami dotkniętymi skutkami pandemii pozwoliła uniknąć zwolnień w takich kluczowych we Francji branżach, jak hotelarstwo, gastronomia, turystyka czy transport. Pomoc ta, nieodzowna w czasie lockdownów, pogłębiła i tak bardzo wysoki za poprzedników Macrona dług publiczny kraju (w 2020 r. osiągnął on najwyższy poziom od roku 1949 – 115 proc. PKB).

Według Mazerolle'a błędem prezydenta było to, że podejmuje śmiałe decyzje jedynie pod presją gwałtownych protestów społecznych. Przykładem może być wycofanie się rządu z podwyżki podatków od paliw dopiero w następstwie rewolty Żółtych Kamizelek w 2018 r. Inny przykład: Macron zwlekał przez pięć lat w sprawie rozmów o autonomii Korsyki i ustąpił dopiero teraz, gdy na wyspie doszło do wielodniowych gwałtownych starć korsykańskich manifestantów z policją.

Innym problemem kadencji Macrona – jak twierdzi Mazerolle – było złe zarządzanie kryzysem sanitarnym na początku pandemii: nieprzygotowanie służby zdrowia i spóźniona reakcja państwa. Jeszcze przed jej wybuchem pojawiały się ostrzeżenia o braku we Francji koniecznego zapasu masek – nawet dla personelu medycznego – a jednak nie uzupełniono rezerwy. Zaniedbania w tej kwestii, o których wiemy dziś zarówno z raportów francuskich parlamentarzystów, jak i śledztw dziennikarskich, kosztowały prawdopodobnie życie wielu Francuzów, zwłaszcza w starszym wieku.

Kampania rozczarowań (dla niektórych)

Tocząca się w cieniu wojny w Europie kampania wyborcza niespecjalnie interesuje Francuzów. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest brak nowych twarzy wśród pretendentów do najwyższego urzędu.

Nowicjuszem w tym gronie jest ultrakonserwatywny Zemmour, którego niektórzy typowali jesienią 2021 r. na czarnego konia tego wyścigu. Jednak „efekt Zemmoura" okazał się efemeryczny. Głośny z antyislamskich i antyimigranckich wypowiedzi, Zemmour od wielu tygodni utknął na poziomie 11-12 proc. poparcia. Przylgnęła do niego opinia nieodpowiedzialnego prowokatora, słabo pasująca do wizerunku szefa państwa. Jego kolejne wypowiedzi wrażenie to pogłębiały – np. w styczniu tego roku Zemmour skrytykował jako przejaw „obsesyjnej integracji" fakt, że dzieci niepełnosprawne uczą się wraz z rówieśnikami w tych samych klasach.

Rozczarowaniem dla swoich fanów okazała się też inna nowa twarz: Valérie Pécresse, kandydatka centroprawicowych Republikanów, w przeszłości minister nauki z czasów prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego. Mało dynamiczne mityngi i problem z przekonaniem do siebie nawet własnego obozu sprawiły, że Pécresse, mimo dobrego startu, spadła na czwarte-piąte miejsce w sondażach.

Powtórka z roku 2017?

Dobrym finiszem popisał się natomiast lider Francji Nieujarzmionej, 71-letni Jean-Luc Mélenchon – radykalny lewicowy krytyk liberalizmu gospodarczego w wydaniu Macrona. To weteran wyborów prezydenckich; w 2017 r. zebrał blisko 20 proc. głosów i był bliski wejścia do drugiej tury. Jego zwolennikom nie przeszkadzają zaciekłe ataki Mélenchona na NATO jako narzędzie „amerykańskiego imperializmu", który to „imperializm" jeszcze kilka miesięcy temu oskarżał o chęć „anektowania" Ukrainy. W przeszłości dał się poznać jako obrońca agresywnej polityki Rosji. Tak jak skrajna prawica, Mélenchon zmienił front dopiero po rosyjskiej inwazji: w marcowym wywiadzie dla „La Croix" powiedział, że „jedynym winnym wywołania wojny jest Putin".

Mazerolle: – Mélenchon, znakomity mówca wiecowy, jest jedynym wyrazistym kandydatem lewicy. Nie sądzę, że dostanie się do drugiej tury. Ale jeśli mu się to uda, w starciu z Macronem ma małe szanse. Po prostu w dzisiejszej Francji nie ma większości dla radykalnie lewicowego programu.

Na niecałe trzy tygodnie przed wyborami obecny prezydent wydaje się zdecydowanym faworytem niezależnie od tego, kto będzie jego kontrkandydatem w drugiej turze. Przy czym najbardziej prawdopodobne jest, że dojdzie wtedy do powtórki z 2017 r.: Macron kontra Le Pen. Wtedy zdecydowanie wygrał obecny prezydent (w stosunku 66 proc. do 34 proc.).

Teraz może być mu trudniej osiągnąć taki sukces. Mazerolle: – Wielu wyborców traktuje Macrona jak polisę turystyczną. Wiedzą, czego się po nim spodziewać, i z braku lepszych kandydatów wybiorą kontynuację. Ale nie zapominajmy też, że wielu Francuzów ma go już dość.

Dogrywka na ulicy

Ostateczny wynik będzie zależał od tego, jak zachowa się najliczniejsza dziś „partia" Francji – czyli obywatele zwykle niebiorący udziału w głosowaniu. Pięć lat temu w drugiej turze jedna czwarta uprawnionych nie poszła do urn. Warto też przypomnieć, że wówczas aż trzy miliony głosujących w geście sprzeciwu wrzuciły białą kartkę, chcąc pokazać, że nie popierają ani Macrona, ani Le Pen (pusta karta we Francji jest liczona oddzielnie od głosów nieważnych, czyli np. przekreślonych). To wskazuje na skalę frustracji wyborców.

Jak będzie tym razem? Obserwatorzy wskazują na rosnącą od lat absencję wyborczą, zwłaszcza w wyborach lokalnych i europejskich, związaną z ogromną nieufnością Francuzów do klasycznych partii i do polityków w ogóle.

– We Francji po wyborach dochodzi często do „trzeciej tury" na ulicy. Po zwycięstwie Macrona w 2017 r. były to Żółte Kamizelki – komentuje Mink. – Niewykluczone, że teraz znów pojawią się silne ruchy społeczne. A czy tak się stanie, zależy także od losów wojny rosyjsko-ukraińskiej i jej wpływu na gospodarkę w całej Europie.

© SZYMON ŁUCYK

DREW ANGERER / GETTY IMAGES

Manifestacja w obronie demokracji w rocznicę ataku na Kapitol, Waszyngton, 6 stycznia 2022 r.

Mocarstwo w regresie

MARTA ZDZIEBORSKA

Rosyjska inwazja na Ukrainę chwilowo przyćmiła zasadniczy problem Stanów Zjednoczonych: kryzys tamtejszej demokracji, która po zeszłorocznym szturmie trumpistów na Kapitol ma się coraz gorzej.

Wtorek, 22 lutego 2022 r. Były prezydent USA Donald Trump w wywiadzie dla programu radiowego „The Clay Travis and Buck Sexton Show" mówi, że uznanie przez Putina niepodległości dwóch „republik ludowych", donieckiej i ługańskiej, było „genialne". Przekonuje też, że rosyjskie wojska przebywające w tej części Ukrainy to „najsilniejsze siły pokojowe, jakie kiedykolwiek widział".

Środa, 23 lutego. Program konserwatywnej stacji telewizyjnej Fox News. Dziennikarz Tucker Carlson kpi z ryzyka wielkiej wojny na Ukrainie, twierdząc, że mamy do czynienia ze „zwykłą kłótnią między sąsiadami".

Piątek, 25 lutego. Orlando na Florydzie. Kongresmenka Marjorie Taylor Greene bierze udział w spotkaniu organizowanym przez skrajnego prawicowca Nicka Fuentesa. Polityczka nie reaguje, gdy zebrani na sali skandują nazwisko Władimira Putina, bronią jego działań na Ukrainie, a nawet... wychwalają Adolfa Hitlera.

To tylko najświeższe przykłady kryzysu amerykańskiej polityki wewnętrznej, który sprawia, że Stany po raz pierwszy trafiły na listę tzw. demokracji w regresie. Ale po kolei.

„Kraj się zjednoczył"

Pomijając skandaliczne wypowiedzi Donalda Trumpa i jego fanatycznych sojuszników, w obliczu rosyjskiej inwazji politycy na Kapitolu zachowali wyjątkową jedność.

Zdecydowana większość Demokratów i Republikanów poparła nałożenie na Moskwę surowych sankcji przez administrację Joego Bidena, wsparcie finansowe, wojskowe i humanitarne dla Ukrainy oraz wzmocnienie militarne wschodniej flanki NATO. Publicznego poparcia dla działań prezydenta Bidena udzielił m.in. lider Partii Republikańskiej w Senacie Mitch McConnell, który jednocześnie potępił słowa Trumpa na temat Putina. „Prezydent Rosji jest bezwzględnym bandytą, który najechał suwerenny kraj i zabił tysiące niewinnych ludzi. Taki właśnie jest Putin" – podkreślił McConnell.

W takim samym duchu wypowiedział się Mike Pence, wiceprezydent za czasów Trumpa. Podczas spotkania z darczyńcami Republikanów w Nowym Orleanie podkreślił, że w partyjnych szeregach nie ma miejsca dla „obrońców Putina", co potraktowano jako aluzję do wypowiedzi Trumpa. Dystansujący się od ↦

↦ byłego prezydenta Pence zaatakował po raz drugi, mówiąc w telewizji Fox News, że za inwazję na Ukrainę Putin musi zapłacić „wysoką cenę".

Z mocnej wypowiedzi zasłynął również senator z Karoliny Południowej Lindsey Graham, który zasugerował, że najlepszym rozwiązaniem byłoby... zabicie prezydenta Rosji. „Chciałbym, żeby on zniknął. Szkoda, że nie było kogoś, kto zlikwidowałby Hitlera w latach 30. XX wieku" – wypalił Graham.

Publicystka „The Atlantic" Elaine Godfrey napisała na początku marca, że niektórzy kongresmeni porównują obecną antyputinowską mobilizację na Kapitolu do okresu po zamachach z 11 września 2001 r. „Kraj zjednoczył się podobnie jak ponad 20 lat temu. Jesteśmy zdeterminowani, by pomóc Ukrainie na tyle, na ile jest to możliwe" – deklarował w rozmowie z dziennikarką republikański kongresmen Steve Chabot.

Worek treningowy

W Stanach – kraju ostatnio skrajnie spolaryzowanym – antyrosyjska jedność szybko jednak zaczęła iść w parze z atakami na Bidena.

Tuż po marcowym przemówieniu prezydenta Wołodymyra Zełenskiego przed Kongresem USA (wygłoszonym zdalnie) niektórzy Republikanie oskarżyli Bidena o zbyt powolną reakcję na rosyjską agresję. Wytknęli mu również, że Putin zaanektował Krym za czasów jego wiceprezydentury u boku Baracka Obamy. Niektórzy, jak senator z Teksasu Ted Cruz, insynuowali wręcz, że tym razem do ataku na Ukrainę przyczyniły się decyzje Bidena, takie jak wycofanie amerykańskich wojsk z Afganistanu oraz zeszłoroczna rezygnacja z nałożenia sankcji na konsorcjum Nord Stream 2 AG (nadzorowało ono budowę drugiej nitki gazociągu łączącego Rosję i Niemcy – ostatecznie Berlin zawiesił certyfikację gazociągu po tym, jak Putin uznał niepodległość samozwańczych donbaskich „republik").

W wysuwaniu oskarżeń Republikanie są coraz bardziej cyniczni. Z jednej strony poparli wprowadzenie przez Bidena embarga na import rosyjskiego gazu i ropy naftowej do USA, z drugiej jednak obarczają go winą za rosnące ceny paliwa. Przy okazji twierdzą, że Demokrata osłabił niezależność energetyczną Stanów m.in. poprzez ograniczenie wydawania licencji na wydobycie ropy na ziemiach federalnych.

JO MCCULTY / THE OHIO STATE UNIVERSITY / / MATERIAŁY PRASOWE

Steve Huefner

W obliczu tych ataków politycy Partii Demokratycznej zarzucają Republikanom, że przed zbijaniem kapitału politycznego nie powstrzyma ich nawet kryzys związany z rosyjską agresją przeciw Ukrainie. „Partię Republikańską trawi choroba, która sprawia, że władza jest ważniejsza od demokracji, pokojowego przekazania władzy i zwycięstwa w wojnach toczonych za granicą" – przekonywał senator Demokrata z Connecticut Christopher S. Murphy.

„Zadbam o Twoje prawa"

Polaryzacja polityczna i populizm to tematy nieznikające z nagłówków amerykańskich gazet od czasu, gdy w styczniu 2021 r. zwolennicy Trumpa wtargnęli na Kapitol, by zapobiec formalnemu zatwierdzeniu wyników wyborów prezydenckich.

Szczególnie szkodliwa dla demokracji jest wciąż żywa narracja dotycząca rzekomych fałszerstw wyborczych, które miały pozbawić Trumpa reelekcji. Za rozpowszechnianie kłamstw odpowiada nie tylko sam były prezydent, ale także republikańscy kandydaci startujący w tegorocznych wyborach uzupełniających do Kongresu. Taka retoryka trafia na podatny grunt: według sondażu na zamówienie University of Massachusetts Amherst aż 71 proc. zwolenników Republikanów uważa, że Biden nie jest prawowitym zwycięzcą wyścigu o Biały Dom.

Profesor Steve Huefner, specjalista od prawa wyborczego w USA, mówi „Tygodnikowi", że przekaz niektórych republikańskich polityków jest prosty: „Wyborco, zagłosuj na mnie, bo mój oponent z Partii Demokratycznej nie zadba o Twoje prawa. Beze mnie dojdzie do kolejnej kradzieży wyborów". Taką narracją posługuje się m.in. Josh Mandel z Ohio, który przekonuje, że jedyną receptą na uniknięcie „powtórki" z 2020 r. jest reforma amerykańskiego systemu wyborczego. Ten niegdyś centrowy polityk stawia na populizm w najgorszym wydaniu: aktywistów z ruchu Black Lives Matter (Czarne Życia Się Liczą) nazywa „bandytami", atakuje ruch LGBT i twierdzi, że covid to chińska broń biologiczna, której celem było pozbawienie Trumpa reelekcji.

Także inni Republikanie nie cofają się przed co najmniej kontrowersyjną retoryką. Przykładowo startująca w wyborach do Izby Reprezentantów Tina Forte twierdzi, że chce „powstrzymać radykalnych socjalistów przed zniszczeniem amerykańskiego snu". To, na co ją stać, Forte pokazała pamiętnego 6 stycznia 2021 r.: podczas zamieszek w Waszyngtonie wrzuciła do sieci filmik, w którym mówiła o „potrzebie walki o wolność, kraj, konstytucję i prezydenta Donalda Trumpa". Podobne nagrania publikowali także inni republikańscy kandydaci. Niektórzy z nich brali bezpośredni udział w szturmie na Kapitol.

Nagonka na urzędnika

Równie szkodliwi dla amerykańskiej demokracji mogą okazać się kandydaci startujący w wyborach stanowych. Według szacunków organizacji States United Action w tegorocznych wyścigach na stanowiska gubernatora, prokuratora generalnego i sekretarza stanowego startuje ponad 80 kandydatów rozpowszechniających powyborcze teorie spiskowe Trumpa.

To o tyle niebezpieczne, że właśnie te funkcje są kluczowe dla przeprowadzenia rzetelnych, bezstronnych i uczciwych wyborów. Szczególnie istotna w tym kontekście jest rola sekretarza danego stanu, który odpowiada za zatwierdzenie wyników wyborów i przeprowadzenie ich ewentualnego audytu. To, jak istotne jest obsadzenie tego stanowiska osobą bezstronną, pokazuje przykład Brada Raffenspergera z Georgii, który nie ugiął się przed naciskami Trumpa, aby „znaleźć" głosy potrzebne do uzyskania w tym stanie przewagi nad Bidenem.

Urzędnik ten za swoje zasady etyczne zapłacił wysoką cenę: jeszcze przez długie miesiące po wyborach dostawał od zwolenników Trumpa wiadomości z pogróżkami. Czeka go również trudna walka

o reelekcję, o co zapewne zadbają Trump i jego sojusznicy w Georgii.

Przypadek nagonki na Raffenspergera nie jest odosobniony. Według sondażu przeprowadzonego przez Brennan Center for Justice, co szósty amerykański urzędnik wyborczy padł w ostatnim roku ofiarą hejtu. Serwis Reuters opisuje przypadek urzędnika wyborczego z Arizony, który usłyszał od zwolennika Trumpa, że „zostanie powieszony za zdradę stanu". Równie szokująca jest historia ze stanu Vermont, gdzie napastnik wtargnął do biura komisji wyborczej, wykrzykując, że urzędnicy zasługują na to, by „wepchnąć im pistolet do ust i nacisnąć spust".

Nagonka na pracowników lokali wyborczych robi swoje. Aż jedna piąta z nich deklaruje, że zrezygnuje ze stanowiska przed wyborami prezydenckimi w 2024 r. Większość jako powód podaje nadmierny stres związany z piastowaniem funkcji, a także nasilone przez Republikanów próby majstrowania przy zasadach głosowania.

Naginanie reguł

Organizacja Brennan Center for Justice podaje, że tylko w zeszłym roku w co najmniej 19 republikańskich stanach przegłosowano 34 ustawy zaostrzające restrykcje w dostępie do głosowania. Szczególnie szerokim echem odbiło się wprowadzenie przepisów w stanie Georgia, gdzie – zasłaniając się walką z oszustwami wyborczymi – Republikanie utrudnili procedury dotyczące głosowania korespondencyjnego i zmniejszyli liczbę skrzynek, do których wyborcy mogą wrzucić swoje pakiety wyborcze.

Zmiany te postrzegane są jako atak na elektorat Partii Demokratycznej: mniejszości etniczne i mniej zamożnych wyborców, którzy ze względu na mało elastyczne godziny pracy rzadziej docierają osobiście do lokali wyborczych i preferują głosowanie listowne.

Próbką tego, jak może skończyć się majstrowanie przy przepisach, jest Teksas, gdzie w marcowych prawyborach do kosza wyrzucono rekordowe 13 proc. kart do głosowania korespondencyjnego. Zdaniem ekspertów winny temu jest nowy wymóg, który jest swego rodzaju pułapką na roztargnionych: wyborcy muszą napisać na kopercie numer dokumentu tożsamości, którym posłużyli się zgłaszając wniosek o wydanie karty do głosowania.

Jak mówi „Tygodnikowi" prof. Steve Huefner, reforma przepisów w Georgii i Teksasie ma jeden cel: zachować przewagę Republikanów w zmieniających się demograficznie stanach, gdzie młodzi i mniejszości etniczne chętniej głosują na Partię Demokratyczną. Huefner zaznacza, że próby ograniczania praw wyborczych to trend utrzymujący się od 2008 r., gdy wyścig o Biały Dom wygrał Barack Obama.

– Republikanie zorientowali się wówczas, że trwające od lat poluźnianie procedur dotyczących głosowania korespondencyjnego i tzw. wczesnego głosowania [jeszcze przed dniem wyborów – red.] działa na ich niekorzyść. To, co dzieje się jednak po wyborach prezydenckich w 2020 r., to absolutny precedens – podkreśla prof. Huefner i dodaje, że najbardziej niebezpieczne dla demokracji są próby ograniczania uprawnień sekretarzy stanu w sporach wyborczych i procedurze zatwierdzania wyniku wyborów prezydenckich.

Niebezpieczny proces

Tego rodzaju zmiany wprowadzono w Kansas i Arizonie. W tym drugim stanie piętnastu parlamentarzystów, w tym popierany przez Trumpa kandydat na sekretarza stanu Mark Finchem, chcą pójść o krok dalej. W styczniu złożyli projekt ustawy dającej legislaturze prawo do zakwestionowania, a nawet odrzucenia wyników wyborów.

Takie propozycje brzmią jak makabryczne *political fiction* – i to w stanie, gdzie w 2020 r. Donald Trump przegrał z Joem Bidenem różnicą zaledwie 11 tys. głosów.

Choć zeszłoroczny audyt wykluczył jakiekolwiek nieprawidłowości mogące zaważyć na wyniku w tym stanie, grupka radykałów chce zaostrzenia przepisów. W swoim projekcie ustawy zawarli propozycje, by mieszkańcy Arizony głosowali wyłącznie w lokalu wyborczym, a ich głosy były liczone ręcznie, i to w ciągu doby od zakończenia wyborów. Projekt spotkał się z krytyką wśród samych Republikanów i istnieją nikłe szanse, że zostanie uchwalony.

– Sam fakt, że w demokratycznym kraju przedstawiane są takie propozycje reform, pokazuje, że naprawdę jest się czego bać – uważa prof. Huefner. – Donald Trump swoimi kłamstwami uruchomił niebezpieczny trend, w którym politycy przestają mieć jakikolwiek szacunek do procesu wyborczego. W efekcie niektórzy konserwatywni Amerykanie dali sobie wmówić, że białe jest czarne, a czarne jest białe. Nie interesują ich fakty. Czerpią informacje wyłącznie ze źródeł, w których usłyszą to, co chcą usłyszeć. Tak źle nie było jeszcze nigdy.

© MARTA ZDZIEBORSKA

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu, pod sygn. akt I Ns 14/22 toczy się postępowanie z wniosku Stanisława Soi z udziałem Marii Krzyżek, Moniki Tomczyk, Martiny Schoepe o zasiedzenie nieruchomości położonej w obrębie Mokrzyszów w Tarnobrzegu, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 26 o pow. 0,1056 ha. Aktualnym posiadaczem nieruchomości jest wnioskodawca.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt II Ns 836/21 toczy się postępowanie spadkowe z wniosku Lidii Poboży o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Markiewiczu, synu Jana i Henryki z domu Rychłowskiej, zmarłym 13 września 2019 roku w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ul. Puławskiej 111 m. 56.

Wzywa się, by spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną oni pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MARIUPOL BRONI SIĘ NADAL

Stał się symbolem zbrodni Rosji w wojnie przeciw Ukrainie. Ironią losu jest, że było to najbardziej prorosyjskie wśród dużych miast ukraińskich.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Ostatnia ćwierć wieku XIX. Dzięki odkrytym niedawno wielkim złożom węgla zaczyna się niebywale szybki rozwój Donbasu. W tej ukraińskiej „ziemi obiecanej" wyrastają kolejne kopalnie, fabryki, walcownie, zakłady metalurgiczne i chemiczne. Napływają tu mieszkańcy z najróżniejszych części Imperium Rosyjskiego.

Stolicą regionu staje się Juzowka, założona na terenie dawnej stanicy kozackiej (po kilkudziesięciu latach miasto zmieni nazwę na Donieck). W 1882 r. zostaje połączona linią kolejową z odległym o nieco ponad 100 km Mariupolem. Rozwijający się przemysł potrzebuje okna na świat, a ta kilkutysięczna senna miejscowość, położona nad Morzem Azowskim, nadaje się do tego idealnie.

Zaczyna się nowy rozdział w jej historii. Bo ta historia rozpoczęła się znacznie wcześniej.

Na cześć szczecinianki

Przyazowie, czyli południowa część Donbasu, od wieków było słabo zaludnionym pograniczem między Kozaczyzną zaporoską, Chanatem Krymskim a Rosją. W 1774 r. zakończyła się ośmioletnia wojna rosyjsko-turecka, której efektem było opanowanie przez Imperium Rosyjskie ziem obecnej południowej Ukrainy i Krymu. Rosjanie zaczęli myśleć o ich zasiedleniu.

W 1778 r. założona zostaje osada Pawłowsk, która po roku otrzymała nazwę Mariupol. Miała ona uczcić wielką księżnę, a w przyszłości carycę Marię Fiodorownę, żonę późniejszego cara Pawła I (to jeszcze jedna szczecinianka – z ówczesnego niemieckiego Stettina – na rosyjskim tronie). Inna interpretacja mówi,

że nazwę zaczerpnięto od Mariampola, greckiej osady pod krymskim Bachczysarajem.

Nie byłoby bowiem Mariupola bez Greków. W tym czasie władze rosyjskie przymusowo przesiedliły z Krymu ludność grecką, obecną tam od czasów antycznych. Jej zadaniem miał być rozwój nowo stworzonego miasta i portu. Przez kolejne dekady Mariupol rozwija się więc, stając się wielonarodowym ośrodkiem handlowym.

Miasto hutników

I znowu jesteśmy pod koniec wieku XIX: w 1896 r. dwaj bankierzy – Adolf Rothstein (obywatel Niemiec wywodzący się z wielkopolskiego Rawicza) i Amerykanin Edmund Smith – uzyskali zgodę władz carskich na założenie Nikolsko-Mariupolskiego Towarzystwa Górniczego i Metalurgicznego. Już po roku zakład zaczął produkcję i szybko stał się jednym z najważniejszych w Donbasie. W tym samym czasie jeszcze jedną fabrykę metalurgiczną, o nazwie Providans, założyli Belgowie.

Tuż przed objęciem rządów przez bolszewików Mariupol liczył już ok. 40 tys. mieszkańców. Nowi władcy połączyli przemysł hutniczy w mieście w jeden zakład: Mariupolski Kombinat Metalurgiczny imienia Ilicza. Wkrótce jednak uznano, że w mieście „hutniczej sławy" potrzeba więcej metalurgii. W 1933 r. ruszyło przedsiębiorstwo Azowstal. W przededniu II wojny światowej miasto rozrosło się do 220 tys. mieszkańców.

Działania wojenne spowodowały częściowe zniszczenie obu kombinatów, które jednak szybko odbudowano. Związek Sowiecki potrzebował dużo stali. Markę Mariupola jako jednej z hutniczych stolic państwa miał umocnić ustawiony przy wjeździe od strony Doniecka kilkunastometrowy pomnik hutnika. Po drugiej stronie drogi zaczynały się olbrzymie kominy kombinatu metalurgicznego, rozciągającego się na długości kilku kilometrów.

W 1948 r. nazwę miasta zmieniono: miało nazywać się Żdanow, by uczcić zmarłego wówczas Andrieja Żdanowa – mariupolanina, ideologa „kultury komunistycznej" i bliskiego współpracownika Stalina. Nowa nazwa miała utrzymać się do 1989 r. Liczba mieszkańców przekroczyła wówczas pół miliona.

Razem, ale osobno

Po 1991 r. Mariupol z trudnościami, ale stopniowo wpisywał się w państwo ukraińskie. Podobnie jak reszta Donbasu ze względu na swoją specyfikę społeczno-tożsamościową trzymał się na uboczu. Początkowo nie objęły go rozwijające się w państwie procesy ukrainizacyjne. Władzę zachowały tu lokalne elity, a mieszkańcy głosowali na partie prorosyjskie. Symbolem może być długoletni mer Jurij Chotłubej, komunistyczny aparatczyk, mianowany na tę funkcję jeszcze za Gorbaczowa. Z czteroletnią przerwą udało mu się zachować władzę w Mariupolu do 2015 r. Trudno o lepszy przykład zakonserwowania sytuacji w mieście.

Kilka miesięcy po aneksji Krymu miałem okazję przeprowadzić rozmowę z Chotłubejem (z pochodzenia miejscowym Grekiem) w jego wielkim gabinecie w równie wielkim gmachu w centrum miasta. Sprawiał stereotypowe wręcz wrażenie działacza, któremu żaden system nie jest obcy. Świetnie odnalazł się też w ukraińskim dzikim kapitalizmie. Wiedział, jak należy rozmawiać z obcokrajowcami, a tym bardziej z wielkim miejscowym biznesem.

Ten ostatni miał coraz więcej do powiedzenia. Szarą eminencją Mariupola stał się Rinat Achmetow – wywodzący się z Doniecka, najbogatszy i najbardziej wpływowy ukraiński oligarcha. Najpierw przejął Azowstal, a następnie Kombinat imienia Ilicza. Choć miasto, podobnie jak niemal wszystkie duże ośrodki miejskie, przeżywało w latach 90. kryzys (jego efektem był spadek liczby mieszkańców o kilkadziesiąt tysięcy), kombinaty wciąż były największymi pracodawcami. Nawet przed wybuchem obecnej wojny oba zakłady zatrudniały ponad 30 tys. osób. Ukraiński Mariupol pozostał miastem hutników, ale już pod oligarchicznym nadzorem. Jednym z dowodów jest Wadim Bojczenko, następca Chotłubeja, który na stanowisko mera trafił z fotela dyrektorskiego w Kombinacie imienia Ilicza.

Cały Donbas tradycyjnie był i pozostaje regionem rosyjskojęzycznym. Według ostatniego ukraińskiego spisu powszechnego z 2001 r. 48 proc. mieszkańców Mariupola deklarowało się jako Ukraińcy, a 44 proc. jako Rosjanie. Mieszkało tu też ponad 21 tys. Greków, co czyniło Mariupol jednym z największych centrów greckich poza Grecją. Zarazem aż 89 proc. mariupolan posługiwało się na co dzień językiem rosyjskim. Ta różnorodność nie przeszkadzała jednak mieszkańcom utożsamiać się z Ukrainą.

Zwycięska próba

Aneksja Krymu i wybuch wojny w Donbasie w 2014 r. stały się dla Mariupola czasem wielkiej próby. W Doniecku i Ługańsku władzę przejęli kontrolowani przez Rosję tzw. separatyści, którzy z rosyjską zbrojną pomocą zaczęli rozszerzać swoje wpływy na kolejne części regionu. 9 maja 2014 r. siły ukraińskie zostały zmuszone do wycofania się z Mariupola, który wszedł w skład separatystycznej Donieckiej Republiki Ludowej.

Po dwóch dniach kierownictwo obu zakładów metalurgicznych utworzyło z robotników milicję, która miała pomagać pozostałym w mieście jednostkom policji ukraińskiej. Było to ważne wsparcie, które sprawiło, że tzw. separatystom nie udało się w pełni uzyskać kontroli nad miastem. 13 czerwca zostali ostatecznie wyparci z Mariupola przez jednostki ukraińskie, wsparte przez powstały kilka tygodni wcześniej pułk Azow – jedną z najsłynniejszych ukraińskich formacji ochotniczych.

24 stycznia 2015 r. na wschodnią część Mariupola spadły rosyjskie pociski Grad, zabijając 30 osób. Do nowej próby zajęcia miasta jednak nie doszło. Po kilku tygodniach podpisano porozumienia mińskie, które *de facto* stworzyły granicę wewnątrz obwodu donieckiego. Mariupol został odcięty od swojego tradycyjnego zaplecza gospodarczego, ukształtowanego przez półtora stulecia. Miasto jednak obroniło się przed wyciągniętą po nie łapą „russkiego miru". W kolejnych kilku latach, pomne losu Doniecka i Ługańska, zdegradowanych cywilizacyjnie i gospodarczo, jedynie wzmacniało swoją odporność.

Pamiętam moją ówczesną rozmowę z Maksimem Borodinem, lokalnym politykiem, współzałożycielem proeuropejskiej partii Siła Ludzi. W modnej kawiarni w Mariupolu słuchałem jego opowieści: jak z działacza ekologicznego, który walczył z kombinatami bezkarnie zatruwającymi otoczenie, zamienił się w polityka z planem europeizacji rodzinnego miasta, wciąż z ducha mocno sowieckiego. Wielu ↦

Mariupol, 20 marca 2022 r.

ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

CHRISTOPHER OCCHICONE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Mariupol, 15 stycznia 2022 r.

↦ mówiło, że to jak kopanie się z koniem, ale on uzyskał mandat deputowanego do rady miejskiej i stał się przykładem, że oddolne zmiany są możliwe.

Impregnowany na separatyzm, Mariupol nie wpisywał się jednak w dominujący nurt nastrojów w społeczeństwie ukraińskim. Według badań z ubiegłego roku 22 proc. mieszkańców opowiadało się za integracją z Unią Europejską, a 48 proc. wolało, by Ukraina stała się częścią unii celnej z Rosją, Białorusią i Kazachstanem (w skali ogólnoukraińskiej ponad dwie trzecie wybrało wtedy opcję proeuropejską). Zabawnie wyszła dekomunizacja w 2016 r. Kombinatu imienia Ilicza: ani jego właściciel, ani władze miasta nie chcieli zmieniać nazwy, więc zmienili patrona. Włodzimierza Ilicza Lenina zastąpił Zot Ilicz Niekrasow, zmarły w 1990 r. ukraiński naukowiec, wybitny specjalista od metalurgii. Formalnie ustawa dekomunizacyjna została jednak zrealizowana.

Nowy Grozny

Wreszcie przyszedł 24 lutego 2022 r. i nazwę Mariupol poznał cały świat.

Dla sił rosyjskich operujących z Krymu oraz z donieckiego parapaństwa miasto stało się najważniejszym celem. O ile szybko padły sąsiednie Melitopol i Berdiansk, o tyle miasto hutników nie zamierzało się poddawać. Gdy 1 marca Mariupol został otoczony przez przeważające siły wroga, zaczęło się jego oblężenie, trwające do dziś. To ostatni brakujący agresorowi punkt, aby utworzyć połączenie lądowe między Półwyspem Krymskim a okupowaną od 2014 r. częścią Donbasu.

Z każdym dniem oblężenia rosła brutalność rosyjskich ataków. Po pierwszym niedowierzaniu, że obrońcy trwają pomimo kolejnych spadających rakiet, agresor zaczął zatracać hamulce. 9 marca zniszczony został szpital położniczy, a media światowe obiegły zdjęcia rannych kobiet w zaawansowanej ciąży.

Okazało się, że to dopiero przedsionek piekieł. Od tego czasu na Mariupol codziennie spada do 100 rosyjskich bomb. Atakowanie obiektów cywilnych stało się regułą (Kreml kłamie, że nic takiego nie ma miejsca). W mniejszym lub większym stopniu zniszczonych miało zostać 80-90 proc. budynków. Wśród nich dziesiątki szkół i przedszkoli, szpitale, a także część Azowstali oraz muzeum sztuki z ciekawą kolekcją obrazów Iwana Ajwazowskiego i Archipa Kuindży (Greka urodzonego w Mariupolu, który stał się jednym z najsłynniejszych malarzy rosyjskich przełomu XIX/XX w.). Na obszarze postsowieckim skalę zniszczeń da się porównać jedynie z Groznym, dwukrotnie zrównanym z ziemią przez Rosjan podczas dwóch wojen czeczeńskich.

Miasto ukarane

Choć niemal codziennie udaje się uruchamiać korytarze humanitarne dla ewakuacji ludności, w Mariupolu wciąż pozostaje kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Od wielu dni żyją bez dostaw pożywienia, ciepła i energii. Obrazy, jakie docierają do reszty Europy, są tak straszne, że aż trudno uwierzyć, iż dzieją się naprawdę. Według wciąż niepotwierdzonych informacji władz lokalnych, zginąć miało dotąd 20 tys. mieszkańców.

Dlaczego Rosja dopuszcza się takich zbrodni akurat wobec Mariupola? Ma to być ostrzeżenie dla innych miast ukraińskich: co je spotka, jeśli odmówią złożenia broni. Zarazem trudno nie mieć wrażenia, że Rosjanie wyrównują rachunki za 2014 r., gdy harde miasto skutecznie obroniło się przed podzieleniem losu Doniecka. Mariupol stał się jednym z symboli tej wojny.

Ciągnące się od niemal miesiąca rosyjskie oblężenie nie tylko zniszczyło miasto, ale na zawsze wyleczyło jego mieszkańców z prorosyjskości. Kilka dni temu Maksim Borodin, który codziennie robi, co może, aby świat widział, co dzieje się w Mariupolu, napisał w sieciach społecznościowych: „Z pewnością możemy odbudować miasto od zera, ale jeśli nie przyjdzie pomoc z zewnątrz, nie będziemy w stanie wrócić życia tym najlepszym, którzy teraz wstrzymują rosyjską ordę".

Niestety nic nie wskazywało, aby wyczekiwana pomoc mogła nadejść.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 24 marca

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 304/21 postępowanie z wniosku wierzyciela Banku Millenium S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Kazimierzu Bartkowiaku, zm. 18 kwietnia 2017 r., ostatnio stale zamieszkałym w Łuszczanowie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Szersze tło*

Był dziwnym dzieckiem. Jak mieszkali w Bethnal Green, w skromnym domu we wschodnim Londynie, był dziwniejszy niż wszystkie dzieci z sąsiedztwa.

Jak mieszkali w ładniejszym domu, na południu Clapham, był dziwnym nastolatkiem.

Potem nie wiadomo kim był, bo zniknął.

Wiedzieli, że żyje. Pamiętał o urodzinach brata i sióstr i o święcie matki, i przysyłał kartki z życzeniami. Na żadnej kartce nie było adresu zwrotnego.

Wpadał do domu co jakiś czas, przeważnie z urwanym guzikiem. Pozwalał przyszyć guzik, zgadzał się przyjąć trochę pieniędzy, o które nigdy nie prosił, i znikał znowu.

Szanujmy inność, powtarzali rodzice. Nie próbujmy naruszać jego tajemnic.

O śmierci zawiadomił telefonicznie David, tak się przedstawił. Powiedział, że przez dwadzieścia pięć lat był przyjacielem ich syna.

Myśl, że syn miał przyjaciół, przyniosła im ulgę.

Na pogrzeb przyszło kilkunastu mężczyzn. Nie znali ich, ale mieli wrażenie, że gdzieś ich już widzieli.

Jeden z mężczyzn powiedział nad grobem parę słów, potem podszedł i wręczył im kolorową gazetę.

Otworzyli ją w domu.

Nosiła tytuł – „Voice of Arsenal".

Pod tytułem było zdjęcie ich syna.

Artykuł pod zdjęciem opowiadał o człowieku, który kochał klub i przez dziesiątki lat towarzyszył mu na wszystkich meczach.

Bez niego Arsenal nie będzie tym samym Arsenalem, kończył się artykuł.

Jeden z zięciów wyjaśnił im, że mężczyźni na pogrzebie to byli trenerzy i zawodnicy. Wie o nich każdy kibic piłki nożnej, dodał zięć. Nie tylko w Anglii, wiedzą o nich kibice na całym świecie.

Na mecze jeździli we trzech, opowiadał David. On jako kierowca, ich kumpel John i Knowledge. Mówił o ich synu. Nie znali imienia ani nazwiska, tylko przydomek. Skracali go – do Knowl, albo do Ledge, tylko im dwóm na skróty pozwalał, więc uważali to za przywilej.

Nie znali jego adresu. Przed meczem umawiali się telefonicznie i spotykali na ulicy, zwykle w tym samym miejscu. Domyślali się, że niedaleko mieszkania Ledge'a, ale nie byli pewni.

John siadał koło kierowcy, Ledge z tyłu. Obok, na tylnym siedzeniu ustawiał torbę.

W drodze pytał o zdrowie dzieci i żon i o postępy w nauce. Pamiętał wszystkie imiona, przebyte choroby i nazwy kolejnych szkół. Wyjmował słodycze – sam nie jadł, ale nalegał, żeby się częstowali.

Bilety i hotele załatwiał mu klub.

W hotelach podpisywał się „Mr Kay" albo „Daniel King". Nie miał kłopotów, hotelarze wiedzieli – był człowiekiem Arsenalu.

Torba była wielka i ciężka, z czegoś białego, z tworzywa czy ze sztucznej skóry.

Nie kładli jej do bagażnika, musiała leżeć w kabinie.

Prawdę mówiąc, opowiadał David, była osobnym, kto wie czy nie najważniejszym pasażerem ich auta.

Prawdę mówiąc, jeździli we czwórkę.

W torbie były notesy, w notesach były mecze: każdy zawodnik, każdy faul, każdy gol i każda asysta, minuta po minucie.

Był źródłem wiedzy dla trenerów, kibiców i dziennikarzy sportowych. To dziennikarze wymyślili przydomek – Knowledge. Pan Wiedza.

Był otwarty i życzliwy, gdy mówił o Arsenalu.

Był niechętny i skryty, gdy milczał o sobie.

W drodze powrotnej komentowali mecz. Czasami sprzeczali się, zwykle o zachowanie graczy. David i John byli wyrozumiali, Knowledge nie wybaczał wybryków. Jesteśmy Arsenalem, mówił, obowiązują nas najwyższe standardy.

Mieli jechać do Lincoln.

Miał zadzwonić.

Mieli nadzieję, że będzie czekał gdzie zawsze, w pobliżu domu.

Nie czekał.

Nie pojechał na mecz.

Wiedzieli: stało się coś strasznego.

▪▪▪

Wiem o Knowledge'u to i owo.

Na przykład – kiedy i skąd przyjechała do Londynu jego prababka.

W 1897 roku przyjechała.

Jedenaście lat po powstaniu Arsenalu (zauważyłby prawnuk).

Trzy lata po pierwszym meczu piłki nożnej rozegranym w jej dawnej ojczyźnie. (Nie trwał długo ten mecz, zaledwie sześć minut. Przy stanie 1:0 goście stwierdzili, że dalsza gra nie ma sensu. I co z tego, powiedziałby prawnuk, mecz to mecz).

Na tym powinien się kończyć niniejszy felieton, i skończyłby się, gdyby Knowledge nie miał i pradziadka.

Który do Anglii nie wyemigrował.

Po którym została mezuza – mały, pergaminowy zwitek z modlitwą, zdjęty z framugi drzwi w ostatniej chwili przed wysiedleniem.

Który leży teraz pod jednym z siedemnastu tysięcy kamieni ustawionych na pamiątkę.

Mówię o tym za radą reportera Mariusza Sz.

Na pytanie, czy i pradziadek w felietonie powinien być, powiedział, że tak, bo rzucę wtedy Knowledge'a na szersze tło i będziemy mieli perspektywę historyczną. ©

Pewien mądry człowiek, zresztą nasz czytelnik, powiedział o robieniu pism, w tym – tygodników: „Misja bez pieniędzy to utopia. Pieniądze bez misji – to cynizm”.

Łatwo nam się z tym zgodzić, bo „Tygodnik” wydajemy w poczuciu, że nasza wiarygodność jest zbudowana na niezależności od każdej, również finansowej, presji. Inny nie miałby przecież racji bytu. Innego nie chcielibyśmy wydawać. Uznaliśmy, że sponsorem, któremu możemy bezwzględnie zaufać, jesteście Wy, nasi Czytelnicy.
Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysów, dezinformacji, w niełatwych czasach.
A najwspanialsze jest to, że istnieje w świecie wielka wspólnota „Tygodnika Powszechnego”, pismo zaś jest jej dobrem. Planeta, na której jest życie.

Ks. Adam Boniecki

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA

Suwerenni dzięki Wam!

Od 20 lat Fundacja Tygodnika Powszechnego działa na rzecz demokracji, wolności i swobód obywatelskich. Trzy pierwsze cele w statucie naszej organizacji pożytku publicznego to:

- pogłębianie i promowanie demokratycznego modelu życia społecznego
- propagowanie modelu dialogu społecznego i rozwoju podstaw instytucji społeczeństwa obywatelskiego
- propagowanie i pogłębianie idei wolności słowa oraz wolnych i niezależnych środków masowego przekazu

---

1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji: powszech.net/dar

ZAGINIONE OPOWIEŚCI

Zapożyczone z ekologii metody pozwoliły badaczom literatury na oszacowanie, jak wiele średniowiecznych dzieł nie dotrwało do naszych czasów.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

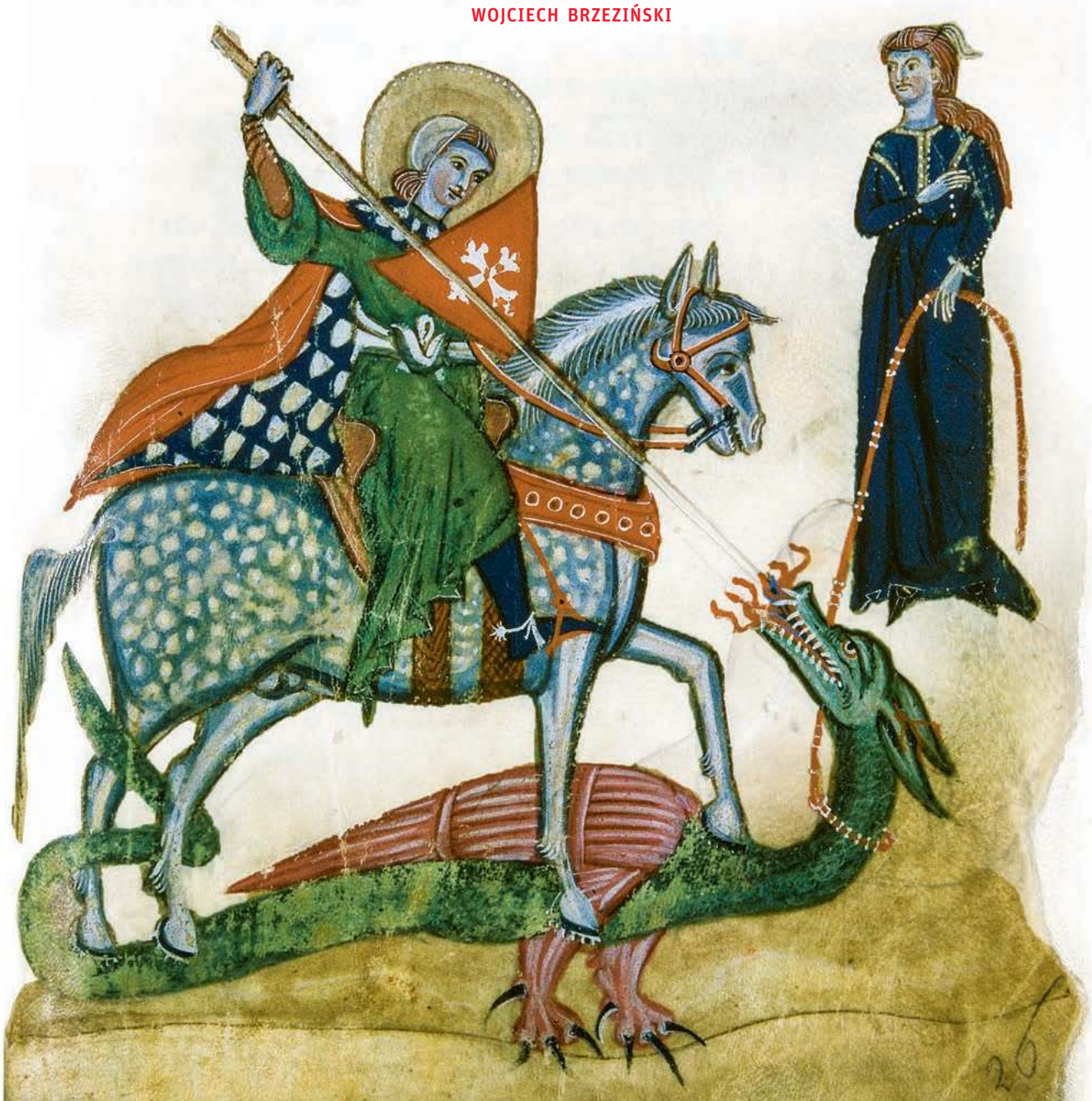

LUCA CARRÀ / B&W

„(...) wielkie legendy, jak najlepsze baśnie, powinny być opowiadane w każdym wieku, tylko wtedy można w nich znaleźć coś nowego, ożywczego, co pozwoli wprowadzić legendę w świadomość kolejnego pokolenia. I chyba w tym tkwi nieśmiertelność legend".

Roger Lancelyn Green, **„KRÓL ARTUR I RYCERZE OKRĄGŁEGO STOŁU"**

Opowieści są trwalsze niż kamienne pomniki. Ze złotych miast Grecji, tętniących życiem metropolii Rzymu, malowanych murów Babilonu pozostały tylko zakurzone ruiny. A po wielu mocarzach rządzących średniowiecznymi mocarstwami pozostały zdawkowe wzmianki na stronach kronik.

Historie opowiadane wówczas żyją jednak nadal. Mity o Gilgameszu i Heraklesie, „Odyseja" i „Iliada" czy średniowieczne eposy i sagi przetrwały do dziś i stanowią podstawę kulturowego dziedzictwa także w świecie internetu i smartfonów. Tylko w ostatniej dekadzie powstało kilkanaście filmów i seriali opartych na legendzie o królu Arturze – od brytyjskiego „Zielonego Rycerza" po animowanego „Scooby Doo". Podobnie islandzkie sagi są wciąż odkrywane na nowo – czy to przez autorów seriali na Netfliksie, czy przez producentów gier komputerowych. Bohaterowie z minionych epok wciąż są wśród nas.

Tyle że opowieści, choć bardziej długowieczne od marmuru, też nie są nieśmiertelne. Opublikowana w lutym w „Science" analiza pokazuje, jak wiele naszego narracyjnego dziedzictwa utraciliśmy. Być może bezpowrotnie.

Zemsta lisa Reynaerta

Średniowiecze było złotą erą czegoś, co dziś moglibyśmy nazwać „literaturą sensacyjną". Wielkie opowieści o królu Arturze, Beowulfie, Sigurdzie – zabójcy smoka Fafnira, czy legendarnym władcy Ragnarze Lódbroku pełniły wiele funkcji: od umoralniających przypowieści po fundamenty legitymizacji królewskiej władzy. Ale przede wszystkim stanowiły rozrywkę. Przygodowe historie zawsze dobrze się czytały. Nawet w czasach, gdy czytać i pisać potrafili stosunkowo nieliczni.

Czasami wśród wielkich eposów pojawiały się historie wyjątkowo zjadliwie opisujące średniowiecznych możnych. Jedną z nich jest opowieść „O lisie Reynaercie" – XIII-wieczny niderlandzki poemat będący ostrą satyrą na głupotę, chciwość i dwulicowość elit. Historia, która zdobyła wielką popularność w całej średniowiecznej Europie, a w Niderlandach pozostaje doskonale znana do dziś, opisuje proces lisa Reynaerta, który, oskarżony o morderstwo, manipuluje swoimi oskarżycielami, obnaża ich wady, a później, dokonawszy zemsty, ucieka.

O ile jednak pamięć o lisie się zachowała, o tyle o jego twórcy wiemy niewiele. A jeszcze mniej o innych jego dziełach. Pewne jest jedynie to, że sam siebie przedstawia jako „Willem, die Madoc maecte" – „Willem, który stworzył Madoca". To prawdopodobnie nawiązanie do wcześniejszego dzieła tego samego autora, najwyraźniej całkiem popularnego, skoro zdecydował się przedstawić właśnie jako jego twórca. Madoc to najprawdopodobniej legendarny walijski książę, który według podań miał, uciekając przed prześladowcami, popłynąć do Ameryki. Znamy jego historię z późniejszych źródeł, ale nie zachował się żaden wiersz o nim z czasów Willema.

„Od tego czasu ludzie gorączkowo go szukają" – mówił magazynowi „Science" prof. Mike Kestemont z Uniwersytetu w Antwerpii. Kierowany przez niego zespół postanowił ustalić, jak wiele podobnych dzieł zniknęło w odmętach czasu. Posłużył się w tym celu narzędziem, które dotąd najczęściej było wykorzystywane do tropienia zupełnie innych zaginionych skarbów.

Królestwo Olafra

– Ten problem można potraktować z dwóch perspektyw. Z perspektywy tradycyjnej, filologicznej i ekologicznej – mówi „Tygodnikowi" dr Katarzyna Anna Kapitan, filolożka staronordycka z Linacre College w Oksfordzie, która wzięła udział w badaniach. – W tradycyjnym podejściu, poszukując takich zaginionych tekstów, posługujemy się dwoma źródłami: wzmiankami literackimi i katalogami bibliotek. Wzmianki o zagubionych tekstach pojawiające się w innych utworach literackich przyjmują zazwyczaj formę: „jak opisano w sadze o kimś tam, wydarzyło się...". To daje wskazówkę, że w czasie, w którym powstawał dany tekst literacki, istniał również inny, którego dziś nie znamy – wyjaśnia badaczka. – Drugim typem źródeł są katalogi bibliotek: zestandaryzowane tytuły utworów literackich są nowym wynalazkiem, kiedyś katalogi wykorzystywały do identyfikacji utworów literackich ich początki (*incipit*). Jeżeli w katalogu napotkamy tekst, którego początku nie potrafimy zidentyfikować, to jest spora szansa, że mamy do czynienia z zaginionym utworem – dodaje dr Kapitan.

Ona sama pisała doktorat o właśnie jednej z takich zaginionych opowieści: sadze o Hromundzie. Najwcześniejsza wzmianka o niej pochodzi z opisu wesela w 1119 r., ale najstarsze znane rękopisy pochodzą z XV w. w wersji poetyckiej i XVII w. w wersji pisanej prozą. Oznacza to, że historia ta krążyła, zmieniała się, ewoluowała przez co najmniej 300 lat, aż przyjęła kształt, który dziś znamy. Jednak oryginalna XII-wieczna wersja tej sagi zaginęła.

– Jeśli chodzi o sagi islandzkie, to te teksty były tworzone przez społeczności, których produkcja literacka funkcjonowała na pograniczu tradycji ustnej i piśmiennej. Dla mnie najciekawsze jest to, jak te teksty się zmieniają na przestrzeni wieków, bo to wiele mówi o ludziach, którzy je przekazywali – mówi dr Kapitan. – Saga o Hromundzie zaczyna się słowami „Król Olafr był królem...". Królem czego? Danii, Norwegii czy innego kraju? To zależy od rękopisu, który czytamy. Rękopisy tej sagi były spisywane pod koniec XVII w., kiedy konflikty pomiędzy Danią i Szwecją rozgrywały się nie tylko na polach bitew zbrojnych, ale także ideologicznych. Dlatego też manipulowano sagami tak, aby odpowiadały oczekiwaniom konkretnych odbiorców. Zmiana kilku słów w tekście może dać nam wgląd w pobudki, które doprowadziły do tej zmiany – dodaje badaczka.

Ekologia legend

Zespół, w skład którego weszła dr Kapitan, postanowił potraktować ten kulturowo-narracyjny ekosystem tak samo jak ekosystemy biologiczne. I wykorzystać narzędzia stosowane dotąd przez ekologów, by ustalić, jak wiele opowieści nie przetrwało do naszych czasów w żadnej kopii – „wymarło".

Naukowcy zastosowali technikę zwaną „modelem niewidzialnych gatunków". Opracowana przez Anne Chao z tajwańskiego National Tsing Hua University, która także dołączyła do zespołu ↦

Fragment miniatury „Życie Świętego Jerzego oraz Świętej Małgorzaty" z XIII w.

↦ prof. Kestemonta, technika ta wykorzystuje podejście statystyczne do szacowania, ile gatunków występuje na danym obszarze, choć nie udało się ich bezpośrednio zaobserwować.

„Model statystyczny nie dba o to, czy szukasz zaginionych ptaków, czy książek" – wyjaśnia w „Science" Folgert Karsdorp, badacz z Instytutu Meertens. „To ogólna metoda korekty stronniczości obserwacji". Poza naukami biologicznymi technikę tę stosuje się już np. w szacowaniu liczby błędów występujących w długich fragmentach kodu komputerowego.

W celu przeprowadzenia analizy badacze sięgnęli po listę zachowanych średniowiecznych dzieł fikcji narracyjnej – sag, opowieści o herosach i rycerskich eposów – spisanych między rokiem 600 a 1450 w sześciu językach: niderlandzkim, francuskim, islandzkim, irlandzkim, angielskim i niemieckim. Lista obejmowała 3648 kopii 799 tekstów. W badaniu każdy utwór odpowiadał biologicznemu gatunkowi, a każda sporządzona kopia tekstu – zaobserwowaniu go w środowisku. Język polski nie znalazł się w badanej próbie, bo przytłaczającą większość zachowanych średniowiecznych manuskryptów pochodzących z naszego terytorium spisano w łacinie.

Po przeanalizowaniu próby za pomocą modelu do tropienia niewidocznych gatunków algorytm zasugerował, że przeciętna „przeżywalność" manuskryptów wynosi ok. 9 proc. – ich oryginalna „populacja" powinna liczyć 40614 kopii 1170 dzieł. Około 370 opowieści nie przetrwało więc do naszych czasów w ani jednym egzemplarzu.

– Te rezultaty są bardzo bliskie wcześniejszym szacunkom, wynikającym ze wspomnianej analizy katalogów bibliotecznych czy wzmianek w innych tekstach – mówi dr Kapitan. – Dotychczasowe szacunki mówiły o tym, że znamy od 7 do 20 proc. rękopisów, w zależności od ich pochodzenia, statusu itd. Nasza metoda mówi, że znamy 9 proc. rękopisów opowieści rycerskich i bohaterskich spisanych w tych sześciu językach – dodaje.

Ale proces „wymierania" manuskryptów i opowieści nie przebiegał jednakowo w różnych miejscach.

W biskupiej mitrze

Dominacja języka angielskiego we współczesnej popkulturze jest tak głęboka, że anglosaskie opowieści i legendy mają dziś zasięg globalny. Jednak spośród badanych języków to właśnie angielski ma się stosunkowo najgorzej. Do dziś przetrwało jedynie 5 proc. manuskryptów pisanych w wernakularnej (nieliterackiej) angielszczyźnie i 38 proc. opowieści o bohaterach spisanych w średniowieczu po angielsku.

„Za szczególnie niski wskaźnik przeżywalności średniowiecznej literatury angielskiej możemy winić rozwiązanie klasztorów za Henryka VIII, które doprowadziło do rozproszenia wielu bibliotek. Ale historie bohaterów spisane w języku angielskim rzadko pojawiają się w katalogach bibliotecznych klasztorów" – pisze dr Daniel Sawyer, badacz średniowiecznej literatury angielskiej z oksfordzkiego Merton College, który także brał udział w badaniu. „Inne możliwe wyjaśnienie można znaleźć w ograniczonym prestiżu języka angielskiego w tym okresie. Dzisiaj angielski jest nauczany jako drugi język na całym świecie, ale w średniowieczu miał niewielkie znaczenie międzynarodowe. Zwłaszcza po podboju normańskim w Anglii ważny był język francuski jako język władzy i kultury" – dodaje dr Sawyer.

MATERIAŁY PRASOWE X3

Początek średniowiecznej irlandzkiej opowieści „Cath Leithreach Ruibhe". Królewska Akademia Irlandzka, Dublin.

Bogato ilustrowany niemiecki rękopis zawierający arturiański romans „Wigalois". Biblioteka Uniwersytecka w Lejdzie, Holandia.

Jedyny zachowany fragment niemieckiego rękopisu „Willehalma" Wolframa von Eschenbacha. Zamek Huis Bergh, s-Heerenberg, Holandia.

Dwie europejskie kultury zdecydowanie wyróżniają się zarówno liczbą zachowanych manuskryptów, jak i tym, jak wiele średniowiecznych opowieści przetrwało. Do dziś zachowało się odpowiednio 17 i 19 proc. manuskryptów spisanych w językach islandzkim czy irlandzkim. Dzięki nim znamy ok. 81 proc. średniowiecznych irlandzkich romansów i opowieści przygodowych i 77 proc. islandzkich sag. O ile zachowanie się większej liczby tamtejszych rękopisów można wytłumaczyć choćby faktem, że oba kraje ominęły zniszczenia drugiej wojny światowej, podczas której wiele dzieł spłonęło wraz z bibliotekami, o tyle odporność tamtejszych legend jest nietypowa.

– Jednym z czynników może być fakt, że prasa drukarska dotarła na Islandię 100 lat później niż do innych krajów europejskich – mówi dr Kapitan. – Aż do XVIII w. jedyna prasa drukarska na wyspie pozostawała w posiadaniu biskupstwa, które decydowało o tym, co może być drukowane. Oczywiście w pierwszej kolejności powielane były teksty religijne. Natomiast utwory literackie, uważane za zbyt sprośne, nie zasługiwały na druk. W związku z tym aż do XIX w. te teksty były kopiowane ręcznie. Rękopisy nie były wyrzucane po wykonaniu kopii drukarskich, jak to się często działo w innych krajach europejskich – dodaje badaczka.

Wiele oryginalnych manuskryptów, spisanych na cennym i trwałym pergaminie, uległo „recyklingowi" – zapisywano na nich nowe książki albo wykorzystywano jako trwałe oprawy dla drukowanych tomów. W jednym opisywanym przez badaczy przypadku fragment poematu został wykorzystany do wzmocnienia biskupiej mitry.

W wyspiarskiej kulturze nietypowe jest jednak coś jeszcze. Zarówno islandzka, jak i irlandzka literatura ma wysoki „profil równości". – Oznacza to, że nie ma „bestsellerów", które dominują całą tradycję, spychając inne teksty na margines – tłumaczy filolożka. – Próbowaliśmy to przeanalizować z perspek-

tywy antropologii kulturowej przy użyciu symulacji komputerowych. Okazuje się, że w społeczeństwach bardzo połączonych, w których każda jednostka może wymieniać się informacjami (czy książkami) z każdą inną jednostką, bardzo szybko pojawiają się właśnie takie „bestsellery", bo wszyscy chcą czytać to samo. Z kolei gdy mamy do czynienia z mniejszymi społecznościami, między którymi wymiana informacji jest ograniczona, różnorodność gatunkowa jest wyższa.

Co ciekawe, podobne zjawisko zachodzi także w biologicznych ekosystemach: odizolowane i bardziej ograniczone przestrzennie wyspiarskie środowiska często wytwarzają wyjątkowe, urozmaicone formy niespotykane w innych miejscach.

Co po nas zostanie

Jeśli jednak to, jak silnie jesteśmy połączeni z innymi członkami społeczności, wpływa na to, jak wiele opowieści ma szansę przetrwać, jak może rysować się przyszłość dzieł powstających w dzisiejszym, połączonym świecie, w którym nie ma już niemal odizolowanych wysp?

– Model, z którego korzystaliśmy, na takie prognozy nie pozwala – mówi dr Kapitan. Ale właściwie gołym okiem możemy zobaczyć, że większość światowych bestsellerów wychodzi z dominującego kręgu anglojęzycznego.

Zastosowany przez badaczy model pozwala jednak lepiej zrozumieć to, jak wiele z naszego wspólnego dziedzictwa już straciliśmy. Przez krótkowzroczność, przemoc, a także przez nieubłagane procesy przeobrażające wszystkie kultury. Choć dr Kapitan przyznaje, że nieortodoksyjne podejście do badania historii literatury spotkało się ze sceptycyzmem ze strony części humanistów.

– Kiedy ktoś szacuje statystycznie, ile jest gwiazd w galaktyce, wierzymy, że to musi być prawda – mówi badaczka. – Ale kiedy ktoś oszacuje przy pomocy podobnych narzędzi, ile zniknęło rękopisów, jesteśmy bardziej sceptyczni. Tymczasem wydaje mi się, że największą korzyścią z zastosowania tej metody jest to, że możemy porównać różne obszary językowe i doszukiwać się przyczyn ich różnic i podobieństw. Ponadto dowiedzieliśmy się czegoś o niewiadomych, o jak wielkiej części naszego literackiego dziedzictwa nie wiemy dziś prawie nic.

Skoro jednak naukowcy posłużyli się w badaniach narzędziami ekologicznymi, także z ekologii można zaczerpnąć nadzieję na to, że nie wszystkie te dzieła są stracone bezpowrotnie. Tak jak pośród informacji o szybko wymierających gatunkach można czasem natrafić na wzmiankę o ponownym odkryciu istot uważanych za bezpowrotnie stracone, tak i badacze literatury nie porzucają nadziei na to, że ostatnie, zapomniane kopie zaginionych tekstów wciąż mogą gdzieś czekać na odkrycie.

– Jestem przekonana, że wśród tych wszystkich fragmentów ukrytych w oprawach innych książek czy biskupich mitrach znajdą się teksty, których nie znamy – przekonuje dr Kapitan. – Dzieła, które dziś są uważane za zaginione. To mogą być dwa zdania wyrwane z większego tekstu, ale zawsze poszerzą naszą wiedzę o przeszłości i korzeniach naszej kultury.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

POLSKIE SŁUŻBY DZIAŁAJĄ POZA KONTROLĄ

FUNDACJA PANOPTYKON

Nikt ci nie powie, kiedy będą cię podglądać.
Pomóż to zmienić: wejdź na **niktciniepowie.org** i przekaż 1% podatku (**KRS: 0000327613**)

MIEJSCA POBYTU

KONRAD GÓRA, POETA:

Jeździłem z wózkiem i zbierałem złom. Dziennie zawsze dało się zarobić czterdzieści złotych. Ale dostałem Poetycką Nagrodę Silesius i już tyle nie muszę. Chyba że znajdę miedź.

URSZULA HONEK: Nadal pomieszkujesz w lesie?

KONRAD GÓRA: Robię to regularnie. Tylko że teraz prowadzę bardziej stacjonarny tryb życia, ale kiedyś naprawdę się rzucałem w las. Czekam na wiosnę, już się z kimś umówiłem na przejścia. Połowę 2012 roku spędziłem w lesie, bo przyszło mi do głowy, że w okresie piłkarskiego euro będzie mniej ludzi. Ale nie chodziłem do lasu rozrywkowo, chodziłem sprzątać przestrzeń ze zbędnych konstrukcji.

Co to znaczy?

A znasz takie krzyżówkowe hasło? Łączy kościół i łowiectwo. Sześć liter, pierwsza a, ostatnia a. No i nie chciałem mieć towarzystwa w tych okolicznościach.

Bardziej nie da się podpowiedzieć. Ale też pisałeś wiersze w lesie.

No bo nie można sprzątać całą dobę. Las jest oczyszczający, to było dla mnie istotne doświadczenie.

Poszedłeś nawet do technikum leśnego.

Interesowałem się lasem, a najbardziej chciałem zostać dendrologiem. Tylko że jednocześnie byłem punkiem, trafiłem do szkoły mundurowej i nie chodziłem w tym mundurze, wtedy technika leśne nie podlegały pod ministerstwo edukacji i obowiązywały inne zasady. Było wtedy jeszcze przysposobienie obronne, ale wiele lat później PO zlikwidowało PO. Były dwie lekcje tygodniowo, jedna z nich to przysposobienie teoretyczne, a druga – musztra, bo wszędzie się zakłada, to będzie bardzo ponura dygresja [wywiad został przeprowadzony przed wybuchem wojny rosyjsko-ukraińskiej – przyp. UH], że służby leśne mogą być organizatorami leśnej partyzantki bądź przyszłego jej zwalczania.

Opowiedz lepiej, co można jeść w lesie.

Jadłem liście drzew, np. liście lipy w dużej ilości, dawałem sobie do sałatek, zapiekałem. Jadłem też liście klonu. Są bardzo przyjemne momenty od czerwca do września – a wrzesień jest najprzyjemniejszy ze wszystkich – kiedy jest mnóstwo owoców, i wtedy wszystko jest proste. Tak naprawdę do lasu trzeba zabrać tylko mąkę, powinno się ze sobą nosić wodę i jeszcze olej, bo bez niego zostaje tylko pieczenie albo gotowanie. Ślinię się na myśl, że mógłbym już tam pojechać, trzy kilometry ode mnie jest młoda buczyna, a teraz jest pora jedzenia liści buka, i na początku marca.

Wychodziłeś w ogóle z tego lasu?

Po wodę, zdobyć podstawowe uproszczone żarcie, nie kupowałem nigdy np. soli, tylko jakąś przyprawę z solą. Jak się dało, to piłem sok z brzozy. Klon ma bardzo słodki sok, on cieknie kroplami, przynajmniej te, które nacinałem. Choć to nacinanie drzew jest dla mnie problematyczne. Z brzozy – przy zachowaniu jej zdrowia – można spuścić dwadzieścia litrów i to nie jest tak, że przesadzi się z transfuzją, bo po prostu przestanie ciec. I tyle. Ona pozostanie może tylko lekko kruchsza. Jeżeli człowiek potrzebuje wody, to ta jest najczystsza, ale dostępna praktycznie tylko w marcu.

Noce?

Pierwsze są dla każdego niedoświadczonego człowieka traumatyczne, bo drzewa w nocy się rozkurczają i trzeszczą. Wydaje się, że zaraz padną.

Ale to tylko ten lęk? Czy przed czymś jeszcze?

Od dzieciństwa chodziłem do lasu. Od trzynastego roku życia spałem w lasach, w ambonach, więc nie ma we mnie lęku. Na początku były to wędrówki w promieniu paru kilometrów i podczas jednej z nich, bo się fascynowałem wtedy jeszcze łowiectwem, nagle je znienawidziłem. Wtedy jeszcze wolno było stawiać ↦

KONRAD GÓRA (ur. 1978) jest poetą. Wydał m.in. „Requiem dla Saddama Husajna i inne wiersze dla ubogich duchem" (2008), „Nie" (2016), „Kalendarz majów" (2019), za który otrzymał Nagrodę Poetycką Silesius. Ostatnio opublikował „Dzień został w nocy. Wiersze miłości i z nienawiści" (2021). Współzałożyciel i redaktor wydawnictwa papierwdole. Założyciel grupy Z głodu, która zajmuje się redystrybucją jedzenia. Mieszka między Wrocławiem, Pragą a niewiadomym.

MACIEJ BIELAWSKI

↦ ambony prywatne i myśliwi to robili. Zamykali je na kłódkę i stawiali w nich wygodny fotel, kładli dywan.

Dałoby się w tym żyć?

Kiedyś wszedłem do takiej ambony przez okno i wybiłem od tyłu drewniane drzwi, regularnie przychodziłem tam spać. Pewnego razu obudziłem się dość wcześnie, usiadłem na fotelu i przeleciała czapla siwa, to dosyć rzadki gatunek. Była tak blisko, że słyszałem jej świst i pierwszy raz czułem zapach mokrych ptasich piór, przeleciała może piętnaście metrów ode mnie. Gdyby tam siedział myśliwy, toby ją zdjął bez trudu, jeżeli nie byłby ślepcem. Wtedy naprawdę znienawidziłem ich środowisko i to był ostatni dzień tej ambony, a przecież bardzo ją lubiłem.

Jesteś zaangażowany w wiele spraw. W wierszach rekonstruujesz tragedie ubogich i marginalizowanych ludzi. Pamiętasz, od czego i kiedy się zaczęło?

W dziewięćdziesiątym siódmym. W Oleśnicy była fabryka mebli, pracował w niej mój ojciec. Czwartego września pojechał rano do roboty i wrócił siwy. Oni często zamieniali się w brygadzie dniówkami, fabryka była na pierwszym piętrze, a na parterze był skład waty do wypełniania łóżek. I zapaliła się ta wata, płonie do 3500 stopni Celsjusza, zginęło sześciu ludzi, jedno ciało znaleziono w kanapie, gość próbował się tam schować. Inny zginął na klatce schodowej. Kumpel naraił mu tę robotę kilka tygodni wcześniej, był świeżo po ślubie. Załoga się z niego śmiała, że żona mu robi kanapki z chlebem, biedni byli, ale smarowała mu je pasztetem szczodrze i to wyglądało jak kromka chleba w chlebie. On ich próbował ratować, ale zasłabł. Napisałem o tym zdarzeniu w wierszu „W fabryce" [z tomu „Requiem dla Saddama Husajna i inne wiersze dla ubogich duchem" – przyp. UH].

Co robiłeś tego dnia?

Nie poszedłem do szkoły, tylko do biblioteki, pracowali tam moi znajomi, i spytałem, czy pomagamy po pożarze. Powiedzieli, że nie ma tam nic do roboty, ale mogę posprzątać strych ze starych kukieł. Jedną z nich dowlokłem na teren fabryki i powiesiłem na kasztanie. Przyjechała policja, traktowano to jako groźbę śmierci dla właściciela zakładu, a był nim Belg, który został oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci. Gdy Polska przystąpiła do europejskiego nakazu aresztowania, to dokładnie w tym momencie przedawnił mu się zarzut.

Dobrze znasz pracę fizyczną. Dalej jeździsz z wózkiem i zbierasz złom?

Tylko jak znajduję miedź. Ale dostałem Poetycką Nagrodę Silesius i już tyle nie muszę.

Głód jest dla mnie podstawowym uczuciem, jak wolność dla anarchisty. Przeciwstawieniem głodu jest sytość. Nie istnieje coś takiego jak konieczna sytość, ale istnieje konieczne uznanie głodu.

Ale przed nagrodą chyba często jeździłeś i sprzedawałeś. Da się na tym zarobić?

No jeździłem. Dziennie na złomie zawsze dało się zarobić czterdzieści złotych. I tak będzie zawsze.

Dużo się trzeba napracować?

W ch... To nie jest zależne od ceny złomu, bo jeśli złom jest drogi, to go nie ma. Jeżdżąc samochodem można wyciągnąć sto złotych dziennie, ale pojawia się pytanie, ile dało się za benzynę. We dwie osoby jeżdżąc samochodem zarabia się mniej więcej po pięćdziesiąt złotych. Można w ten sposób żyć na przeczekanie czegoś, ale nie da się z tego żyć na serio.

Długo tak żyłeś?

Przez wszystkie lata skłoterskie. Na skłocie stał wózek, więc brałem go, jeździłem po śmietnikach, zbierałem złom, a wracając zbierałem drewno z wdzięczności za możliwość korzystania z wózka. I tak się toczyło.

Chyba masz zbieractwo we krwi – widać po tym domu.

Co prawda nigdy nie byłem się zdiagnozować, ale najpewniej mam zespół Diogenesa. Ludzie mający ten syndrom słabo o siebie dbają i ulegają nałogowemu zbieractwu. Może ci się nie wydawać, ale tutaj jest dzisiaj posprzątane. Miałem tu w ch... kartonów, nie wyrzucam za bardzo rzeczy. A wiesz, skąd to zbieranie reklamówek czy kartonów wśród ludzi z tym syndromem? Oni ciągle przygotowują się do podróży, są pozbawieni poczucia pewności co do miejsca pobytu, no i np. mają – tak jak ja – mieszkanie zaj...ane płaskimi kartonami, do których tak naprawdę nic się nie da spakować.

Ale teraz wynajmujesz mieszkanie, prowadzisz ciekawie zapowiadające się wydawnictwo papierwdole. Czujesz ulgę, że nie musisz jeździć za złomem i masz swoje miejsce?

Dla mnie lepiej. Po kilku latach niezdejmowania plecaka wylądowałem w Warszawie, wracałem z Litwy. Monika Błaszczak zaproponowała, że pójdziemy na miasto, nie miałem nic do zbierania, w dodatku przywiozłem cały plecak, nie pamiętam czego, ale to raczej nie były rzeczy kupowane. Zostawiłem u niej plecak i poszliśmy do knajpy, przez godzinę czy dwie sprawdzałem, czy mam go ze sobą. Co jakiś czas przypominałem sobie jednak, że nie muszę go nosić, po prostu pierwszy raz od wielu lat spędziłem dzień bez plecaka. Często rano wychodziłem sprzedać to, co zdobyłem, i po chwili znowu był pełny.

Obok problemu marginalizowania biedy wielkim tematem w Twojej poezji jest głód. Byłeś kiedyś głodny?

Nie, nigdy nie byłem głodny ani zmarznięty. Ja po prostu nie jestem człowiekiem. Jestem tylko tymi uczuciami. To oczywiście było sarkastyczne. Wszystko jest tu (*puka się w czoło*).

Ale czemu tyle uwagi poświęcasz głodowi?

Bo jest dla mnie takim uczuciem jak wolność dla anarchisty. Przeciwstawieniem głodu jest sytość. Nie istnieje coś takiego jak konieczna sytość, istnieje coś takiego jak konieczne uznanie głodu. I to się nigdy nie skończy. Głód jest uczuciem płytkim, tak samo jak chłód.

Czyli nie ma w Tobie żadnego głodu?

Jeżeli nie ma, to jestem martwy. A może jestem martwy? Nie wiem. Nie zauważyłem żadnych ruchów owadów w moją stronę, ale to może dlatego, że wciąż jest

Jak powinien dobiegać głos poety

W latach zerowych
tego spazmatycznego,
kurczliwego wieku
strachu i bredni
gdzieś w Szwajcarii
był skłot
całkiem precyzyjnie
wtopiony w piękną,
obrośniętą psim winem
kamienicę: i kiedy ktoś
dokładnie się mu
przyjrzał, to dostrzegał
zwisające między łozami
dwa cieniutkie kabelki,
na końcu których skromnie
skrzyły się dwie
łyżeczki deserowe.
Po ich zetknięciu
piętro wyżej zamykał się
dwunastowoltowy obieg
elektryczny, w który
wpojony był żołnierzyk
na baterię (dobosz
Gwardii Watykańskiej
w stroju przed-
napoleońskim)
maszerujący i bijący
w mikroskopijny bębenek.
Jeśli nikt go nie powstrzymał,
po trzydziestu centymetrach
wykładał się jak długi
na świńsko podłożonym
prożku, nabitym na stałe
obłupku z kostki
od polskiej palety,
bo wszystkie palety
były z Polski, wprost
na włącznik od złodziejki,
zamykając tym samym
dwustutrzydziestowoltowy
obieg elektryczny, do którego
kolejne piętro wyżej
podłączono
odkurzacz starego typu
wydychającą stroną
dmący w trąbkę.

Tak powinien dobiegać głos poety.

Wiersz pochodzi z tomu „Dzień został w nocy. Wiersze miłości i z nienawiści", który miał wyjść w formie artbuka z elementami zielnika (wszystkie wzmiankowane w tomie rośliny użytkowe miały być prezentowane jako susz), a w końcu ukazał się jako książka nakładem wydawnictwa papierwdole, niedługo po zbiorach żywokostu.

zima. A ptaki już śpiewają, wczoraj mnie to zaskoczyło. W Pradze to jest niesamowite, że jest zima, a ptaki śpiewają, bo po tamtej stronie Sudetów są gatunki ptaków, których tu zimą nie ma. Jest im zimno, ale tam siedzą, przelatują po prostu na drugą stronę gór i śpiewają w środku zimy, to jest zupełnie obce uczucie.

Wykonujesz jednak konkretne działania, żeby ludzie nie byli głodni. Działasz np. w grupie Jedzenie Zamiast Bomb.

Od wielu lat jestem organizatorem Jedzenia Zamiast Bomb, ale teraz mam ludzi, którzy pociągnęli tę akcję. Dwadzieścia lat jeździłem na targ, w niektóre lata sam, i gotowałem dla ludzi. Zwoływałem kierowców, zabierałem rzeczy z targu od rolników i hurtowników, a potem oddawałem je ludziom. Tych grup załatwiających i dystrybuujących jedzenie we Wrocławiu jest kilka, ale w pandemii zakazano rozdawania żywności na ulicy i zakazano lodówek społecznych, a ludzie rozdający jedzenie zostali trochę bez tego zajęcia hobbystycznego, czyli karmienia ludzi, bo nikt za to nie dostaje pieniędzy. I wtedy stworzyłem grupę Z głodu, która jest mutacją Jedzenia Zamiast Bomb.

Jak Ci to przyszło do głowy?

Pojechałem do siebie do lasu, w gumiakach, a był zakaz wchodzenia do lasu, więc było cicho i przyjemnie. Usiadłem oparty o zwalone drzewo i zobaczyłem podagrycznik, a dobrze wiesz, że w wiejskich sklepach jest bardzo mało roślin i warzyw, więc pomyślałem, że zaraz zerwę go na grzanki. Leżałem w tym podagryczniku, zrywałem sobie pojedyncze rośliny, jadłem je jak krowa i wtedy wymyśliłem, że napiszę do tych wszystkich ludzi i założę grupę Z głodu, bo prościej się to nie może nazywać. Wtedy naprawdę sobie roiłem, że trzeba będzie ludziom przywozić jedzenie z lasów i łąk, bo wszystko je...nie.

I co dokładnie wymyśliłeś?

Co prawda zakazano – a było tak na początku pandemii – umieszczać jedzenie w lodówkach społecznych i rozdawać posiłki na ulicach, ale nie było tam wzmianki o tym, że nie można rozdawać surowych warzyw i owoców. Popatrzyłem na to jak na dziurę w zapisie i tak założyłem grupę, do której dzisiaj formalnie należy dwa tysiące osób. To się już nawet dzieje bardziej beze mnie niż ze mną.

W jaki sposób działacie?

Wbijamy raz w tygodniu na duży targ rolny we Wrocławiu oraz do kilku innych miejsc zaopatrzeniowych, zabieramy od rolników ↦

↦ i hurtowników spady. Czasami to jest tak, że zostaje pół palety towaru, który może by się i sprzedał, ale trzeba przyjąć nowiutki towar, który na pewno klient kupi. W ten sposób nie wystawia się w sklepach pół palety podrudziałej rzodkiewki, bo trzeba wstawić paletę ładniutkiej. No i ludzie z grupy przyjeżdżają i odbierają ten towar, a następnie rozdają.

Dużo można zdobyć w ten sposób jedzenia?

Z targu wywozimy dwa lub trzy busy tygodniowo, ale moglibyśmy wywozić dwa razy więcej. Teraz próbujemy uzyskać lokal, bo tam, gdzie teraz rozdajemy, to tak po prostu – z ziemi, z bruku. Gdybyśmy go zdobyli, to wygospodarowalibyśmy magazyn, wtedy można segregować, przestalibyśmy rozdawać jedzenie w dniu zwozu. Chcemy zostać fundacją, bo przecież jest nowa ustawa o niemarnowaniu żywności, moglibyśmy podpisywać z różnymi sklepami umowy o spady. Teraz wygląda to tak, że wbijamy się na tyły różnych marketów, np. tych, które mają owada w nazwie, i człowiek pakuje jedzenie do plecaka albo bagażnika samochodu. Może przyjść ochroniarz, który każe wyciągnąć wszystko z powrotem i opuścić teren. Według prawa każdy ochroniarz ma prawo zażądać od ciebie opuszczenia terenu, bo prosić może każdy każdego o wszystko. Może zatem poprosić o wypakowanie bagażnika czy plecaka, natomiast nie ma prawa do tego zmuszać. Ktokolwiek w Polsce zabiera rzeczy ze śmietnika, okrada operatora tego śmietnika, czyli gminę.

A zastanawiasz się czasami, kogo właściwie karmisz?

Nieraz mieliśmy o to konflikty w Jedzeniu Zamiast Bomb i wtedy pytałem ludzi, czy jak rzucają kaczkom chleb, to zastanawiają się nad ich charakterem. To samo mówiłem babciom, które nas krytykowały za karmienie pijaków. Pytałem, czy rozpoznają charakter gołębi, które karmią. Mówiłem na nie Food not Bombs Animalistki. To się działo równolegle. W dupie mam argument wychowawców czy kapitalistów, że karmienie zwierząt to jest coś innego niż karmienie ludzi. Karmię, bo mamy dostęp do nadmiaru jedzenia. To jest wyjaśnienie, które upraszcza. A nową grupę nazwałem Z głodu po to, żeby nie musieć odpowiadać na pytanie „czemu?”.

Czy jak ludzie rzucają kaczkom chleb, to zastanawiają się nad ich charakterem?
Pytałem babcie krytykujące nas za karmienie pijaków:
czy rozpoznają charakter gołębi, które karmią?

Ale zapisałeś w wierszu „chciałem zabić, a karmiłem”.

To był mocny test na własną konsekwencję. Ten typ chyba już nie żyje, choć nie jestem tego pewien. Jedzenie Zamiast Bomb jest niehierarchiczne, ślubowaliśmy, że nie rozstrzyga się przyczyn, dla których ktoś miałby być karmiony. Trafił się pedofil, który zresztą został rozpoznany przez rodzinę przychodzącą do nas po jedzenie. On wykorzystał dziecko w jakiejś spółdzielni socjalnej, zgłosił się tam na wolontariat. Chłopiec był niemową. Karmiliśmy zatem także jego niemą ofiarę. Ta historia była wstrząsająca. Wyobraź sobie, że on kiedyś przyszedł na zebranie pewnego kolektywu, z którym się nie lubiłem, bo uważałem ich za socjaldemokratów, i zaproponował im postulat placu zabaw. Pamiętam, że jak wchodziłem do parku z wózkiem ciągniętym za sobą, to nagle było mi ciężej, bo ten typ się kładł na tym wózku, że niby pcha i mi pomaga. Wtedy zawsze z kolejki wychodziło parę osób, szczególnie z więzienną przeszłością, bo nie chciano jeść rzeczy przez niego dotkniętych.

Mając tę wiedzę nie chcieliście go wykluczyć?

Musieliśmy postanowić, że albo łamiemy zasadę niewykluczania nikogo, albo ogłaszamy, że nie jesteśmy Jedzeniem Zamiast Bomb, albo musimy wymyślić coś jeszcze innego. No i wymyśliliśmy, że będziemy karmić go osobno. Pewnego dnia jednak wyrzuciliśmy go, bo zaczął wchodzić do kuchni, a tam nie miał wstępu. Miał taki dziwaczny rower z jakimiś dodatkami typu trąbki, cały był obwieszony reklamówkami i dziwactwami. Zobaczyliśmy, jak znika i zaraz później znów się pojawia w oknie na tym rowerze goniony i obrzucany kamieniami przez dzieci.

Wszystkie opowiedziane teraz historie, ale również te w wierszach, żywią się intensywnością. Tego szukasz w literaturze?

Mój kuzyn eksperymentował z fotografią i zrobił sobie wywoływacz dostępnymi metodami. Przychodziłem do niego, a on wywoływał te zdjęcia. To było niesamowite, wiesz, wkładasz do płynu zdjęcie i ono ci się pokazuje. No ale po dwudziestym czy trzydziestym razie to już nie było takie niezwykłe i zacząłem się tam nudzić. Wszystko było skąpane w czerwonym świetle, wziąłem książkę, która robiła tam chyba za blokadę okna, a to była antologia poezji polskiej Urbankowskiego. Popatrzyłem na spis treści i znalazłem Wojaczka, trochę go już czytałem, ale tam było wpisane w biogramie ’45-’71. No to zaczęło mnie to jeszcze bardziej ciekawić i tak naprawdę pierwsza intensywna lektura Wojaczka, a to zostaje na całe życie, była w świetle czerwonej żarówki, linijka po linijce, pamiętam, jak mi ślina w gębie zastygła. A drugi raz tak w życiu miałem, gdy poszliśmy na ognisko nad stawy u nas we wsi, w trzech, i kuzynka przywiozła mi, bo ją o to poprosiłem, „Mury Hebronu” Stasiuka i one mi tam wypadły z ręki w trakcie czytania, w świetle ogniska, tak byłem roztrzęsiony. To są moje pierwsze przygody z czytaniem literatury i rzeczy, które mnie ukształtowały.

A śmierć? Tyle jej w Twoich wierszach: ludzkiej i zwierzęcej. Dużo jej widziałeś?

Kiedyś liczyłem. Dwa trupy znalazłem na śmietnikach, we wsi znalazłem swojego dziadka, w Pradze umierał i w końcu umarł mój kolega. Widziałem niedawno martwego borsuka pod moją wsią, mijałem go przez tydzień autobusem, dzwoniłem do sanepidu, w pandemii mieli zupełnie inne zajęcia. Zadzwoniłem do nadleśnictwa, powiedzieli mi, że jak nie leży w lesie, to mają to w dupie. Sam tam pojechałem i go zakopałem, wróciłem przy okazji z gałęziami do domu.

Boisz się śmierci?

Nie. To nie jest dobra odpowiedź, to jest zła odpowiedź.

© Rozmawiała URSZULA HONEK

Klip „Kyiv Calling" zespołu Beton

YOUTUBE X2

Zemfira w teledysku „Nie strielajcie"

Spis przyzwoitych

PIOTR KOSIEWSKI

Wojna wymusiła na artystkach i artystach z Ukrainy i Rosji wejście w nowe role. Nie wszyscy wybrali dobrze, ale wielu można pochwalić.

W 2017 r. Serhij Żadan, jeden z najwybitniejszych pisarzy ukraińskich, wydał powieść „Internat" – jej akcja rozgrywa się w mieście, w którym toczy się wojna. Miasta nie nazwał, ale nietrudno się domyślić, że to ogarnięty chaosem Donieck. I to właśnie Żadanowi, jak nikomu innemu, udało się oddać w literaturze funkcjonowanie Ukraińców w stanie nieustannego zagrożenia (przypomnijmy: agresja Rosji zaczęła się już osiem lat temu). W wierszu sprzed kilku lat pisał: „Trzy lata rozmawiamy o wojnie. / Nauczyliśmy się mówić o własnej przyszłości wliczając wojnę. / Nauczyliśmy się budować swoje plany ze względu na wojnę".

Żadan pozostał w atakowanym przez Rosjan Charkowie. Relacjonuje stamtąd bombardowania, opór, ludzkie tragedie. Stał się kronikarzem miasta w stanie oblężenia, ale cały czas stara się też pomagać.

W Użhorodzie wsparcie dla uchodźców organizuje Andrij Lubka, jeden z najciekawszych pisarzy młodego pokolenia w Ukrainie. Wśród pomagających we Lwowie jest Pawło Kowacz, artysta z Open Group, jednego z najważniejszych zjawisk ukraińskiej sztuki ostatniej dekady. Do obrony terytorialnej wstąpili m.in. lider zespołu rockowego Okean Elzy Swiatosław Wakarczuk oraz Bohdan Hryńko i Ołeh Hula z postpunkowej grupy Beton. Należący również do tej grupy Andrij Żołob, lekarz, opiekuje się w szpitalu ofiarami walk. Głośna, także poza Ukrainą, stała się nagrana przez Beton piosenka „Kyiv Calling" – przygotowana za zgodą żyjących muzyków zespołu The Clash wersja legendarnego utworu „London Calling", w którym wzywają do wsparcia Ukrainy.

Wojna wymusiła na ukraińskich artystkach i artystach wejście w nowe role. Wykorzystanie swych umiejętności do dyskusji o walce, obronie, odwadze i poświęceniu, ale też o traumie, ostrzeliwaniach i śmierci. Przestrzeń kultury, także popularnej, stała się jeszcze jedną płaszczyzną oporu wobec Rosji.

Teatry i sale kinowe są dziś schronieniem przed atakami lub miejscem życia dla uchodźców. Trwają starania o ocalenie ukraińskich bibliotek, galerii i muzeów. Wiele instytucji, także prywatnych, próbuje zachować ciągłość funkcjonowania. Bo – jak ogłosili po przeniesieniu się do Lwowa prowadzący Ya Gallery, jedną z najciekawszych prywatnych galerii sztuki w Ukrainie – „kraj musi działać nawet podczas wojny. Musimy wspierać gospodarkę naszego państwa". Dodali, że mają nadzieję na szybki powrót do Kijowa.

Wsparcie

Rosyjska agresja spotkała się z reakcją świata kultury. Nie tylko potępiano działania Putina i wyrażano poparcie dla Ukrainy (Madonna w zamieszczonym na Instagramie antywojennym wideo utożsamiła Putina z Hitlerem), ale organizowano zbiórki i przekazywano darowizny. Często spektakularne, jak ta od Stevena Spielberga i Kate Capshaw: milion dolarów na pomoc humanitarną (pieniądze trafią m.in. do Polskiej Akcji Humanitarnej), albo zbiórka zainicjowana przez Milę Kunis i Ashtona Kutchera, która przyniosła ponad 34 mln dolarów.

Marina Abramović, jedna z pierwszych artystek, która głośno zaprotestowała przeciwko wojnie, zorganizowała w Nowym Jorku aukcję. Zwycięzcy wezmą udział w odtworzeniu historycznego performansu artystki z 2010 r. „The Artist is Present", jednego z najsłynniejszych wydarzeń w sztuce ostatnich dekad (środki zostaną przeznaczone na sprzęt medyczny). 30 marca w barcelońskim Liceu, jednym z ważniejszych teatrów operowych na świecie, odbędzie się koncert na rzecz Ukrainy z udziałem legendarnego już Jordiego Savalla. W programie znalazły się „IX Symfonia" Ludwiga van Beethovena oraz „Da pacem Domine" Arvo Pärta dedykowana pamięci ofiar zamachu terrorystycznego na madryckim dworcu Atocha w 2004 r.

Imponująca jest też skala zaangażowania ludzi i instytucji kultury w Polsce. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie udostępniło swoją przestrzeń biurową na Pańskiej kolektywowi Blyzkist (ukr. Bliskość) i innym chętnym do pomocy uchodźcom – powstał Solidarny Dom Kultury „Słonecznik", dostarczający nieprzerwanie żywność na dworce kolejowe i do punktów recepcyjnych. W siedzibie Biennale Warszawa schronienie znalazły osoby nieukraińskiego pochodzenia, które w Ukrainie studiowały albo mieszkały. Związek Artystów ↦

Scen Polskich udostępnił uchodźcom Dom Pracy Twórczej w podwarszawskim Skolimowie, a Stowarzyszenie Autorów ZAiKS wszystkie swoje domy pracy twórczej. W warszawskiej Zachęcie zorganizowano miejsce spotkań i zabaw Słoń/Слон zapewniające opiekę dla dzieci z Ukrainy. Podobne świetlice powstały w Muzeum Sztuki w Łodzi czy lubelskiej galerii Labirynt.

Ponad 1,4 mln zł przyniosły dwie aukcje zorganizowane przez DESA Unicum – kwotę przekazano Fundacji Ocalenie. Ważne są też mniej spektakularne działania, jak zainicjowana przez Stowarzyszenie Arbuz aukcja „Sztuka bez granic dla Ukrainy" czy licytacja fotografii, z której dochód wspiera działania Polskiej Akcji Medycznej w Ukrainie.

Jednak już dziś, obok bezpośredniego wsparcia, coraz ważniejsza staje się długofalowa pomoc twórczyniom i twórcom – studia, stypendia, staże, pobyty rezydencjalne. Niemal w całej Europie pojawiają się oferty dla osób z Ukrainy. I już trzeba myśleć o programach pomocy po zakończeniu działań wojennych, zarówno indywidualnych, jak i odbudowy infrastruktury kultury. Tym bardziej że niemal każdego dnia przychodzą informacje o kolejnych zniszczeniach.

Zerwanie

Z każdym dniem wojny coraz ważniejsze stawało się pytanie o obecność w Rosji i współpracę z jej instytucjami kultury. Swoje koncerty w tym kraju odwołali m.in. Green Day i wokalista niemieckiej grupy Rammstein Till Lindemann. Festiwal filmowy w Cannes ogłosił, że nie umieści w tegorocznej edycji delegacji z Rosji, a Europejska Akademia Filmowa wykluczyła rosyjskie filmy z rozdania Europejskich Nagród Filmowych.

Nowojorska Metropolitan Opera zrezygnowała z zaplanowanej od dawna z Teatrem Bolszoj koprodukcji „Lohengrina" Richarda Wagnera, a londyńska Royal Opera House odwołała gościnne występy tego moskiewskiego teatru. Ceniona przez Władimira Putina sopranistka Anna Netrebko sama zrezygnowała z europejskich koncertów. Nie wystąpi również w „Turandocie" Giacoma Pucciniego w Metropolitan Opera.

Europejskie instytucje zrezygnowały ze współpracy z innym ulubieńcem Putina, dyrygentem Walerym Giergiewem. Zwolniono go też ze stanowiska

TEATRO ALLA SCALA / AFP / EAST NEWS

Anna Netrebko w operze „Makbet" Giuseppe Verdiego, Teatro alla Scala, Mediolan, listopad 2021 r.

Przeciwnicy bojkotu rosyjskich twórców nie chcą lub nie potrafią zauważyć, że kultura może mieć polityczny wymiar. I że nie chodzi o sam przekaz dzieł, lecz o ich symboliczną wartość.

głównego dyrygenta filharmonii monachijskiej. Decyzja ta wywołała w Niemczech spór o granice wolności wypowiedzi – Giergiew, mimo nalegań, nie potępił agresji Rosji. Jak skomentował sprawę rosyjsko-niemiecki pianista Igor Levit, „bycie muzykiem nie zwalnia z bycia obywatelem i brania odpowiedzialności".

Zrywana jest współpraca muzealna. Petersburski Ermitaż zażądał natychmiastowego zwrotu obiektów wypożyczonych muzeom włoskim, m.in. na wystawę Tycjana i malarstwa weneckiego w mediolańskim Palazzo Reale. Londyńska National Gallery już teraz zrezygnowała z wypożyczenia „Świętej Rodziny" Rafaela na zaplanowaną jesienią wielką wystawę tego artysty. Współpracę z Ermitażem zerwała jego filia w Amsterdamie i natychmiast zamknęła otwartą pod koniec stycznia tego roku wystawę „Russische Avant-garde. Revolution in the Arts". Z kolei oddział włoski, ulokowany w Ferrarze, zawiesił wspólne projekty z Petersburgiem.

Atak na Ukrainę przekreślił tworzony przez lata dorobek rosyjskiej dyplomacji kulturalnej. Rwą się też relacje i sieci powiązań budowane przez oligarchów. Niedawno ogłoszono, że z rady powierniczej Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku odszedł miliarder Władimir Potanin, udziałowiec m.in. spółki Norylski Nikiel, osoba znana w świecie sztuki (w radzie zasiadał od 2002 r.; jego fundacja wraz z innymi prywatnymi kolekcjonerami przekazała niedawno Centrum Pompidou ponad 250 dzieł współczesnej sztuki rosyjskiej).

Obecne postawy artystów i instytucji znacząco różnią się od tych po aneksji Krymu. Można się zastanawiać, czy nie płacimy dziś za ówczesną wyrozumiałość. I tym bardziej ważne staje się pytanie o związki instytucji kultury na całym świecie nie tylko z publicznymi instytucjami z Rosji, ale także z tamtejszymi oligarchami, stanowiącymi część rosyjskiego systemu władzy.

Wobec własnego państwa

Na atak na Ukrainę zareagowano też w samej Rosji. Część ludzi kultury i instytucji zaprotestowała przeciwko agresji, chociaż nie obyło się bez skandalicznych wypowiedzi, jak pianisty Borisa Bieriezowskiego, który zaproponował, by przestać się cackać z mieszkańcami Kijowa, „domknąć oblężenie i po prostu odciąć ich od energii".

Jelena Kowalska zrezygnowała z kierowania Centrum im. Wsiewołoda Meyerholda, jednej z najważniejszych moskiewskich scen teatralnych. Odszedł Władimir Opredelenow, wieloletni dyrektor stołecznego Muzeum im. Puszkina, słynnego m.in. ze wspaniałych zbiorów zachodnioeuropejskiej sztuki XIX i początku XX w. Znaczącym gestem było wycofanie się Kiriła Sawczenkowa i Aleksandra Sucharewa oraz kuratora Raimundasa Malašauskasa z udziału w tegorocznym Biennale Sztuki w Wenecji. Sawczenkow, urodzony w Rosji, mieszkający i pracujący w Moskwie, napisał na Instagramie: „Nie ma miejsca na sztukę, gdy cywile giną pod ostrzałem pocisków, gdy obywatele Ukrainy ukrywają się w schronach, gdy Rosjanie protestujący są uciszani". Na tej najbardziej prestiżowej imprezie świata sztuki, z ogromną publicz-

nością (poprzednią edycję obejrzało niemalże 600 tys. osób), rosyjski pawilon będzie zamknięty.

Artyści protestują też poprzez twórczość. Reprezentantka alternatywnego rocka Zemfira opublikowała teledysk do piosenki „Nie strielajtie" z obrazami niszczonych ukraińskich miast. Zespół Shortparis wraz z chórem weteranów nagrał nową wersję piosenki „Jabłonnyj sad" o wymowie antywojennej – klip do niej kończy scena kopania grobu. Niezwykle popularny w Rosji raper Oxxxymiron nie tylko odwołał swoje koncerty, ale też nagrał protestacyjne wideo.

Inni emigrują. Na coraz dłuższej liście tych, którzy wyjechali, są m.in. reżyser nagradzanych filmów „Bliskość" i „Wysoka dziewczyna" Kantemir Bałagow, redaktor naczelny kwartalnika „Sztuka Filmowa" Anton Dolin czy Olga Smirnowa, primabalerina Teatru Bolszoj.

Bojkot

Zrywanie współpracy z instytucjami, wycofywanie rosyjskich kompozytorów, pisarzy czy kompozytorów z programów – wszystko to wywołało spór o bojkot rosyjskiej kultury. Niektórzy, podobnie jak po aneksji Krymu, powtarzają: „to nie Rosjanie, to Putin", „Rosja to nie Kreml", „Rosja to wielka kultura, nie wolno jej odrzucać" (słowo „wielka" nieustannie się pojawia). Paulo Coelho ogłosił nawet: „Kryzys na Ukrainie jest wygodną wymówką dla rusofobii". W Polsce można było przeczytać m.in. uwagi Hieronima Grali, historyka i byłego dyrektora Instytutu Polskiego w Petersburgu, a następnie w Moskwie, o quasi-krucjacie „wymierzonej nie w reżym Putina i nie w zbrodniczą machinę polityczną, ale w rosyjską kulturę i naukę".

Do znanych argumentów o wielkości Puszkina, Czajkowskiego czy Dostojewskiego doszedł nowy: że bojkot uderza w artystki i artystów, którzy krytykują wojnę. Ale przecież ich protest traktuje się niekiedy jako swoiste „rozgrzeszenie" Rosji i tamtejszego społeczeństwa (zamiast proponować im pomoc). Także wbrew ich własnym słowom – chociażby 25-letniego rapera Face, który odwołał koncerty w Rosji i wyjechał. A na pytanie, kogo należy winić za obecną wojnę, odpowiedział: „Mnie, całą inteligencję, wszystkie głosy pokolenia, wszystkich muzyków. Za to, że każdy z nas nie był wystarczająco odważny. Za to, że mogliśmy zrobić więcej, ale baliśmy się lub byliśmy leniwi. Za zbyt późne uświadomienie sobie, jak wygląda rzeczywistość".

Przeciwnicy bojkotu nie chcą lub nie potrafią zauważyć, że kultura może mieć polityczny wymiar i nie chodzi jedynie o przekaz samych dzieł, ale także o ich symboliczną wartość. Nieprzypadkowo od dawna mówi się o dyplomacji kulturalnej. Co więcej, już od kilku dekad zwraca się uwagę na znaczenie *soft power*, miękkiej siły państw, która pozwala politycznie oddziaływać i zdobywać wpływy dzięki atrakcyjności m.in. własnej kultury. Jak pisał twórca tego terminu Joseph Nye, „kraje, które uprawomocnią swą siłę wokół innych, napotykają mniej oporu wobec swoich życzeń".

Rosja wykorzystywała w tym celu przede wszystkim kulturę dawnych lat. Teatry Bolszoj czy Maryjski, Ermitaż, Muzeum Puszkina i Galeria Tretiakowska były sprawnymi narzędziami rosyjskiej dyplomacji i budowania pozytywnego wizerunku Rosji.

Co więcej, obecnie, jak piszą w apelu do międzynarodowej społeczności członkowie ukraińskiego Pen Clubu, „dla totalitarnego reżimu rosyjskiego kultura jest także narzędziem wpływu i propagandy, przykrywką dla masowych zbrodni wojennych na Ukrainie. Dziś, w imię »rosyjskiego pokoju« w Ukrainie, rosyjscy zbrodniarze wojenni mordują cywilów, bombardują szpitale, szkoły, teatry, biblioteki, niszczą kulturę ukraińską i kulturę wszystkich innych społeczności narodowych żyjących w Ukrainie".

Odpowiedzią na działania Rosji nie powinien być lament nad bojkotem jej kultury, lecz poznawanie dorobku kultury ukraińskiej. W Polsce już dawno doceniono twórczość Jurija Andruchowycza, Andrija Kurkowa (prezesa ukraińskiego Pen Clubu, piszącego po rosyjsku), Oksany Zabużko czy Serhija Żadana. W najważniejszych polskich galeriach są prezentowane prace Nikity Kadana, Żanny Kadyrowej czy Mykoły Rydnego. Występowała raperka Alyona Alyona, odkrycie muzyczne ostatnich lat. To jednak wciąż za mało! © PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA

Kraków
JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

MISTERIA PASCHALIA

festiwal muzyki dawnej
early music festival
12—18.04.22

powrót do źródeł
back to the sources

Martyna Pastuszka
Leonardo García Alarcón
Lionel Meunier
Agnieszka Budzińska-Bennett
{oh!} Orkiestra Historyczna
Cappella Mediterranea
Vox Luminis XL
Chór Polskiego Radia

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

kbf: PLAY KRAKÓW

Co było, co mogło być

JAN BŁASZCZAK

Dla słuchaczy muzyki Wojciecha Rusina nie liczy się, czy jest autentyczna. Ważniejsze, że zadaje pytanie: co to w ogóle znaczy?

ELLEN WILKINSON / ARCHIWUM PRYWATNE

Wojciech Rusin, styczeń 2022 r. Na stronie obok: wykonane przez niego instrumenty.

Na wydanym właśnie albumie „Syphon" słychać muzykę dawną, ale odwołującą się do tradycji, których być może nie było. Słychać folk grany na instrumentach wydrukowanych w 3D. W czasach, kiedy tak wielu artystów studiuje stare traktaty i na ich podstawie ożywia imponującą muzykę mistrzów doby średniowiecza czy renesansu, Wojciech Rusin woli spekulować sam. Bardziej niż konkretne melodie czy brzmienia interesują go nasze skojarzenia, które im towarzyszą.

Stara się rzucić nowe światło na nasze relacje z muzycznym kanonem. Z tym, co już uznane, sprawdzone. Chętnie odwołuje się przy tym do świata architektury. Kiedy myśli o swoim procesie twórczym, do głowy przychodzi mu Giovanni Battista Piranesi – XVIII-wieczny architekt i rysownik, który nie tylko dokumentował, ale też poprawiał antyczne ruiny. – Jestem zafascynowany ideą klasycyzmu. Jego mitem uniwersalnego kanonu. Fascynuje mnie to, że ludzie stawiają sobie kolumny w łazience albo na werandzie. Jest w tym wyraźna potrzeba zakotwiczenia w przeszłości i uniwersalności. Próba zniesienia czasu.

O tej fascynacji świadczy nie tylko muzyka Rusina, ale też okładka albumu i materiały wizualne towarzyszące jego twórczości. W teledysku do motetu „Speculum Veritatis" bezręką Wenus z Milo obserwujemy na tle płonącej tesli. Na poziomie dźwiękowym utwory czerpiące garściami z muzyki dawnej płynnie przechodzą w elektroniczną awangardę. Rusin jest z wykształcenia grafikiem, specjalistą od designu. Z doświadczenia – kompozytorem muzyki teatralnej, za sprawą której rozwijał umiejętność pisania muzyki opartej na elektronicznych szelestach, stukotach i świstach.

Sam przyznaje, że podobnego zaplecza brakuje mu w kontakcie z muzyką dawną. Po tym świecie porusza się przede wszystkim wiedziony intuicją. Ta najwyraźniej go nie zawodzi, skoro jego ostatnie dwa albumy zdążyły się wyprzedać, a zawarte na nich kompozycje można usłyszeć na antenie BBC.

Dwuznaczności i niedookreślenia

Choć sam Rusin traktuje historię w sposób umowny, warto przytoczyć kilka faktów z biografii kompozytora. Wyemigrował z Polski w 2004 r. Początkowo trafił do Bristolu, gdzie mieszkali jego znajomi i który wydawał mu się kuszący ze względu na słynną triphopową scenę, która dała światu Portishead i Massive Attack. W Wielkiej Brytanii podjął studia graficzne i szybko zaczął pracę w zawodzie.

W tym czasie próbował już swoich sił jako kompozytor. Grywał przede wszystkim dla siebie, występując niekiedy z elektroniczno-punkowym programem wzbogaconym wizualizacjami. Na jednym z takich występów pojawili się pracownicy teatru – klienta agencji, w której pracował wówczas Rusin. Choć Polak był w niej zatrudniony na stanowisku grafika, dostał propozycję, by tym razem przygotować muzykę do spektaklu.

– Od tego momentu grafika została zepchnięta do poziomu pojedynczych, ilustracyjnych prac – wspomina. – Angażowałem się natomiast w coraz większe spektakle, kolejne teatry wciągały mnie do współpracy. Mogłem skończyć z koszmarną pracą od 9 do 17.

Pisał do spektakli teatralnych, wystaw, słuchowisk i instalacji. Jego muzykę słychać chociażby w nagradzanej produkcji teatru Common Wealth „No Guts, No Heart, No Glory", którego bohaterkami są nastoletnie muzułmanki uprawiające boks. Szczególnie istotne okazało się zaproszenie na festiwal Radiophrenia – dwutygodniowe wydarzenie

poświęcone sztuce radia. Rusina poproszono o przygotowanie audycji tudzież słuchowiska o bardzo otwartej, artystycznej formie. W rezultacie powstał utwór odnoszący się do muzyki dawnej, alchemii i okultyzmu, a także do wizyt kompozytora w walijskiej hucie żelaza.

– Szkocka wytwórnia Akashic Records zaproponowała, żeby ten program wydać, najpierw na kasecie, a potem na płycie – wspomina artysta. – Nagle, przez zupełny przypadek, zrodził się pewien styl. Słychać w nim moje doświadczenia teatralne zestawione z prostymi smyczkowymi aranżami. Interesowało mnie zderzenie industrialnej muzyki z taką wziętą z muzyki filmowej kliszą.

Ten rzadko eksploatowany kontrast zrodził wspaniałe napięcia, które słychać na albumie „The Funnel" z 2019 r. Rusin wspomina, że pracując nad nim, pierwszy raz w życiu miał do dyspozycji swoje studio nagrań, co pozwoliło mu eksperymentować z brzmieniem, a nawet budować instrumenty. W opisie albumu można przeczytać, że jest to „kameralna muzyka konkretna dla dziwującego się XXI-wiecznego trubadura". Co oznacza mniej więcej tyle, że nikomu nie zależało, by prezentowaną na nim muzykę przybliżać, podawać na nią stylistyczne współrzędne. Nic z tych rzeczy.

Już wówczas zamiast klarować i odpowiadać na pytania, wolał mącić i zadawać pytania. Jedno z nich dotyczyło kwestii autentyzmu w muzyce, bo przecież sięgał po dźwięki smyczków z generowanych cyfrowo tak zwanych banków sampli. – Czy instrumenty samplowane są autentyczne, czy prawdziwa jest tylko orkiestra? I jakie to ma znaczenie, skoro nie usłyszysz różnicy? – zastanawia się Rusin. – Mieszanie syntetycznego świata z organicznym jest dla mnie ciekawe z tego powodu, że daje przestrzeń na dwuznaczności i niedookreślenia. Granice się przesuwają i nagle nie wiesz, gdzie jesteś.

Choć na następną płytę Rusin zaprosił instrumentalistów, pytań nie ubyło, a wątpliwości tylko wzrosły.

Historia, której nie było

Prace nad albumem „Syphon" zbiegły się z pracą dyplomową, którą Rusin przygotowywał na londyńskim uniwersytecie Goldsmiths. Choć Polak studiował na Wydziale Sztuki Dźwięku, jego badania mocno wiązały się z własnymi doświadczeniami na polu designu. Jego wystawa była poświęcona spekulatywnemu folkowi z regionu Karpat. W tym celu za pomocą drukarek 3D artysta stworzył instrumenty, na których rzekomo opierała się muzyka tradycyjna tego regionu. Wystawie towarzyszyła publikacja, w której tłumaczył swoje niezbyt ortodoksyjne podejście do faktów i historii. Jedną z czołowych postaci, na które się powoływał, była irlandzka artystka Jennifer Walshe, profesor kompozycji na Uniwersytecie w Oksfordzie. Jej utwory nierzadko mają charakter społeczno-politycznego komentarza.

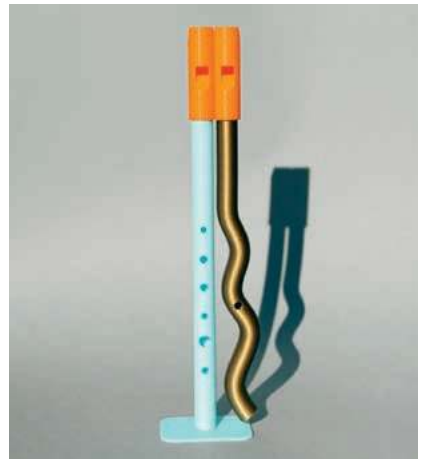

MATERIAŁY PRASOWE

Bronze Wobbly

MATERIAŁY PRASOWE

Chocolate zigzag

Muzyczne horyzonty i spektrum zainteresowań Walshe są tak szerokie, że w 2007 r. postanowiła zawiązać eksperymentalny kolektyw Grúpat. Zrzeszał on twórców i twórczynie tworzących poezję dźwiękową i realizujących nagrania terenowe. Łączyło ich zakorzenienie w lokalności oraz fakt, że każde z nich stanowiło *alter ego* Walshe.

– Z artystycznego punktu widzenia Grúpat okazało się niezwykle wyzwalające – wspomina kompozytorka. – Kiedy rozpoczynałam prace nad tym projektem, byłam, na dobre czy na złe, ukształtowaną artystką. Stworzenie tych wszystkich person dało mi nagle ogromną przestrzeń do eksperymentowania „pod przykrywką". Wszystkim rekomendowałabym takie ćwiczenie.

Po kilku latach komponowania i wystawiania prac pod różnymi nazwiskami Walshe postanowiła pójść krok dalej w artystycznej mistyfikacji. W 2014 r. z przytupem otworzyła Aisteach – archiwum śledzące losy irlandzkiej awangardy. Nie powinno być zaskoczeniem, że wszystkie publikowane tam materiały były sfingowane. Ale Walshe wspięła się na wyżyny swoich umiejętności w zacieraniu śladów.

By uwiarygodnić Aisteach, artystka napisała alternatywną historię sztuki irlandzkiej, solidnie osadzając ją w realiach historycznych i ekonomicznych. Dla przykładu liderzy narodowego dadaizmu byli na co dzień pracownikami Guinnessa, ponieważ na tle innych fabryk w kraju browar wyróżniał się zdecydowanie swoją propracowniczą postawą. W przeciwieństwie do innych ówczesnych zakładów mieli oni dość czasu, by po godzinach rozwijać swoje hobby. Przynajmniej w teorii.

Jako źródła inspiracji dla Aisteach Walshe wymienia przede wszystkim literaturę. Zainteresowanych tematyką *alter ego* twórców spekulatywnej fikcji, do których zalicza Flanna O'Briena, Jorge Luisa Borgesa, Roberta Bolaño, Fernando Pessoę i Stanisława Lema. Tym, co pchnęło kompozytorkę w stronę instytucji archiwum, było natomiast nowe życie muzyki w sieci. Wysyp ogólnodostępnych internetowych baz i archiwów pozwalających na błyskawiczne dotarcie do twórczości, o której jeszcze przed momentem nie mieliśmy pojęcia. Ten trend nie tylko zainspirował Walshe, ale także sprawił, że istnienie nieznanego nikomu zbioru irlandzkiej muzyki awangardowej wydawało się w zasadzie oczywiste. Przy czym Aisteach nie było tylko formalnym żartem.

– Czułam, że historycznie wielu eksperymentujących artystów nie mogło nigdy zrealizować swoich pomysłów czy projektów – tłumaczy Walshe. – Warunki życia w Irlandii były trudne: bieda, brytyjska okupacja, kontrola wielu aspektów życia społecznego przez Kościół. Pomimo to irlandzcy artyści, ↦

↦ muzycy, pisarze tworzyli. Niektóre ich dzieła przetrwały, dotarły do odbiorców, by dziś inspirować i dawać radość. Mnie jednak szczególnie interesowały utwory, które mogły, mogłyby i powinny były powstać.

Walshe, powołując do życia m.in. zastępy kompozytorek z przeszłości, nie tylko rzuca światło na jednostki i grupy społeczne, którym historycy nie poświęcają zwykle wiele uwagi. Ona powołuje do życia te, które nie mogły zaistnieć: – Ideą towarzyszącą Aisteach było przepisanie przeszłości w takim celu, aby zwiększyć szansę zaistnienia przyszłości, w której chciałabym żyć.

Folgowanie z folkiem

Właśnie przez pryzmat pomysłów Walshe należy przysłuchiwać się twórczości Rusina. Polski kompozytor przyznaje, że w swoich projektach artystycznych celowo dezorientuje odbiorcę. Niezależnie od tego, czy materiałem, po który sięga, jest brytyjska muzyka renesansowa, czy karpacki folklor.

– Na wystawie zaproponowałem kopie instrumentów rzekomo opartych na średniowiecznych rycinach, których zdjęcia odnajdywałem w książkach bądź je fałszowałem – przyznaje kompozytor. – Drukowałem jakieś fujary pochodzące z terenów dzisiejszej Słowacji, na czym w Wielkiej Brytanii niewiele osób się zna, więc mogłem tu sobie pofolgować. Nie określam jednak tego, czym się zajmuję, mianem „polskiego folkloru" czy „słowiańskiej muzyki tradycyjnej". Wyobrażam sobie natomiast, że ktoś może tak o tym myśleć.

W podobny sposób można analizować relację albumu „Syphon" z muzycznym kanonem. Ten zestaw utworów raz odzywa się klasycznym sopranem, by za chwilę zabrzmieć z folkową manierą lub skręcić w stronę abstrakcyjnej elektroniki. Rusin niczym Piranesi sięga po artefakty z przeszłości. I tak jak on nie ogranicza się jedynie do ich prezentacji. Projektuje przeszłość dla innej przyszłości.

© JAN BŁASZCZAK

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE

Justyna Święs jako Alicja w filmie „Piosenki o miłości", 2021 r.

Impreza zamknięta

ANITA PIOTROWSKA

„Piosenki o miłości" wygrały na festiwalu w Gdyni konkurs filmów mikrobudżetowych. Luźno rozpięte między melodramatem a musicalem, przy paru uzupełnieniach i drobnych przeróbkach tworzą materiał na iście hollywoodzki scenariusz.

Generalnie więcej mówi o mnie to, czego nie zrobiłem, niż to, co zrobiłem" – słyszymy z ust Roberta, zagranego przez Tomasza Włosoka. Słowa te brzmią jak stereotypowy manifest milenialsów, ludzi pełnych wybujałych oczekiwań i bez końca przebierających w ofertach. Ale świetny debiut Tomasza Habowskiego jest o czymś innym.

„Piosenki o miłości", historia aspirującego muzyka i domorosłej piosenkarki, osadzona na tle współczesnej „warszawki", to fascynujące studium młodego pokolenia korumpowanego przez ojców. Schemat niby znamy: ona jest kelnerką z prowincji, on synem znanego stołecznego aktora; ona myśli o swoim śpiewaniu bezkompromisowo i dlatego może nigdy się nie przebić, on jest gotów na różne ustępstwa. Ktoś w pewnym momencie zacznie na kimś żerować, ktoś kogoś oszuka, a jeszcze pojawi się między nimi miłosna chemia – na przekór różnicom społecznym i osobowościowym. Robert pod presją ojca próbuje dostosować się do panujących w branży muzycznej reguł, podczas gdy dla Alicji (w tej roli Justyna Święs, wokalistka elektro-

-popowej grupy The Dumplings) nie istnieją żadne domy mediowe, chwytliwe wizerunki czy dyktatura clickbaitów. Czyli to wszystko, co rządzi dzisiejszym show-biznesem, pokazanym w filmie krytycznie, acz bez zjadliwości i raczej szkicowo.

Najważniejsi bowiem są oni – para, jaka mogłaby stać się zaczątkiem współczesnej „Trędowatej". Polskie kino raczej niechętnie przygląda się takim mezaliansom (jeden „Hejter" wiosny nie czyni). A przecież różnice w kapitale społeczno-ekonomiczno-kulturowym to coś, co na każdym kroku daje się we znaki dzisiejszym dwudziestoparolatkom przybyłym do wielkiego miasta bez odpowiedniego zaplecza. W „Piosenkach o miłości" przepaści te uosabia ojciec Roberta, grany przez Andrzeja Grabowskiego.

Już w pierwszej scenie przy urodzinowym stole oglądamy wcielenie życiowego sukcesu. A zarazem patriarchę zapatrzonego w siebie, domowego terrorystę i snoba zakochanego w rosyjskich poetach. Syna traktuje jak nieudacznika – zwłaszcza że sam, zanim stał się artystą na miarę Tadeusza Łomnickiego (gwiazdorzy właśnie w spektaklu „Ja, Feuerbach"), zdążył sporo nachałturzyć. Toteż drażni go wieczna niegotowość i pasywność Roberta, choć jednocześnie podsyca ją na każdym kroku manifestując swoją ojcowską władzę, oczywiście przebraną za troskę. Psychoanalityk nazwałby to symboliczną kastracją.

Habowski, który jest również scenarzystą filmu, w prostych scenkach i w utworach napisanych przez siebie do muzyki Kamila „Holdena" Kryszaka kreśli obraz pasji i ambicji toczących ze sobą odwieczną walkę. Jak przystało na kameralne kino, czarno-białe zdjęcia Weroniki Bilskiej operują głównie zbliżeniami, stąd „Piosenki o miłości" to przede wszystkim aktorskie solówki i duety, zwłaszcza w wykonaniu Włosoka, Święs i Grabowskiego (w rozmaitych konfiguracjach). Jedynie wtedy, kiedy Robert filmuje Alicję smartfonem, przez chwilę pojawia się na ekranie kolor – wyznacznik prawdziwej między nimi intymności i jego zachwytu jej talentem. Znikają wtedy na moment brutalne konteksty filmu, w którym naiwny idealizm musi zderzyć się z wyrachowaniem i cynicznym realizmem.

Dzięki dwójce młodych aktorów i delikatnemu rysunkowi postaci nie są one czarno-białe. Alicja bywa nieśmiałą dziewczyną z Piotrkowa Trybunalskiego, a równocześnie młodą kobietą pełną godności osobistej i uparcie broniącą swoich racji. Robert przy swym konformizmie i zdolnościach do manipulacji pozostaje także ofiarą: zakładnikiem swego ojca, towarzystwa, układów. Oboje nie wierzą we własne siły, lecz każde z nich, pod wpływem różnych czynników zewnętrznych, wyraża tę niemoc inaczej i w coś odmiennego ją przekuwa.

Dla niej „niskie" urodzenie (jakkolwiek to brzmi w dzisiejszych czasach) stanowi przeszkodę w wokalnej karierze, bo musi po prostu zarabiać na życie. Tymczasem on, urodzony w przysłowiowym czepku, zderza się z zupełnie inną ścianą. Bo niezależność w „Piosenkach o miłości" niejedno ma imię. Wreszcie: on zdaje się mieć większy tupet, ale to jej głos w trakcie tej znajomości wybrzmi głębiej.

Fabuła nie rości sobie pretensji do pokoleniowej diagnozy – zwłaszcza że warszawskie otoczenie Roberta to w dużej mierze beneficjenci wysokiej pozycji rodziców, ochoczo podążający ich śladem (patrz: siostra bohatera odtwarzana przez Patrycję Volny), albo gotowi na wszystko, przebojowi aspiranci. Jednak silne naznaczenie głównego wątku Alicji i Roberta przez dominującą ojcowską figurę ustawia wymowę tej historii. Habowski pokazuje, jak demoralizująca może być nadmierna rodzicielska opieka. Sugeruje, iż w takich przypadkach dopiero swoiste „ojcobójstwo" mogłoby przełamać transakcyjny model, jaki od pokoleń rządzi owym światem, również intymnymi relacjami.

Opowiada o tym ściszonym, pełnym melancholii głosem. Stąd jego film ma w sobie wdzięk, który kojarzy się z nowojorskim kinem niezależnym spod znaku wczesnego Noah Baumbacha. Cierpko-romantycznym tonem i jazzującymi klimatami przypomina też naszych „Niewinnych czarodziejów" (i znów kłania się Łomnicki). Ma się przy tym wrażenie, jakby to ona, dziewczyna z piotrkowskiego blokowiska, wyśpiewywała nam ten film. A właściwie nuciła go sobie pod nosem, sprzątając knajpiane stoły czy wyrzucając śmieci po zamkniętych imprezach. ©

PIOSENKI O MIŁOŚCI
reż. Tomasz Habowski. Prod. Polska 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Titane

SF/thriller, reż. Julie Ducournau, Francja/Belgia 2021, Nowe Horyzonty VoD, od 1 IV

Transhumanizm, transpłciowość, filmowy trans – okazuje się, że można zmieszać najbardziej transgresyjne pomysły, żeby ostatecznie wygłosić pochwałę rodziny. Oto kino, które szokuje i odrzuca, by jednocześnie roztkliwiać i skłaniać do refleksji nad tym, dokąd zmierza ten świat, a my razem z nim. Złota Palma na ostatnim festiwalu w Cannes.

2. Kobiety walczą z Putinem

Dokumentalny, reż. Sarah Collinson, Wielka Brytania/ /Rosja/Ukraina 2021, Viaplay

Wioletta Grudina, Irina Fatjanowa i Luiza Stein to trzy opozycjonistki, które próbują przeciwstawiać się putinowskiej władzy. Dwie pierwsze były związane politycznie z Aleksiejem Nawalnym, trzecia należy do kolektywu Pussy Riot. A ceną w tej walce może być coś więcej niż wolność. Film kręcony był w przededniu wyborów parlamentarnych 2021 roku i zdobył nagrodę BAFTA.

3. Lamb

Horror, reż. Valdimar Jóhannsson, Islandia/ /Polska/Szwecja 2021, VoD

Małżeństwo po stracie dziecka zaszywa się na odległej farmie i zajmuje się wypasem owiec. Pewnego dnia zostają rodzicami dziwacznego stworzenia. Pośród islandzkich pejzaży, w cieniu lokalnych wierzeń rozgrywa się dramat, w którym ludzka pycha spotyka się z gwałtowną reakcją świata zwierzęcego. Jedną z głównych ról gra Noomi Rapace.

4. Wszystko jest iluminacją

Komediodramat, reż. Liev Schreiber, USA 2005, iTunes Store, Rakuten

Czekając na letnie koncerty Gogol Bordello w Polsce, można przypomnieć sobie film, w którym zagrał m.in. Eugene Hütz – lider nowojorskiej grupy, urodzony pod Kijowem. A jest to nieco zwariowana opowieść o młodym Żydzie z USA (Elijah Wood), który wyrusza do Ukrainy, żeby odnaleźć kobietę, która podczas II wojny światowej uratowała jego dziadka.

JAN

Klata: *Poważny zawód*

Najwybitniejszym światowym przywódcą ostatnich tygodni jawi się oczywiście Viktor Orbán. Węgierski mąż stanu (roztropwny i rezolutny, stonowany i wyważony, zapobiegliwy i przebiegły) poczuł się dotknięty i ogólnie niesmacznie wywołany do tablicy przez, no, po prostu niepanującego nad sobą nierozsądnego pajaca z sąsiedniego kraju. Scysja na szczycie UE miała miejsce już kilka dobrych dób temu, ale dożywotni węgierski premier przeżył zawód, po którym wciąż jeszcze nie może ochłonąć. Jak Zełenski śmiał mu wypomnieć brak reakcji na ludobójstwo?

Na szczęście poważny węgierski przywódca dał na antenie węgierskiego radia upust swojemu zniesmaczeniu poziomem międzynarodowej debaty: „Jestem prawnikiem żyjącym z wiedzy, którą zgromadziłem w świecie prawa. A Zełenski jest aktorem, pracuje z wiedzą, którą zgromadził jako aktor".

I pozamiatane. Orbán zaorał komika. Absolwent prawa – to brzmi dumnie, budzi kojący respekt i zaprawdę praworządnie prawowierne zaufanie, wlewa w przestraszone wojenną zawieruchą serce prawdziwą otuchę. Rządy prawników rządami prawa, nieprawdaż? Rządy prawników czy rządy komików – co powinni wybrać obywatele? Co budzi większe zaufanie?

Odpowiedź jest jasna... a śpiewka znajoma. Suflowana z Moskwy, rządzonej przez absolwenta wydziału prawa, niejakiego Władimira Władimirowicza. Być może warto wspomnieć, że inny Włodzimierz, Włodzimierz Ilicz – również studiował, a nawet skończył prawo. I Miedwiediew też prawnik. Wszyscy żyją (lub żyli) z wiedzy zgromadzonej w świecie prawa, nie z grania na cymbałkach czy innych wygłupów w lateksie *à la* komik Zełenski. „Wiedza, którą zgromadził jako aktor?" – ha, ha, ha. Śmiej się, pajacu. Co to za praca, co to za wykształcenie?

Jest tylko jedno małe „ale" – istna drobnostka w porównaniu z całą resztą wynikających z pychy i niewiedzy błędów popełnionych przez Putina i jego węgierskiego totumfackiego. Tak, Wołodymyr Zełenski ukończył studia prawnicze. Nic to nie zmienia, ale Orbána ośmiesza. ©

Lektor: *Tłumacz, czyli przewodnik*

▪ *Ireneusz Kania*
DŁUG METAFIZYCZNY. ESEJE I ROZMOWY
Wybór tekstów i posłowie: Dariusz Czaja. Wydawnictwo Pasaże, Kraków 2022, ss. 352, seria „Tempus fugit".

W miniony piątek Ireneusz Kania odebrał w Krakowie Nagrodę im. Kazimierza Wyki. Przyznaną jak najsłuszniej, choć na pozór niełatwo znaleźć punkty łączące patrona nagrody z jej tegorocznym laureatem. Na pozór, bo jeden punkt jest oczywisty: obaj to humaniści najwyższej próby, traktujący kulturę jako spójną całość, umiejący czytać równie wnikliwie rozmaite jej dziedziny i piętra. W posłowiu Dariusz Czaja zauważa: „Powiedzmy sobie szczerze – Ireneusz Kania nie powinien istnieć w przyrodzie. A jednak istnieje. Jest wybrykiem natury, błędem w systemie, wyłomem w taksonomii". Oczywiście podziwiamy jego poliglotyzm, pamiętajmy jednak, co Władysław Konopczyński napisał o królu Michale Korybucie Wiśniowieckim – że znał osiem języków, ale w żadnym z nich nie miał nic ciekawego do powiedzenia. W przypadku Ireneusza Kani chodzi przecież nie tylko o samą znajomość ponad dwudziestu języków z kilku rodzin (choć we mnie na przykład budzi ona podziw zabobonny), ale o to, że tłumacząc z portugalskiego, rumuńskiego, nowogreckiego, hebrajskiego, sanskrytu czy tybetańskiego, równocześnie z wnikliwą precyzją, ale też wyczuwalnym zaangażowaniem emocjonalnym wprowadza nas w inne kultury. „Kania od lat pracuje w języku – pisze Czaja – w wielu językach. To jest jego naturalny żywioł i znak rozpoznawczy. (...) Dla niego język nie jest celem, ale środkiem do celu. Jego pragnienie tłumaczenia wielu tekstów wzięło się nie tylko z niekłamanej miłości do konkretnego języka (...), ale z pragnienia, żeby poprzez język poznać świat, do którego on prowadzi. Język, z którego się tłumaczy, staje się tu wehikułem nowej wizji rzeczywistości, pozwala znaleźć się w przestrzeni mentalnej całkiem innej, niż sugeruje język, na który się tłumaczy". Działalność translatorska zyskuje wymiar duchowy, „pełni funkcję ocalającą, jest nieustającą pracą nad sklejaniem rozbitego lustra".

Olbrzymi dorobek Ireneusza Kani tworzą przede wszystkim przekłady. Sam pisze rzadko, za to znakomicie. „Dług metafizyczny" to nie tylko autokomentarz translatora, ale też świadectwo kilku (spośród wielu) jego szczególnych fascynacji – buddyzmem, kabałą, „pieśnią portugalskiego losu", czyli fado jako specyficznym gatunkiem muzycznym. No i fragmenty jego dziennika lektur. Książka gęsta, do której się wraca. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Masz gringo placek

Trzydzieści pięć złotych wystarczy, byście się poczuli jak prezydent Stanów Zjednoczonych. No i jeszcze koszt dostawy, a ten może być niebagatelny, jeśli mieszkacie daleko od Rzeszowa, bo to na obrzeżach tego miasta dzielni wojacy amerykańscy ugościli swojego *commander-in-chief* zamówionym w sąsiedniej wsi plackiem. Nie przypuszczam, żeby współcześni piarowcy nawet w Pentagonie mieli za sobą krzepiącą lekturę „Wojny galijskiej", ale ten topos bliskiego żołnierzom Cezara, który „milcząc zabaw nie zabrania", wrósł w naszą kulturę tak głęboko, że wódz jedzący z kotła z szeregowcami to oczywista oczywistość każdej takiej wizyty na dowolnym froncie. Cezar gotów był nawet pić z podwładnymi piwo, co oznaczało nie lada poświęcenie – znany rzymski dziejopis i znawca obyczajów Germanii określał je jako „ciecz uzyskaną z jęczmienia i pszenicy podobną do zepsutego wina". Opis ten, bądźmy szczerzy, do dziś pozostaje adekwatny.

Czy Bidenowi smakował posiłek dowieziony z pizzerii Gusto w Głogowie Małopolskim, tego się nie dowiemy. Uważna lektura recenzji w internecie (czyli taka, która stara się odłowić realne opinie spośród wpisów przypadkowych trolli i kłamstw złośliwej konkurencji) sugeruje, że lokal robi dobre ciasto, ale ma stale kłopoty z jakością składników. Dla agentów Secret Service ważna była jednak tylko toksykologia, a nie to, czy ser ma wiórowatą konsystencję, a szynka się zeschła.

Na udostępnionych prasie zdjęciach Biden trzyma w palcach trójkątny klin, a następnie zręcznie dokonuje akrobacji znanej każdemu, kto trzymał karton z pizzą na kolanach, siedząc na parkowej ławce: odchyla głowę, by odgryźć kawałek i się nie upaprać. Tysiąc esejów o odmienności amerykańskiej kultury politycznej nie powie tyle, co ten obrazek. Tylko tam bowiem politycy umieją tak bez ceregieli przybić piątkę i zachować się przez chwilę jak zwyczajny człowiek – chociaż to wszystko tylko łagodna odmiana populizmu na użytek sondaży. Łatwo znaleźć w sieci filmiki np. z wizyty Obamy w fast foodzie – nie wiem dokładnie, na czym to polega, ale mowa ciała, sposób, w jaki poruszał się z tacą, sugerowały, że codziennie najzwyczajniej w świecie staje on sobie w kolejce do stołówki i odnosi brudne naczynia do okienka. To jest tak doskonałe, że nawet nie chce się apelować do naszych: „uczcie się od nich". Seriale i filmy mogą tolerować złe aktorstwo, w polityce skutkuje tylko najlepsza gra i całkiem przezroczyste kłamstwo.

Smak był zatem w tej scenie mało istotny w porównaniu z wymiarem symbolicznym. Tu jednak ktoś nie zadbał do końca o szczegóły, bo pizza nazywała się „Gringo". Autorom menu chodziło, jak przypuszczam, o meksykańskie skojarzenie z zawartą w recepturze papryczką jalapeño. Tak czy owak, słowo to pozostaje w uszach każdego anglojęzycznego mieszkańca USA obraźliwe, pełne nienawiści, analogicznie do naszego teraz wszechobecnego „kacapa" na określenie Rosjanina.

Polskie nazewnictwo pizzeryjne (jeśli wybaczycie koślawy neologizm) to pasja i obiekt studiów mniej na pewno groźny dla żołądka niż terenowe badania nad ich smakiem. W tej samej pizzerii z Głogowa, oprócz margherity czy capricciosy, jest też pizza „Umberto". Jedyne skojarzenie, jakie przychodzi mi do głowy, to imię włoskiego króla, a zwłaszcza nazwana na jego cześć seria sławnych pancerników. Bardzo pancernych i nieruchawych. Ser, kurczak, kukurydza, ananas – tak, to z pewnością pasuje.

Nie naśmiewam się z kombinacji smakowych, jakim poddali Polacy pizzę. Uważne, nieironiczne badanie nad tym, co się stało w procesie przyswajania z tym multikulturowym plackiem, powie nam dużo o głębokich mechanizmach rodzimego smaku. I mam nadzieję, że takie doktoraty z etnografii już gdzieś się piszą. Skoro coś komuś smakuje, to ostatni bym się z tego śmiał. Ale nazwy... Zbieram je pracowicie, niczym znaczki surrealistycznej poczty do klasera. Niektóre wywrotowe, depczą tabu i obalają trony – jak ta „carbonara" z sosem pomidorowym i kurczakiem. Inne budzą dyskusje trwające dłużej niż posiłek – w pewnym rzeszowskim lokalu „Marcello" ma tuńczyka, cebulę i oliwki... Czy Mastroianni zagrał kiedyś rybaka? Inne zaś, jak przystało na porządną poezję, dają dostęp do paradoksów ziemskiej miłości. Spotkałem kiedyś pizzę „Amore" z tuńczykiem, pieczarkami i cebulą. Otóż przejście o krok wyżej, do „Edenu", wiązało się w tym lokalu z dodaniem czosnku. Warianty z ostrymi składnikami często mają „latynoskie" nazwy. Prezydent Biden miał i tak szczęście z tym gringo, w moich bowiem zbiorach znacznie częściej pizza z papryczką to po prostu „Desperado". ©℗

JACEK TARAN

Własna fizjologia smaku odstręcza mnie od rzeczy bardzo ostrych i mam słabe w nich rozeznanie. Jeśli chcecie przeczytać kompendium głębokiej wiedzy o papryczkach, odszukajcie w archiwum „TP" tekst Michała Kuźmińskiego „Strzał rozkoszy". Czasami tylko – wychodząc z założenia, że jeśli coś ma mnie sparzyć, niech będzie dobrej jakości – robię domową pastę ze świeżych papryczek. Na ogół są to raczej małe czerwone chili. Procedura jest pracochłonna, ale prosta: po umyciu ok. ćwierć kilo papryczek zakładamy rękawiczki, starannie odcinamy szypułkę, rozkrajamy, usuwamy nasionka i kładziemy w jednej warstwie obok siebie na tacę, na której leży czysta serweta posypana solą. Po ułożeniu wszystkich sypiemy znów obficie solą i przykrywamy czystą serwetą. Po dwóch dniach papryczki powinny już być ładnie odwodnione. Usuwamy pędzelkiem sól z każdej, miksujemy z dodatkiem ząbka czosnku i takiej ilości oliwy, by uzyskać gładki krem.

ZMYSŁY

DWA TEATRY

Z jednej strony naga klata, mata, strzelba i martwe tygrysy. Z drugiej – człowiek, który całym sobą mówi: „jestem taki jak wy". I nawet prezydent Macron chce się za niego przebrać.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Pisanie o wojnie w kategoriach widowiskowych czy wprost teatralnych ma ogromną tradycję. Od początku historii wzajemnemu zabijaniu się dla osiągnięcia celów politycznych nadawano kształt wyrazistego gestu, pamiętnej sceny, narzucających się obrazów, przesłaniających realność śmierci i cierpienia, ale i żywiących się nimi. Nie przez przypadek w wojskowości używa się terminów „teatr wojenny" i „teatr działań wojennych".

Agresja Rosji na Ukrainę przekształciła właśnie ten kraj w TDW (wojskowi uwielbiają takie skróty). Jest to też wojna, w której niezwykle intensywna, nieprzerwana wręcz walka na przedstawienia wydaje się niemal równie ważna jak działania militarne. Oczywiście strony toczące wojny od wieków wykorzystywały dostępne w danym czasie media do tworzenia przedstawień mających przekonać o słuszności ich racji, nadających wzniosłe i szlachetne znaczenia działaniom wynikającym z walki o całkiem przyziemne interesy, napędzanym przez żądzę mordu i gwałtu.

W przypadku wojny w Ukrainie zupełnie nowym elementem jest technologiczna łatwość i powszechność dostępu do narzędzi tworzenia przedstawień dających się szybko i w skali globalnej rozpowszechniać. To pierwszy tak duży konflikt transmitowany nie przez telewizję, ale za pośrednictwem mediów społecznościowych. Ich rozproszony przekaz, który daje możliwość bycia blisko wydarzeń, sprawia, że przedstawienia wojny nabierają znamion niekwestionowalnej bezpośredniości. Mówiąc w skrócie – oglądamy „na własne oczy" wojenne tragedie, czasem wręcz sceny walk, ostrzeliwania cywilów, bombardowań. Zapewne przesadą byłoby stwierdzenie, że ta wojna przekazywana nam jest w całości na żywo, równolegle z setek źródeł, a też i na pewno nie są to źródła w pełni „niezależne". Niemniej jednak po raz pierwszy mamy do czynienia z tak wieloma przedstawieniami docierającymi do nas z głównych scen TDW.

TWITTER / A1 BREAKING

Okolice stadionu Łużniki po wiecu poparcia w 8. rocznicę aneksji Krymu. Moskwa, 21 marca 2022 r.

Ta wielość łączy się z paradoksem mediów społecznościowych polegającym na tym, że właściwe im rozproszenie, mnogość i wielość osłabiają ich siłę rażenia. Wiadomo to od dawna: skoro praktycznie każdy może stworzyć przy ich pomocy własne przedstawienie, wyrazić własną opinię, to pojedyncze wystąpienia nie mają wielkiej mocy. Dopiero ich zebranie w rosnące sumy lajków i subów wytwarza rzeczywistych protagonistów social mediów – influencerów, youtuberów, celebrytów.

Wojna nie zniosła tego paradoksu, ale go wręcz wzmocniła. Media społecznościowe od początku wytwarzają jej bohaterów – od obrońców Wyspy Węży, których odpowiedź na żądanie poddania się stała się hasłem bojowym wszystkich wspierających Ukrainę, po małą Amelkę Anisowicz śpiewającą w schronie piosenkę z disnejowskiej „Krainy lodu". Nie ulega jednak wątpliwości, że najważniejszym protagonistą tej spektakularnej wojny okazał się prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski.

Sługa narodu

Wszyscy już chyba wiedzą, ale na wszelki wypadek powtórzmy: szanowany powszechnie bohater, zanim został politykiem, był odnoszącym sukcesy kabareciarzem, telewizyjnym satyrykiem i celebrytą wygrywającym pierwszą edycję ukraińskiego „Tańca z gwiazdami". Jego polityczna kariera rozpoczęła się od roli w ogromnie popularnym serialu „Sługa narodu", opowiadającym historię nauczyciela, który zostaje prezydentem, bo do sieci trafiło zrobione z ukrycia nagranie, jak bez ogródek, nieparlamentarnymi słowami opisuje sytuację w kraju. To niewiarygodny, choć prawdziwy przykład przejścia sytuacji fikcyjnej w realność politycznych decyzji: Zełenski w teatrze spektakularnej polityki rozegrał scenariusz napisany dla niego wcześniej na potrzeby telewizyjnego show.

Czy da się znaleźć wyrazistszy przykład właściwego Społeczeństwu Spektaklu zatarcia granicy między fikcyjnym widowiskiem a spektaklem rzeczywiście sprawowanej władzy? Wprawdzie już kariera Donalda Trumpa zasadzała się na podobnym mechanizmie, ale Trump jednak był występującym w mediach miliarderem i biznesmenem, z powodzeniem celebrytującym swoją postać, a następnie wykorzystującym medialną popularność do zdobycia władzy. Zełenski zaistniał na scenie politycznej dzięki odgrywanej przez siebie jawnie fikcyjnej roli, w którą nie tyle sam się wcielił, co ona wcieliła się w niego.

Po zdobyciu władzy stanął przed testem swojej realnej sprawczości, rozumianej zarówno jako skuteczność działania, jak i dowiedzenie swojej samodzielności. Paradoksalnie to pierwsze było łatwiejsze, bo energiczne zarządzanie sceną polityczną, na czele z mocnym rozpoczęciem od rozwiązania parlamentu, stanowiło weryfikowalny dowód tego, że Zełenski rządzi. Ale dowiedzenie, czy rządzi sam, czy też – o co często go oskarżano już w kampanii – jest marionetką wspierającego go oligarchy i potentata medialnego Ihora Kołomojskiego, byłoby już o wiele trudniejsze. Wybuch wojny sprawił, że cała ta gra przestała być ważna,

→

↦ a prezydent Zełenski stanął przed zupełnie innym testem.

Patrząc w kategoriach czysto teatralnych trzeba jasno powiedzieć, że przywódca Ukrainy nie ma warunków psychofizycznych na wielkiego bohatera. Nie jest może bardzo niski (170 cm), ale też cała jego fizyczność kojarzy się raczej z sympatycznym chłopcem, może trochę łobuzem, ale na pewno nie żadnym herosem (może z wyjątkiem Spidermana, zwłaszcza w najnowszej wersji Toma Hollanda). Trudno sobie wyobrazić, by – jak jego antagonista – paradował z nagą klatą i strzelbą w ręku, zabijał tygrysy czy pokonywał przeciwników na macie. Ma tak zwany uroczy uśmiech, żywe oczy i giętkie, drobne ciało komika, którym był przez długie lata. I być może właśnie dlatego jego przedstawienie okazało się skuteczniejsze niż imperialny teatr Putina.

Zełenski pokazujący się w wojskowej bluzie czy podkoszulku jest jednym z tych zwykłych ludzi broniących swoich domów, a więc robiących to, co oczywiście też byśmy na ich miejscu zrobili.

Wbrew pozorom doświadczenie kabaretowe nie przeszkodziło, ale właśnie bardzo pomogło prezydentowi Ukrainy w stworzeniu przekonującego przedstawienia wojennego. Jego sukcesy estradowe potwierdzały i zarazem rozwijały talent i umiejętności bezpośredniego, szybkiego oddziaływania na publiczność, błyskawicznego wyczuwania jej oczekiwań.

Zełenski już w latach 90. występował w zespole z powodzeniem biorącym udział w bardzo popularnych w krajach poradzieckich turniejach grup kabaretowych. Znane też w Polsce (choć oczywiście w o wiele mniejszej skali), wymagają one nie tylko poczucia humoru, sprawności językowej, aktorskiej, piosenkarskiej itp., ale także, a nawet przede wszystkim – zdolności improwizacyjnych. Sukces zależy tu nie od umiejętności stworzenia spójnej postaci i równie spójnego przedstawienia ukazującego przekonujący obraz świata, ale od skuteczności w tworzeniu paradoksalnych „oczekiwanych zaskoczeń".

To rzecz pozornie drobna, a niezwykle ważna: słaby kabareciarz to ten, który znając oczekiwania publiczności, odpowiada na nie w stu procentach, tworząc w ten sposób występ zbudowany ze schematów i stereotypów. Może nawet cieszyć się popularnością funkcjonującą według zasady inżyniera Mamonia, że najbardziej podoba nam się to, co świetnie znamy. Ale prawdziwy mistrz kabaretu i estrady wyczuwa jeszcze niesformułowane oczekiwania widzów i w danej sytuacji zaspokaja je, wypowiadając i ucieleśniając, a niekiedy inicjując ich przekroczenie.

Ten talent i ta umiejętność (naprawdę rzadkie) odegrały wielką rolę w tworzeniu postaci Wołodymyra Zełenskiego jako przywódcy walczącego narodu. Czyż nie z kabaretowego turnieju pochodzi jego słynna już odpowiedź na propozycję wywiezienia przez Amerykanów z kraju? Kwestia „Nie potrzebuję podwózki. Potrzebuję amunicji" brzmi jak napisana przez bardzo utalentowanego scenarzystę, sprawnie wykorzystującego kontrast między powagą sytuacji a kolokwialnością języka. Ma lakoniczną celność kabaretowej repliki i jednocześnie ogromną moc memogenną. A przy tym językiem codzienności wypowiada postawę heroicznej walki do końca i – było nie było – przyjęcia na siebie ryzyka śmierci.

W bardzo charakterystyczny i dla Zełenskiego, i dla walczącej Ukrainy sposób wielkie uczucia i wartości wypowiadane są bez patosu i wzniosłości. Zastępuje je kolokwialny język, czasem nawet zadziornie wulgarny (jak w odpowiedzi udzielonej przez żołnierzy z Wyspy Węży rosyjskiemu okrętowi). Ukraińcy oczywiście posługują się też patosem, ale ich walka od początku ukazywana jest jako prowadzona przez zwykłych ludzi, mówiących codziennym językiem i zachowujących się w sposób daleki od oficjalnego.

Dzięki temu nieustannie potwierdza się i utrwala obraz obrońców jako działających w sposób spontaniczny, naturalny, a nie wynikający z określonych funkcji czy profesji. Nawet jeśli – jak prezydent – rzeczywiście je pełnią, to działają przede wszystkim „jako ludzie", co oczywiście sprawia, że widzimy ich jako podobnych do nas. To nie zawodowi żołnierze i politycy bronią Ukrainy, ale „tacy sami zwykli ludzie jak my". Prezydent Zełenski pokazujący się w wojskowej bluzie czy podkoszulku jest jednym z tych zwykłych ludzi broniących swoich domów, a więc robiących to, co oczywiście też byśmy na ich miejscu zrobili. Jego nieheroiczne warunki fizyczne świetnie się w takiej roli sprawdzają, nadając autentyzmu powadze bronionych wartości i funkcji głowy państwa.

Performans guerilla

Drugi kluczowy aspekt prezydenckiego przedstawienia, który wprost został wypowiedziany w słynnej odmowie „podwózki", to bliskość. Zełenski pozostając w Kijowie przyjął pozycję protagonisty, który nie jest samotnym herosem walczącym w imieniu wspólnoty (jak bohaterowie westernów lub... polskiego dramatu romantycznego), ale reprezentantem zbiorowości, z którą pozostaje w ścisłym związku opartym na identyczności sytuacji zagrożenia. Prezydent jest na miejscu, a właściwie na miejscach, bo pojawia się w wielu różnych punktach. Ma oczywiście swój gabinet, z którego wygłasza przemówienia adresowane do rodaków i rozmaitych gremiów międzynarodowych, ale co chwila wrzuca też do sieci filmy i zdjęcia pokazujące go na tle różnych miejsc Kijowa, w otoczeniu obrońców, w szpitalu z rannymi. Nie tworzy więc widowiska umieszczonego na reprezentacyjnej scenie, ale porusza się w sposób nieprzewidywalny, pokazując się to tu, to tam.

Jeśli sięgnąć po analogie teatralne, to przedstawienia prezydenta Ukrainy porównać można do teatru guerilla, teatru „partyzanckiego" popularnego w kręgu amerykańskich twórców i aktywistów lat 60. i 70. Jego zasadą było zacieranie granic między sztuką a rzeczywistością społeczną poprzez tworzenie przedstawień o charakterze happeningów, artystycznie przygotowanych interwencji czy demonstracji. Teatr guerilla odwoływał się chętnie do gatunków estradowych – kabaretu, rewii, ludowych festynów.

Przedstawienia tworzone przez prezydenta Zełenskiego mają podobny charakter, choć oczywiście są zakorzenione bezpośrednio w realności wojny, której on nie musi – jak amerykańscy buntownicy – dopiero swoim widzom uzmysławiać. Z teatrem guerilla łączy je bliskość twórców i odbiorców, a także pewne ubóstwo środków, rezygnacja z widowiskowości i literackości, i znów – z dążenia do zbudowania całościowego obrazu rzeczywistości. Teatr działań wojennych prezydenta Ukrainy posługuje się dramaturgią numerów, istnieje nie jako całościowa reprezentacja, ale jako seria występów o różnym charakterze i tonacji, choć generalnie tej samej wymowie.

Putin chce być jak patriarchalny mąż.
Wspólnota ma się zająć domem-Rosją, wychować dzieci, tak jak mąż tego chce, a on w zamian uśmiechnie się i prześle półnagą fotkę z wyprawy na ryby z kolegami.

Przedstawienia Wołodymyra Zełenskiego mają tymczasem charakter nakłuć, interwencji, reakcji. Nawet jego oficjalne przemówienia jako głowy państwa tracą w swojej wielości cechy oficjalnego stanowiska, a są raczej formułowane i wypowiadane z wnętrza dynamicznie rozwijających się wydarzeń. Prezydent walczącego o przetrwanie państwa nie ma możliwości zachowania dystansu koniecznego do zbudowania „prawdziwego" teatru.

Mąż i bracia

W swojej bliskości, dynamice, ubóstwie i nieciągłości przedstawienia Wołodymyra Zełenskiego mocno kontrastują ze spektaklami tworzonymi przez jego przeciwnika i imiennika Władimira Putina. Ten uczeń wielkiego znawcy „prawdziwego" teatru i reżysera totalnych widowisk Józefa Stalina od lat rozwijał w nowoczesnej formie i przy pomocy nowoczesnych mediów spektakle imperialnej potęgi – monumentalne widowiska wielkiej skali, w których centrum był zawsze on sam – uosobienie skupionej, „męskiej" woli i mocy. Co ciekawe, Władimir Putin też nie ma warunków fizycznych do odgrywania postaci heroicznej i też całkiem skutecznie przekształca ten brak w korzyść pozwalającą mu na tworzenie postaci nie oddalonego władcy, ale kogoś bliskiego – patriarchalnego męża. Właśnie męża, a nie ojca, co wydaje mi się zasadniczą różnicą między Putinem a Stalinem.

Stalin grał „batiuszkę" – pozornie dobrotliwego ze swoim wąsem i fajką, ale przecież surowego i jeśli trzeba, niepobłażającego niegrzecznym dzieciom, poddanym. Putin, zachowując tę samą strukturę patriarchalnej władzy męskiej i wodzowskiej, przybliża się do wspólnoty, którą pozornie traktuje bardziej po partnersku – jak stereotypowy mąż żonę. Nie poucza, ale otacza opieką i zapewnia materialny byt, przyjmując na siebie trud mierzenia się z wszystkim, co poza wspólnym domem – Rosją. Wspólnota ma się tym domem zająć, wychować dzieci, tak jak mąż tego chce, a on w zamian uśmiechnie się i prześle półnagą fotkę z wyprawy na ryby z kolegami.

Występując w monumentalnych dekoracjach Kremla, nawet kontrast między swoją niewysoką i w sumie dość drobną figurką a rozległymi przestrzeniami i wielgachnymi złotymi wrotami, zza których się wynurza, rozgrywa Putin jako część mężowskiego spektaklu. Ten wielki i wspaniały dom nie świadczy przecież o jego osobistej wielkości i wspaniałości, ale stanowi dowód na wielkość i wspaniałość Rosji, której razem z narodem służy.

Kontynuacją i zarazem syntezą tego monumentalnego teatru był wiec poparcia zorganizowany w rocznicę aneksji Krymu, 18 marca, na stadionie na Łużnikach. Takie wiece z nie tak odległej przeszłości dobrze w Polsce znamy, więc nie trzeba tłumaczyć ich propagandowego charakteru. Znamienne jednak, że wiec urządzono na stadionie piłkarskim – arenie finału mistrzostw świata, które odbywały się w Rosji. Wybór wiązał się zapewne z koniecznością powiązania masowości ze względnym poczuciem kontroli, jakie daje arena sportowa o wyraźnych granicach. Ale w efekcie powstało przedstawienie nawiązujące do spektakli kibicowskich, w których „naszych" popiera się bez względu na to, w jakim stylu i z jakim skutkiem grają (do tej retoryki nawiązywały też wiecowe hasła).

Władimir Putin występujący w stroju dalekim od oficjalnego (puchowa kurtka na gruby golf) pozornie odwoływał się do performansów codziennej bliskości Zełenskiego, ale w istocie konsekwentnie tworzył ich przeciwieństwo. Pojawił się wszak na płycie stadionu nawet nie jak kapitan, ale jak trener (tej funkcji najbliższy był jego kostium i styl gry), który tłumaczy kibicom reprezentacji narodowej swoją strategię, licząc w zamian na gorący doping.

Zarówno jako mąż i jako trener Putin ustawia wspólnotę w całkiem wygodnej dla niej roli – grupy pozostającej na marginesie wypadków, niebiorącej w nich udziału. Być może dlatego wojna w Ukrainie nie zburzyła jego teatru – chyba nawet nim jak dotąd nie zatrzęsła. Mąż wdał się w jakąś awanturę – to się mężom zdarza i nie jest żony sprawą się mieszać, nawet jeśli wolałaby, żeby zamiast gdzieś tam się tłuc, posiedział trochę w domu. Wcześniej czy późnej wojna dotrze jednak także do kuchni i wtedy dopiero okaże się, na ile przedstawienie Putina zachowa skuteczność i czy mąż nie stanie wobec groźby rozwodu.

Dla obserwatorów zewnętrznych przedstawienie Putina jest oczywiście zakłamane i fałszywe, bo oni dobrze wiedzą, „co tata robi poza domem". Obserwatorzy zewnętrzni nie mają też wątpliwości, kto wygrywa tę wojnę na froncie spektakularnym. Ale to nie dla nich w istocie Wołodymyr Zełenski tworzy swój mistrzowski partyzancki performans. Jego adresatami są Ukrainki i Ukraińcy mierzący się z – nieprawdopodobną jeszcze niedawno – agresją. To im pomaga przetrwać jako narodowi, reprezentując go, ale zarazem przedstawiając siebie nie jako ojca i nie jako męża, ale jako brata.

Na pewno pamięta, że w narodowym hymnie Ukrainy najczęściej powtarzające się słowo to właśnie „bracia". To przy jego pomocy określa się wspólnotę skierowaną w obiecaną przyszłość. Przedstawiając się konsekwentnie jako brat, prezydent Zełenski podtrzymuje i wspólnotę, i obietnicę, a jego wciąż chłopięca, choć zmęczona twarz samym swym wyglądem umacnia wiarę, że „Szcze nam, brattia mołodiji, usmichnet'sia dola!".

© DARIUSZ KOSIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Co robić z miłością

Solidną zagadką dzisiejszych dni jest odpowiedź na pytanie o temperaturę miłości pomiędzy rządzącą tu prawicą a podobnymi jej zagranicznymi, wciąż oczywiście proputinowskimi nacjonalistami rozsianymi po świecie. Wykręty, zbywanie i milczenie nic nie dadzą, zbyt świeże są wspomnienia z nieodległego warszawskiego spotkania całej tej ekipy, z licznych tu bankietów z tej okazji, i wiele wywiadów z owymi figurami w partyjnych mediach. No więc ze świecą teraz szukać wypowiedzi, deklaracji lub wręcz odpowiedzi na pytanie: czy wobec wojny prawica polska zerwała owe, delikatnie mówiąc, żenujące sojusze bądź organizacyjne więzy – co jasne jak słońce – szalenie niebezpieczne dla obywateli i państwa? Czy nie, bo nie?

Warto na początku zaznaczyć, że miłość do Putina nie jest uczuciem, które – popatrzmy dla przykładu na Orbána – przechodzi łatwo. Uczuciem, które by spektakularnie obumarło po napaści Rosji na Ukrainę, które by znikło po popełnionych tam zbrodniach wojennych, w trakcie burzenia bombami miast, jak kiedyś Warszawy, po celowym bombardowaniu szpitali, domów dziecka czy teatrów, po strzelaniu do cywilów, gwałceniu kobiet i rabowaniu dobytku. Pytanie, które w tej sytuacji wypada jak najszybciej zadać, brzmi: czy Orbán jest wciąż przyjacielem – dajmy na to – p. Kaczyńskiego i p. Macierewicza? Czy jest wciąż wzorem działania dla ich partii, tego rządu, kolegów biznesowych, dla całej rzeszy piarowców politycznych i tzw. dziennikarzy, słowem – dla najszerzej pojętej polskiej prawicy, która w Orbánie zawsze widziała wzorzec walki z demokracją, z wolnym słowem i wreszcie pomysłodawcę bezwzględnych sposobów walki o władze? Czy wciąż – wypada też zapytać – czekamy, jak się ongiś wyraził p. Kaczyński, na Budapeszt w Warszawie?

Nawiasem, ten stary *bon mot* nabiera dziś nieco innego smaku, bo w istocie tamte ciarki z czasów, gdy powstał, są dziś dreszczem strasznym, by nie rzec – trupio obrzydliwym. Trzeba więc powiedzieć wprost, że niedawne, zaskakujące piarowym odlotem zdjęcie, przedstawiające Gospodarza ślęczącego jak Piłsudski nad mapą sztabową i jego podróż do Ukrainy to nie są wcale znaki, że przyjaźń z Orbánem się skończyła. Dlatego raźniej by nam było, gdyby tutejsze władze, tak sprawnie operujące w sferze jak zawsze medialnej, dały nam oczekiwaną, a wręcz wymaganą przez elementarne poczucie moralności, ale i bezpieczeństwa odpowiedź na pytanie: czy p. Orbán to jest wciąż wasz kumpel czy już tylko Putina i innych jemu podobnych?

A czy – idźmyż dalej – liczne tu i zupełnie niedawne całuski z p. Le Pen będą się powtarzać? Mimo że jest ona na wyczerpującej diecie celulozowej? Dla niewiedzących wypada tu wtrącić, że p. Le Pen dwa tygodnie temu zjadła ponad milion własnych ulotek wyborczych, widniała bowiem na nich w uścisku z Putinem. Musiała. To się, zdaje się, nazywa niefortunny zbieg okoliczności.

No więc może by – wystarczy szeptem – powiedzieć, że z jawną agentką Putina, od lat przezeń finansowaną, nie mają panowie z PiS-u teraz nic wspólnego? Od biedy mógłby takie słowa wyszeptać np. p. Morawiecki, któremu, zdaje się, nikt nie wierzy, ale to by już było coś. Jako się rzekło, byłoby nam wszystkim w tym strasznym czasie raźniej i mniej niepewnie. To jest pomysł na teraz, bo być może polska prawica zostanie wywołana do głośnej i wyraźnej odpowiedzi tak jak ów Orbán, po imieniu, w zeszłym tygodniu, przez prezydenta Ukrainy. Dobrze by było. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

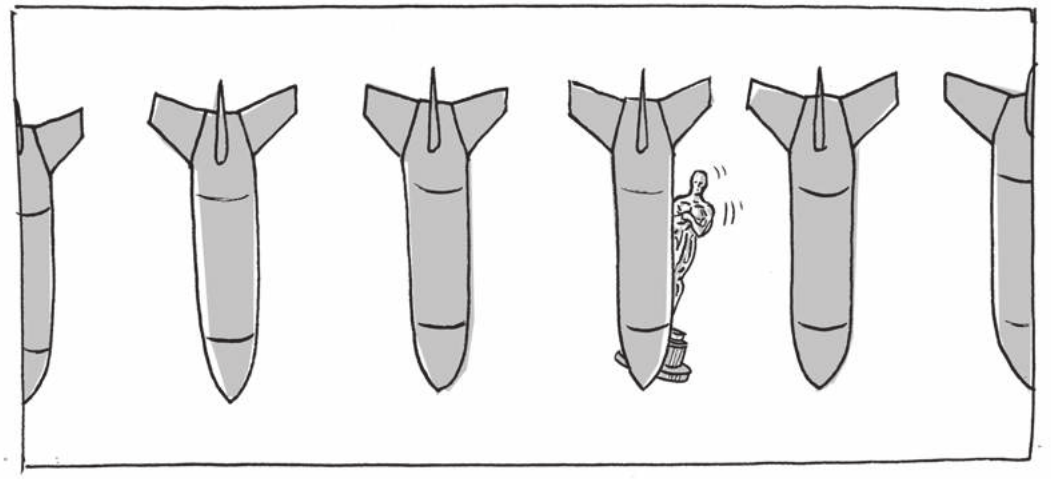

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

Podkast Powszechny:

UKRAINA broni Europy

„Nad ranem spadają pociski i one mogą trafić akurat w twój dom – na to nie da się być gotowym” – życie pod rakietami relacjonuje **Paweł Pieniążek** z oblężonego Kijowa

„Cyberwojna nie uznaje granic. I próbuje walczyć o nasze umysły” – o tajnym froncie Putina opowiadają **Agata Kaźmierska** i **Wojciech Brzeziński**

Kim jest przywódca Czeczenii i najwierniejszy sługa Kremla, Ramzan Kadyrow – o pierwszej wojnie Putina mówi **Wojciech Jagielski**

„Mężczyzna na granicy wyjmuje bagaże, ściska żonę, dzieci wieszają mu się na szyi. Wsiada w samochód i odjeżdża, kobiety i dzieci idą w stronę Polski” – opowiada **Marek Rabij**

oraz: czy da się spakować życie do jednej walizki? Jak możemy pomóc Ukrainie? Jak świat naukowy reaguje na tę wojnę?

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast** oraz na:

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Wspieraj na:

PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. EMILIO MORENATTI / AP / EAST NEWS